



Michał Jemcew

Jeremi Parnow

Czciciel Słońca

Spis treści:

Bunt trzydziestu miliardów.

Śnieżka.

Ostatnie drzwi.

Czciel Słońca.

Stan przedatomowy.

Michał Jemcew i Jeremi Parnow

BUNT TRZYDZIESTU TRYLIONÓW

Sprawa przybiera nieoczekiwany obrót

Włodzimierz Nikołajewicz Florowski - paleoklimatolog

Za trzy dni miałem rozpocząć urlop. Liczyłem dosłownie godziny. Mniej więcej za osiemdziesiąt godzin będę siedział w pasażerskim samolocie i przez małe okienko spoglądał na ziemię, która jak plastyczna mapa rozciągnie się pode mną. Jeśli tego dnia dopisze piękna pogoda, cień samolotu jak ciemny krzyż będzie przesuwając się w dole.

Na razie patrzyłem na świat także z góry: z dwudziestego pierwszego piętra uniwersyteckiego biurowca. Samochody na ulicach wyglądały z tej wysokości jak zabaweczki, a ludzie jak mrówki. W oddali słały się szare proste wstęgi ulic, rozpościerały zielone prostokątne plamy skwerów. Gdyby padał deszcz, aż tu, na to dwudzieste pierwsze piętro, dotarłaby woń mokrych kasztanów... Ale na razie upał był potworny i o deszczu można było tylko marzyć. Chmur było niewiele, a i te jakby zamierzały przejść bokiem, pogrzmieć sobie tylko niegroźnie z oddali. Już od tygodnia całe miasto dyszało tak w sierpniowym skwarze. Wszystkie okna i drzwi gabinetów pootwieraliśmy szeroko, ale niewiele to pomogło, pracować było nie sposób. Zdjąłem marynarkę, włączyłem wentylator i co chwila poprawiałem się na krześle. Usiłowałem przeglądać maszynopisy,

które przed wyjazdem trzeba było uporządkować i porzysłać po redakcjach. Stos pilnych listów czekał odpowiedzi. Należało napisać sprawozdanie... Wreszcie machnąłem na wszystko ręką i postanowiłem zjechać do bufetu, by napić się piwa lub mleka z lodu.

W bufecie było jeszcze goręcej. Widocznie nie tylko mnie chciało się pić, bo długi zakręcony ogonek czekających swej kolejki stał przed bufetem. Lepiej było napić się na górze wody z kranu. Ale zdecydowałem się czekać i jednak napić się piwa, nim znów wrócę duszną windą na górę.

Przede mną w kolejce stał jakiś dziwny, niespokojny młody człowiek. Twarz miał pomarszczoną jak pysk buldoga i wielkie odstające uszy. Uśmiechał się, mrużył oczy krótkowidza i kręcił głową ostrzyżoną na jeża. Bez przerwy poruszał wargami, szepcząc coś do siebie pod nosem i bez przerwy przesypywał groszaki z jednej dłoni do drugiej.

Gdy zwrócił się w moją stronę, ze zdziwieniem zauważyłem na jego piersi przyczepioną wizytówkę: „Artur Położencow Moskwa”. A więc ten zabawny, nerwowy chłopak był delegatem na Międzynarodowy Kongres Walki z Rakim. Jego nazwisko nie było mi wcale obce. Przyjrzałem mu się dokładnie. Przybrudzona koszula sportowa, przepocona pod pachami, szerokie niebieskie spodnie, pewnie nie prasowane już „od dawna. Zakurzone buty o pościanych obcasach. A ręce, którymi nie przestawał przeliczać i układać ‘pieniądze, były wyraźnie nie domyte.

„Taki znany naukowiec, a taki abnegat – pomyślałem mimo woli – jakże mógł tak się wybrać na kongres!” Przypomnieli mi się elegancy, wyświeżeni mężczyźni w śnieżnobiałych koszulach i dobrze skrojonych ubraniach... Od otwarcia kon-

gresu stale spotykaniem ich w windach i na korytarzach naszego biurowca.

Wreszcie jedna z tych drobnych monet, które tak bezustannie przeliczał i układał sobie na dłoni, upadła mu na podłogę i gdzieś się potoczyła. Nieznajomy, mrużąc oczy, rozglądał się bezradnie, a tymczasem pieniążek podniosła jakaś młoda dziewczyna i teraz ona z kolei zaczęła liczyć swe drobne, wetknięte studenckim zwyczajem pomiędzy stronice książki.

– To upadło temu panu – powiedziałem głośno.

Ale dziewczyna nie dosłyszała, a nerwowy nieznajomy chwycił mnie za rękaw.

– Niech pan da spokój – powiedział cicho, machając ręką.

– Jeśli ona myśli, że to jej... Może te pięć kopiejek potrzebne są jej bardziej niż mnie.

Uśmiechnąłem się do niego przyjaźnie, co okazało się odruchem nieco niebezpiecznym. Nerwowy nieznajomy nie przestawał już teraz bawić mnie rozmową.

Nim dotarliśmy wreszcie do bufetu, opowiedział mi dość dokładnie, co sądzi o naszym uniwersyteckim gmachu jako dziele architektury z punktu widzenia nowoczesnego budownictwa, a także o chińskiej kuchni i jej przysmakach. Wytłuma- czył mi, co to jest agar-agar i prawie przekonał, że właśnie z niego sporządza się najsmaczniejsze galaretki owocowe i budynie. Gdy wreszcie doczekaliśmy się swej kolejki, Wziął sobie porcję kiełbasy, poczekał aż mnie dadzą butelkę piwa i kanapkę i usiadł przy tym samym co ja stoliku, cały czas mówiąc bez przerwy.

– Pan jest zapewne delegatem, na kongres? – zapytałem, gdy na chwilę przerwał potok swej wymowy.

Pokręcił głową przecząco.

– Właściwie nie. Przychodzę na posiedzenia, bo interesuję się ogromnie wynikami najnowszych badań nad wirusami raka. Miałem także nadzieję, że dowiem się coś nowego o swobodnych genach. Ale nie jestem delegatem. Ta kartka – powiedział, widząc, że mimo woli spojrziałem na wizytówkę, którą miał przypiętą do koszuli – nie jest moja. To Położencowa. On i tak nie chodzi na wszystkie posiedzenia. Więc przypinam ją sobie, żeby mi przy wejściu nie zwracano głowy przepustkami.

„Cóż za błazeństwo – pomyślałem sobie. Ale nic zdziwiłem się zbyt. Po tym nerwowym, wyraźnie czymś bardzo podnieconym i przejętym człowieku można się było zapewne gorszych rzeczy spodziewać. – Co za pomysł, by w ten sposób dostawać się na salę „posiedzeń! I do tego tak ubrany”.

– A czy pan chociaż zna Położencowa, czy może pożycza pan sobie ten karnecik bez jego wiedzy? – zapytałem.

Nieznajomy popatrzał na mnie jakby z przerażeniem. Zmieszało mnie spojrzenie tych dobrych, nie winnych i niedowidzących oczu. Jego twarz buldoga skrzywiła się jakoś żałośnie. Zrobiło mi się głupio. Było mi go żal, już wtedy zaczynałem się domyślać, że ‘przeżywa coś zupełnie niezwykłego, że coś go trapi, coś męczy. Zorientowałem się, że musi być niezupełnie zdrow. Sam upał nie mógł go chyba tak zmęczyć i rozstroić. Chciałem złagodzić moje słowa, obrócić w żart, powiedzieć mu coś miłego.

– Bardzo pana przepraszam, tak mi się jakoś niechcący wyrwało. Zresztą Położencow na pewno nie miałby nic przeciwko temu, że pan przychodzi na posiedzenia z jego karnecikiem. Wie pan co – klepnałem go przyjaźnie po ramieniu – jak pan już będzie „miał dosyć tych posiedzeń, niech pan wpadnie

kiedyś do naszego zakładu, tu na górze, na dwudzieste pierwsze piętro. Rakiem się co prawda nie zajmujemy, ale może i u nas pana coś zainteresuje. Odsapnie pan chwilę. Wygląda pan na bardzo zmęczonego. Uśmiechnął się, poweselał.

Tak, jestem zmęczony. To ten upał. Nie tylko zresztą upał. Widzi pan... – urwał swe zagadkowe słowa, a po chwili dodał niespodziewanie: – Chodźmy trochę się przejść po waszym ogrodzie. Chciałbym panu coś opowiedzieć. Tak, jestem zmęczony, widzi pan...

Trochę mnie to wszystko przerażało. I ten nowy dziwaczny nieznajomy, i jego nagła propozycja spaceru, a przede wszystkim perspektywa wysłuchiwanie jego monologu. Nie miałem bowiem wątpliwości, że w stanie niezwykłego podniecenia, w jakim się znajdował, będzie mówił bez przerwy. Ale może naprawdę miał mi do powiedzenia coś ciekawego? Zgodziłem się. Wyszliśmy do otaczającego nasz biurowiec parku.

Rzeczywiście nie przestawał mówić ani na chwilę. Nim doszliśmy do ławeczki w cieniu drzew i krzewów, zdążył już wiele opowiedzieć mi o paleontologii, w której się specjalizował. Miał niemało ciekawych wiadomości z historii, biologii, genetyki, teorii ewolucji, biologii molekularnej i pokrewnych specjalności. Mówił jednak o tym wszystkim tak jakoś bezładnie, że przestawałem go rozumieć, a w końcu w ogóle przestałem słuchać. Czy to miały być te niezwykle wiadomości, które zapowiadał mi tak tajemniczo? Niewiele z nich się dowiem. Żałowałem nawet, że nie poszedłem na ten spacer sam, bez niego i jego gadulstwa. Bo w parku, na ocienionej ławeczce wśród soczystej zieleni, było bardzo przyjemnie. Z południowego zachodu powiewał teraz ostry wietrzyk. Drżały gałązki i liście. Od razu zrobiło się nieco chłodniej. Do oparcia naszej

ławki przyłgnął z szeroko rozpostartymi skrzydełkami motyl pawie oczko, walcząc z podmuchami wiatru.

Nieznajomy nie przestawał mówić. Pomyślałem sobie, że powinienem mu się przedstawić i dowiedzieć, jak on się nazywa. Rozmawialiśmy już tyle czasu, a właściwie nie znaliśmy się nawet. Ale nie dał mi dojść do słowa. Opowiadał z przejęciem o jakiejś wyprawie na Daleką Północ, już niemal pod biegunem, w okolicy jeziora o dziwacznej nazwie Worota. Coraz mniej rozumiałem z jego beładnego opowiadania. Wreszcie miałem już tego wszystkiego dosyć, postanowiłem wrócić do zakładu. Było teraz nieco chłodniej, mogłem zabrać się do pracy. Może zresztą posiedziałbym jeszcze w ogrodzie, ale sam. Zostawić go jednak i odejść na drugi koniec parku było mi jakoś niezręcznie, a on tymczasem nie zauważał wcale mego zniecierpliwienia. Mówił coraz bardziej nerwowo, natarczywie, coraz szybciej, coraz beładniej. Zupełnie, jakby się obawiał, że nie zdąży powiedzieć wszystkiego. Dlaczego tak się śpieszył? Ale wreszcie przestało mnie to ciekawić.

– Będę już chyba musiał wrócić do siebie na górę – powiedziałem. – Za kilka dni jadę na urlop. Muszę przedtem...

– Nie, nie – zawołał przestraszony – nie! Muszę przecież powiedzieć panu o tym...

A więc on jeszcze nie zaczął mówić, jeszcze nie przystąpił do rzeczy. Ładny pasztet!

– Niech pan nie zostawia mnie teraz samego – mówił niepokojnie, trzymając mnie za rękaw, żebym mu nie uciekł. – Muszę panu coś opowiedzieć. Coś bardzo ważnego. Już teraz wiem, że... Ktoś musi o tym wiedzieć, nim ja... Nawet gdybym... Ktoś musi wiedzieć...

Zmieniał się w oczach. Zbladł, twarz jakby mu się wyciągnęła, wydłużyła, policzki zapadły. Pod oczami miał ciemne plamy. Teraz dopiero zauważyłem, ile w jego twarzy jest uporu. Nawet w tej chwili, gdy wyraźnie tracił przytomność. Zrozumiałem, że ten człowiek nie cofa się przed niczym.

Patrzył mi prosto w oczy. Ale zdawał się wcale mnie nie widzieć. Jego oczy nie były już zmrużonymi oczami krótkowidza, któremu nie chce się nosić okularów. Teraz były to chyba oczy epileptyka.

– Może to było za duże ryzyko. Może jednak nie powinienem był... Ale chodzi przecież nie tylko o mnie, coś tam ja... Ktoś musi wiedzieć. To bardzo ważne, bardzo ważne – nawet głos mu się zmienił, był teraz ochryply, suchy, jak u bardzo starego, bardzo schorowanego człowieka. – To bardzo ważne, ktoś musi o tym wiedzieć...

Byłem coraz bardziej pewny, że zaraz dostanie epileptycznego ataku. „Ładny będę miał z nim kram – pomyślałem sobie. – Co ja teraz z nim pocznę?” Poruszyłem się niespokojnie. Wydało mu się widocznie, że zabieram się do odejścia, bo znów złapał mnie za rękaw.

– Niech pan nie odchodzi. Musi pan... Wie pan, zastrzyknąłem sobie... Nikt o tym nie wie – mamrotał na wpół przytomnie. Napierał przy tym na mnie całym ciałem i gorącym oddechem dyszał mi prosto w twarz. Czuć było mu z ust kiełbasą, którą jadł niedawno. Trzymał mnie wciąż za rękaw. – Musiałem sobie zastrzyknąć. Dla mojego ojca, dla jego pamięci... Prawda musi chyba kiedyś wyjść na wierzch... A tymczasem ja... za niego... oczyścić jego pamięć... Trudno to ludziom zrozumieć... Ale ja...

Nie rozumiałem jego bełkotu, nie wiedziałem, o co mu chodzi. Odsunąłem się nieco od niego, ten zapach kiełbasy, wraz z zapachem jego potu, trudny był do zniesienia. Nieznajomy milczał i siedział osowiały, z zamkniętymi oczami.

– Co się panu stało? Źle się pan czuje? – pytałem, zaniepokojony nie na żarty. Nigdy bym nie przypuszczał, że tak się mogę zdenerwować.

Zacząłem nim potrząsać, a on powiedział cichutko, jak usypiające dziecko:

– Tak się czuję, jakbym umierał... – a po chwili dodał: – Ale nie tak zupełnie... tak zupełnie to jeszcze nie umarłem...

Umilkł i zacisnął wargi. Głowa opadła mu na oparcie ławki, płosząc motyla, który zerwał się i odleciał. Twarz nieznajomego zrobiła się zupełnie sina. Gdy zdałem sobie sprawę, w jakim jest stanie, serce mi zamarło. „Co ja teraz z nim pocznę? Ależ narobiłem sobie bigosu! Tak to bywa, gdy się pochopnie nawiązuje znajomości!” Zerwałem się i pobiegłem po jakąś pomoc.

W przychodni uniwersyteckiej było chłodno i cicho. Ułożyliśmy nieznajomego na kozetce pokrytej białą ceratą i ktoś od razu zdjął mu buty. Niemłoda już lekarka zaczęła go badać i osłuchiwać.

– Prawie wcale nie słyszę serca – powtarzała – prawie wcale.

Wysoki, tęgi, siwy lekarz świecił małą latareczką prosto w oczy chorego. A nieznajomy, którego twarz teraz już zupełnie przypominała chorego buldoga, leżał bez ruchu i nie reagował na żadne bodźce zewnętrzne. Drażnienie jego wzroku, słuchu, dotyku nie dawało żadnych wyników. Siwego doktora dziwiło

to ogromnie. Oboje lekarze byli zdania, że to jakaś choroba psychiczna. Przynajmniej wszystko na to wskazywało.

Wyjeliśmy i przejrzyli wszystko, co nieznajomy miał w kieszeniach płóciennych spodni. Nie było tego wiele. Trochę drobnych pieniędzy, kilka kluczy na kółku z cienkim łańcuszkiem, kilkanaście biletów autobusowych i tramwajowych, grzebień z dwoma wyłamanymi zębami. Poza tym tylko jedna karteczka, złożona we czworo, pomięta i powycierana na zgięciach. Na niej zanotowany był numer telefonu i dopisek: „Wal.Nik. Kurii.” Odruchowo schowałem ją do kieszeni. Poza tym żadnej legitymacji ani dowodu osobistego. W dalszym ciągu nic nie wiedziałem o moim nowym, dziwnym nieznajomym.

Zatelefonowano po pogotowie, a lekarze zaczęli tymczasem omawiać między sobą ten dziwny przypadek.

Stary lekarz zwrócił uwagę, że u chorego ustały wszelkie odruchy.

– Ma to wszelkie symptomy letargu – oznajmił uroczyście – ale jestem pewny, że to nie letarg.

– Nie ma żadnego kontaktu ze światem zewnętrznym. To raczej typowa zapaść psychotyczna – mówiła lekarka. Schowała stetoskop i zwróciła się do mnie: – To co pan nam o nim opowiada, potwierdzałoby jeszcze taką diagnozę. To był początek ataku.

– Czy on z tego wyjdzie? – zapytałem.

Lekarze milczeli przez chwilę. Wreszcie stary doktor powiedział z namaszczaniem:

– Na razie trudno coś powiedzieć. Przy odpowiedniej terapii... Jeżeli w tkance mózgu nie zaszły jeszcze zbyt daleko posunięte zmiany.

Spojrzałem na kobietę w białym, pocerowanym przy kieszeniach fartuchu.

– Czyżby to był obłąd?

– Muszą zbadać go specjaliści. My niewiele możemy o tym powiedzieć – wzruszyła ramionami i ciągnęła dalej: – No, niech pan sam powie, czy zdrowemu na umyśle człowiekowi przyszłoby do głowy przypinać sobie cudzą wizytówkę, żeby się w ten sposób dostać na posiedzenie naukowe? Sam pan przecież to mówił...

– Pamięta pani, Iraido Wasiliewna – powiedział stary doktor, starannie wycierając dłonie watką umoczoną w spirytusie – ten wypadek, który swego czasu tyle narobił szumu? Pewien schizofrenik, który był niemy i bezwładny, tak jak nasz pacjent...

Nie chciało mi się słuchać gładzenia staruszka. Do końca pracy pozostawała jeszcze cała godzina. Wróciłem do laboratorium.

W moim pokoju było tak samo duszno, jak przedtem. Powietrze stało nieruchome, gęste i nagrzane. Powiew wiatru tu nie docierał, spiekota ani myślała spadać. Kartki papieru z dobrze mi znanymi gryzmołami szczelnie przylepiły się do stołu. Na poręczy krzesła marynarka wisiała jakoś bezwładnie, niby więzienny kaftan. Usiadłem na krześle i przez chwilę rozmyślałem o całym tym dziwnym zdarzeniu. Nagle przypomniała mi się kartka z telefonem i skrótem czyjegoś nazwiska. Wyjąłem ją i odczytałem uważnie. Dzwonić do profesora Położen-cowa nie miało wielkiego sensu. Nie tak łatwo byłoby złapać tego znakomitego uczonego. Racja... słyszałem przecież, że w tych dniach wyjeżdża właśnie gdzieś na północ z wielką ekspedycją... Na pewno jest zajęty i zupełnie nieuchwytny. Spró-

bujemy więc zadzwonić pod numer zapisany na kartce. Zobaczymy...

Litera G przed numerem świadczyła, że ów ktoś mieszkał na Arbacie, w jednej ze starych dzielnic Moskwy, pełnej małych, zgrzybiałych domków... Nakręciłem numer telefonu.

Głęboki kobiecy kontralt powiedział:

– Słucham, tu Maria Iwanowna.

Długo i dokładnie musiałem tłumaczyć Marii Iwanownie, o co chodzi. Aż wreszcie wszystko się z wolna wyjaśniło. Okazało się, że „Wal.Nik.Kuril.” to jej syn, Walery Nikołajewicz Kurilin, geolog. Ale, niestety, nie było go teraz. Pojechał w teren. A czy Maria Iwanowna zna kogoś takiego z okrągłą głową i potężnym podbródkiem? Nie, nie zna. Do syna tyle ludzi przychodzi... Zaraz, zaraz... Taki trochę zabawny, z odstającymi uszami, podobny do buldoga? Ach, tak! To na pewno Borys! Szkolny kolega Walerego. No, oczywiście, oczywiście. Borys Rewin. Właściwie, to Michajłow, ale... Z Walerym studiowali razem na uniwersytecie. Ostatnio prawie się nie pokazywał. No więc, co się z nim stało?

Postarałem się możliwie jasno przedstawić stan Borysa Rewina. W słuchawce zaległa cisza. Tylko membrana poskrzypywała chrapliwie. Wreszcie Maria Iwanowna powiedziała:

– Zaraz tam do was przyjadę. Byłem zaskoczony.

– To znaczy, bardzo przepraszam, dokąd? Ja już kończę pracę.

– Przyjadę do polikliniki. Muszę zobaczyć się z lekarzami. Nie mogę przecież Borysa tak zostawić...

Nazajutrz – już tylko dwa dni dzieliło mnie od urlopu – w otwartych drzwiach mego gabinetu stanęła kobieta. Od razu

wiedziałem, że to Maria Iwanowna Kurilina. Wyglądała na jakieś sześćdziesiąt lat. Ruchy miała zamaszyste i pewne siebie, a w rękę zaciskała mocno uszy wielkiej beżowej torby na zakupy. Wstałem na powitanie i zaprosiłem do środka. Ufnie i mocno uścisnęła mi rękę.

– Byłam już wszędzie, a teraz chciałabym z panem pomówić.

Kurilina opowiedziała bardzo dokładnie przebieg wczorajszego dnia. Najpierw widziała się ze starym lekarzem w naszym instytucie. Ale gdy zaczął długo i szeroko rozwodzić się nad tym, jak trudno jest określić chorobę, nie znając dokładnie organizmu pacjenta, zniecierpliwiona, przerwała mu:

– Musicie zrobić najpierw tysiąc analiz, prawda? A w historii choroby napisać furę uczonych słów? Po to, żeby i tak nic nie wiedzieć! To powiedzcie lepiej od razu, że nie wiecie, tak będzie uczciwiej!

Wreszcie, dowiedziawszy się, że Rewina w naszej klinice już nie ma, pojechała go szukać i do samego wieczora jeździła od szpitala do szpitala. Okazało się, że umieszczono go w zakładzie specjalistycznym pod Moskwą. Miała zamiar i tam do niego się wybrać, ale przedtem chciała się jednak zobaczyć ze mną.

– Wszystkiemu winna jest jego matka – mówiła Maria Iwanowna, nie dopuszczając mnie w ogóle do słowa. – Już dawno zauważyłam, że gdy gdzieś nie dzieje się jak należy, to na pewno jakaś baba jest w to zamieszana.

– Cherchez la femme, szukajcie kobiety – wtrąciłem. – Ale może to tylko zwykły przypadek? Kobiet jest dużo, więc po prostu statystycznie więcej zła dzieje się z ich powodu...

– Niech mnie pan nie czaruje, młody człowieku. Mam w domu własnego mądralę i też z wyższym wykształceniem. Jemu też czasem woda sodowa do głowy uderza i zaczyna wyrażać się po zagranicznemu. Ale ja się czarować nie dam. Prawdziwą mądrość od mądrego odróżnić potrafię, więc kiedy mówią ludzie, którzy już coś niecoś w życiu przeżyli, lepiej słuchać.

– I nie gadać byle czego, prawda? – zaśmiałem się, i pomyślałem sobie: „Ale macie mamunię, towarzyszu Kurilin!”

– Wcale nie, dlaczego? Jak się ma coś mądrego do powiedzenia, to trzeba mówić. Tylko bez tych tam sztuczek. Kobieta zajmuje w życiu poważne miejsce, gdzie tam wam, mężczyznom, do niej! Kobieta wszystkim dokoła siebie rządzi: i rodziną, i mężem, i domem, i pracą. A gdy trafi się taka, jak matka Borysa, to wtedy oczywiście wszystko idzie na opak. To prawda, że mąż jej się nie udał. Michajłow był człowiekiem skrytym, co tu dużo gadać... skrytym, przebiegłym albo i jeszcze gorzej... Ale jakkolwiek by było, ojciec twego dziecka, więc trzeba się przedtem dobrze namyślić, a nie dopiero potem krzyczeć ratunku.

– Bardzo przepraszam, ale nie rozumiem, o co chodzi.

– A właśnie, tak to jest w życiu. Pan mnie nie rozumie. Michajłowa, czy tam właściwie Rewina, swego syna nie rozumie i licho wie, co z tego wychodzi.

– O kim pani właściwie mówi? Przecież Borys nazywa się, zdaje się, Rewin?

– Tak, tak, mówię o jego matce. Z pierwszego męża, ojca Borysa, nazywa się Michajłowa. Więc niby i Borys powinien nazywać się Michajłow. Ale matka tak zniecierpliwiona jego pamięć, że swemu drugiemu mężowi, Rewinowi, kazała usyno-

wić chłopaka. Żeby śladu po jego ojcu nie zostało. Ale co tam o tym gadać, to długa historia, w dwóch słowach jej się nie opowie...

– Skoro pani już zaczęła, niechże pani opowie! – ciągnąłem starą za język. – Pani syn dobrze zna Borysa Rewina?

Nie kazała się długo prosić i mówiła dalej:

– Mówię panu, że to długa historia. Kurilin, jeszcze zanim ożenił się ze mną, serdecznie przyjaźnił się z Michajłowem. Obaj byli geologami i obaj jej asystowali. To znaczy, Natalii. A Natalia, to matka Borysa. Nie wiem, jak to tam wszystko między nimi było, ale na pewno musiało coś zająć. Mój mąż nie bardzo lubił mówić na ten temat, chociaż coś niecoś pomalutku z niego wydobyłam. Wiele się nie dowiedziałam, wiem tylko jedno, że asystowali jej, asystowali, potem obaj z Michajłowem pojechali w teren, a po powrocie Kurilin już ani nosa u Natalii nie pokazał. Czy się z Michajłowem pokłócili, czy może dogadali, żeby jeden drugiemu ustąpił, dość że do Natalii chodził już teraz tylko Michajłow. Chodził długo, widać Natalia bardziej Kurilinowi sprzyjała. Nic dziwnego. Kurilin, to był okazały mężczyzna, blondyn...

Był? To pani mąż nie żyje? – wyrwało mi się. – Nie żyje. Umarł, a raczej zginął. I właśnie przez jego śmierć Borys Michajłow został Rewinem. Moja ciekawość, z początku jakby rozmiękła w sierpniowym upale, zaczęła teraz krzepnąć i twardnieć.

– Nieszczęśliwy wypadek? Choroba? Wojna? – dopytywałem, starając się nadać głosowi wyraz współczucia.

– Zaraz. Jak już zaczęłam, opowiem wszystko po kolei. Najpierw o moim mężu. Piękny był człowiek, i ciałem, i duszą. Wesoły, silny, zręczny. Wszyscy go lubili, trudno było go nie

lubić. Gdy zobaczyłam go pierwszy raz... – mówiła Kurilina i zamilkła na chwilę. – Ech, co tam, ciebie to pewnie wcale nie ciekawi. Powiesz, że staruszka roztkliwiła się i jeszcze śmiać się będziesz.

– Cóż znowu! – zaprzeczyłem gorąco. – Proszę, niech pani opowiada dalej.

– Jednym słowem, Natalię widać ubodło do żywego, gdy Kurilin odstrychnął się od niej. Dumna była, nic po sobie poznać nie dawała, ale i do Michajłowa zbytnio się nie umizgała. No i tak dręczyła się ta trójka, dręczyła, tamci dwoje razem, a ten jeden na osobności. Aż wreszcie poznaliśmy się z Kurilinem i pobrali. Do dziś nie wiem, czy naprawdę zakochał się we mnie, czy po prostu tamtą miłość wypalał w ten sposób do reszty. Jak to mówią: klin klinem. Ale wtedy nie zastanawiałam się wiele nad tym, sama byłam za bardzo w nim zakochana. Potem nieraz pytałam go: przyznaj się, mówię, ożeniłeś się ze mną, żeby nie zawieść męskiej przyjaźni? Śmieje się i żartami zbywa. No i nie powiedział. Ale chyba właśnie tak było. A może i nie, życie nie jest takie proste. Natalia długo jeszcze nie zdecydowała się na małżeństwo z Michajłowem. Dopiero, jak się nam Walery urodził, oni się pobrali. Znów Kurilin i Michajłow zaczęli razem w teren jeździć, a i myśmy się z Natalią poznały i nawet zaprzyjaźniły. Co prawda, niedługo trwała ta przyjaźń! Jak się zorientowałem, że mój Mikołaj dawniej za nią biegał, odechciało mi się z nią przyjaźnić. Straciłam do niej serce. Aż tu... Maria Iwanowna umilkła na chwilę.

– I co było dalej? – zapytałem.

– At, co miało być... Starych ran nie warto rozdrapywać. Cóż to pana, obcego człowieka, może obchodzić. Prosta ciekawość i tyle.

– Mario Iwanowno! – wykrzyknąłem. – Jakże tak można! Oczywiście, ma pani rację, poznaliśmy się ledwie przed godziną, ale Borys Rewin interesuje mnie niezmiernie. Chciałbym mu jakoś pomóc. A pani...

Kurilina uśmiechnęła się. Uśmiech miała niezmiernie miły. Dwoje maleńkich, nieprawdopodobnie chytrych oczu tonęło w pajęczynie brązowych zmarszczek i spoglądało na człowieka filuternie, zupełnie jak myszki z norki.

– No, dobrze – powiedziała. – To właśnie chciałam usłyszeć. Nie lubię, jak ludzie milczą i człowiek nie wie, co tam sobie myślą. Tak się więc jakoś złożyło, a było to w trzydziestym dziewiątym roku, Walerek miał już wtedy dwa latka, że mój mąż i Michajłow pojechali nad Ob, a powrócił stamtąd tylko Michajłow. I oświadczył, że, niestety, Mikołaj Kurilin zginął podczas trudnej przeprawy przez jakąś tam rzeczkę. „A ty gdzie byłeś wtedy?” – pytam go. „Szedłem za nim – powiada – z pięćdziesiąt metrów z tyłu, a jak podszedłem do rzeki, tylko czapkę znalazłem na brzegu”. I przeróżne okropności opowiada. Pracowali we dwóch, a potem, podczas jesiennych deszczy, zalała ich woda, cały sprzęt im przepadł. Szli przez tajgę przemoczeni, zmarznięci, głodni, jedzenia mieli tylko tyle, by z głodu nie umrzeć. Wtedy jeszcze geolodzy nie mieli takiej technicznej pomocy jak dzisiaj. Ani helikopterów, ani samolotów. Co prawda, większe wyprawy miały, zdaje się, samoloty. Brnęli tak przez wiele dni, wreszcie zaczął już prosić pierwszy śnieg, ranki bywały mroźne, gonili ostatkiem sił, jedzenia mieli tylko na dwa dni dla obu i ledwie ćwiartkę spirytusu. I właśnie wtedy stało się to nieszczęście. Mikołaj wpadł w wodę i jak kamień w wodzie przepadł na zawsze. Michajłow zrobił w tamtym miejscu postój, bo osłabł tak, że już ani kroku zrobić

nie mógł. Postanowił, powiada, że tam umrze. Ale chwycił mróz i po pierwszym lodzie przeszedł rzeczkę, w której utonął był Mikołaj...

– A pani mąż, jak się chciał przez nią przeprowić, wpław ?

– Wpław przez taką lodowatą wodę w żaden sposób nie można. Widocznie brodu szukał, a może z urwiska zleciał. Michajłow nie umiał dobrze tego wytłumaczyć. Słuchać, to ja go słuchałam, ale nie bardzo mu wierzyłam. Czuło moje serce, że coś jest nie w porządku. No i przeczucie się sprawdziło. Choć, co prawda, nie od razu.

– Jak to?

– A tak: Minął rok, może niecały. Zdążyłam przez ten czas oczy wypłakać nad pismem, w którym zawiadamiano mnie, że mój mąż' zginął śmiercią bohatera podczas wypełniania służbowych obowiązków. Bywało nieraz wieczorem, Walerek nabiega się przez cały dzień i śpi jak suseł, a ja położę ten papierek przed sobą i płaczę, zapłakuję się. Aż tu przyjeżdża kiedyś jeden kolega Koli i powiada... Całą duszę we mnie poruszył. Jak dziś pamiętam, siedzieliśmy u mnie, dzień był pogodny, słońce świeciło jasno, a mnie pociemniało przed oczami, jakby wszystko dokoła czarnymi chorągwiami pozawieszano. „Nie chciałbym ci mącić spokoju, Maszeńko, powiada mi ten człowiek, ale prawdę powinnaś wiedzieć. Twój Mikołaj nie utonął. Michajłow oszukał i ciebie, i nas wszystkich”. Okazało się, że na początku zimy przyszedł do jakuckich myśliwych jakiś zarosnięty, brodaty człowiek, sama skóra i kości, bez czapki, bosi, w strzępach tylko spodni i koszuli, straszny jakiś człowiek. W dodatku był nieprzytomny, w gorączce. Dwie doby majaczył i umarł. Nie miał przy sobie nic, żadnych papierów. Jakuci nie zrozumieli ani słowa z tego co bredził, wystraszyli się tylko nie

na żarty. Wiadomo przecież, co to za czasy były wtedy. Pochowali go cichaczem i śladu nie zostało. Ale gdy nastąpiła wiosna i zaczęli przyjeżdżać tam geolodzy, ktoś się przed nimi wygadał. Odszukano grób Kurilina. Wykopano trupa i jakoś rozpoznano nieboraka. Podejrzanie od razu padło na Michajłowa. Wszyscy sobie przypomnieli, że gdy go uratowano – miał jeszcze jedzenie i odrobinę spirytusu. Uciekł, łajdak, gdy zobaczył, że jedzenia dla dwóch nie wystarczy, porzucił towarzysza. „Będziemy go teraz sądzić – powiada mi ten kolega. – Sprawa do państwowego sądu się nie nadaje, bo poszlak brak, ale mamy przecież nasz sąd koleżeński, więc będziemy go sądzić”. Gdy usłyszałam to wszystko, taka mnie ogarnęła wściekłość, że własnymi rękami gotowa byłam go udusić...

– A cóż Michajłow powiedział na sądzie? – spytałem.

– Co powiedział? To samo, co i przedtem. „Szliśmy, powiada, we dwóch, Kurilin naprzód, ja za nim. Gdy podszedłem do rzeki, Kurilina nie było. Patrę, rozglądam się, znalazłem tylko woreczek z zapasami, który on niósł, i jego czapkę, którą fala przyniosła do brzegu. Uznałem więc, że Kurilin utonął. To wszystko”. Ktoś zapytał złośliwie: „Czyli że Kurilin, zanim utonął, postanowił zostawić wam swoją osobistą porcję jedzenia?” Michajłow był blady, ale odparł spokojnie, że zawsze, gdy zaczyna się szukać brodu, cały bagaż pozostawia się na brzegu. W tej właśnie chwili spostrzegłam Natalię. W twarzy nie miała ani kropli krwi, tylko oczy jej błyszczały gorączkowo. Zauważyłam od razu, że spodziewa się dziecka. I sama nie wiem dlaczego, mój żal i uraza zaczęły jakoś przycichać. I gdy wszyscy, kto żyw na sali, zaczęli na Michajłowa ciskać gromy, że tak bezczelnie kłamie w żywe oczy, rozmiękłam do reszty. Proste, że nie żałowałam tego łobuza, który towarzysza w bie-

dzie porzucił, ale żał mi było Nataszki, a jeszcze bardziej tego ich przyszłego dziecka. Cóż było winne, że jego ojciec okazał się draniem spod ciemnej gwiazdy? A tymczasem Michajłow wykrecał się i starał się jakoś powiązać jedno z drugim, a nic się ani rusz związać nie chciało. Bo przecież, skoro w czasie przeprawy człowiek nie zginął, to nie mogli się w żaden sposób zgubić. Chyba że naumyślnie. Dla wszystkich jasne było jak słońce, że Michajłow opuścił Kurilina, uciekł z zapasem żywności, własną skórę ratował. Ale co z tego, że jasne, kiedy dowieść nie było można?

– I czym się ta sprawa skończyła? – spytałem.

– Niczym. Gdy przyszła moja kolej, zabrałam głos w obronie Michajłowa. Nieboszczyk i tak nie zmartwychwstanie, a żywy musi żyć. Zrobiłam to tylko ze względu na ich dziecko. Ostatecznie, Michajłowa ani nie uniewinniono, ani nie osądzono. Wiadomo, takie tam te koleżeńskie sądy. Nagany udzielono na piśmie i odpowiednim władzom przekazano śledztwo w tej sprawie. Jak się rozprawa skończyła, Natasza podeszła do mnie, uścisnęła mi rękę. „Dziękuję ci, mówi, Maszeńko, za dobre serce, tylko że i tak nic z tego nie będzie”. I rzeczywiście, w ciągu miesiąca rozwiodła się z Michajłowem, a w dwa miesiące później urodziła dziecko, właśnie Borysa. Przyjaźniłam się z nią wtedy serdecznie, nasi chłopcy też się przyjaźnili, całą wojnę przetrwałyśmy razem, jedna drugiej pomagała. Synowi Natalia nigdy nie wspominała o ojcu, zupełnie jakby w ogóle nie istniał.

– A co się z Michajłowem stało?

– Zginął zaraz na samym początku wojny. Natalię po wojnie jakby jakiś diabeł opętał. „Chcę, powiada, za mąż wyjść. Jeszcze mi się coś od życia należy”. O syna zupełnie nie dbała,

myślała tylko o sobie. Pokłóciłyśmy się na dobre. No i wyszła wreszcie za tego Rewina, a Borys zdziczał zupełnie. Zrobił się skryty, coraz mniej się odzywał. Tylko z moim Walerkiem przyjaźnił się dalej.

– Czy wie coś o swym ojcu?

– Myśmy mu nie mówiły. Ani ona, ani ja. Chyba jednak dowiedział się wreszcie o wszystkim. Na pewno znaleźli się dobrzy ludzie, którzy mu powiedzieli. I zadręczał się widać w skrytości bardzo, ale milczał i nikomu się nie zwierzał. Nawet Walerkowi.

– Więc o co pani ma pretensję do Michajłowej? Według mnie, zupełnie normalnie zareagowała na nieludzki postępek męża.

– Że normalnie, to normalnie. Pan jest jeszcze bardzo młody, to i wielu rzeczy nie może pan zrozumieć. Kiedyś powiedziała mi: „Wiesz, Borys to przecież mój syn, a ja nie mogę kochać go jak matka. Wciąż mam przed oczami jego ojca, nie mogę zapomnieć, że to jego dziecko”. Widocznie dawała dziecku odczuć coś, czego dziecko odczuwać nie powinno. Wciąż węszyła i czyhała bez ustanku, czy Borys też jakiejś podłości nie popełni. Czyż wolno tak? Dzieci nie odpowiadają za swych ojców. Nic więc dziwnego, że Borys wyrósł na mruka i dziwaka. A to, co mu się teraz przytrafiło, to na pewno też na tle nerwowym. To są właśnie skutki...

– E, to już lekka przesada – przerwałem jej.

– Jaka tam przesada! – nie dała się zbić z tropu. – Gdyby Borys nie uważał swego ojca za przestępcę i gdyby jego matka była dla niego lepsza, nie wyrósłby na takiego dziwaka. No, dobra. Wypaplałam wszystko o całym życiu moim i nie moim. A teraz mam prośbę. Właściwie, po to tu przyszłam...

– Słucham – powiedziałem z wahaniem.

– Czy nie mógłby pan zawiadomić jakoś Rewinę o tym, co się stało z Borysem i gdzie on teraz jest? Pojechać do niej czy choćby parę słów napisać... Bądź co bądź, to przecież matka. Ja bardzo bym nie chciał z nią teraz rozmawiać. Ani nawet do niej pisać, bo zaraz mnie poniesie i gotowam znów jej nawymyślać!

Obiecałem, że napiszę i Kurilina wreszcie poszła.

Okazało się jednak, że kartki pocztowej nie miałem przy sobie, a po wyjściu z pracy zapomniałem o tym na śmierć. Miałem jeszcze mnóstwo spraw do załatwienia przed urlopem. W dwa dni później wyjechałem na Krym.

Na Płaskowyżu Sobdonnoskim

Walery Kunlin - geolog

Ledwie otworzyłem oczy, oprzytomniałem od razu i dygocząc z zimna włożyłem waciak, zapinając go pod samą szyję. Na wschodzie, poprzez gęstą, niebiesko-ołowianą zasłonę mgły z trudem przedzierały się pierwsze szkarłatne pasma. Ostrożnie, by nie obudzić kolegów, wysunąłem się z namiotu, starannie zasłaniając za sobą wejście brezentową płachtą.

Miłka przywitała mnie cichym, radosnym skomleniem. Kręciła się koło moich nóg, mały kłębek białych, rudych i czarnych kudłatych łatek. Schyliłem się i pogłaskałem psa. Sprawdzałem i przypominałem sobie, czy czegoś nie zapomniałem. Ładunki ze śrutem do dubeltówki, myśliwski nóż wetknięty za cholewę, kanapki, flaszka pieprzówki, zapalniczka... chyba wszystko?

Zdaje się, że wszystko W takim razie w drogę.

Gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie bagniska. Prawdę mówiąc cały ogromny płaskowyż sardonnoski to jedno wielkie bagnisko. Lubię moczary. Nawet nie dlatego, że jestem geologiem-torfoznawcą. Torf to tylko jeden z kaustobiolitów, bodaj najmniej ważny z eksploatowanych paliw. Nie, moczary lubię nie z powodu torfu...

Z iluż rzeczy warto w życiu zrezygnować dla samych choćby nie kończących się wędrówek po grząskim i uginającym się pod nogami gruncie! Rozchylona trzcina z szelestem zamyka się natychmiast za człowiekiem. Zupełnie jakby mówiła: nie ma dla ciebie powrotu, tutaj twój cały świat. Jest w tym coś z Kiplinga, coś egzotycznego, coś, co przywodzi na pamięć zapomniane dziecinne marzenia...

Nieprzebyty gąszcz trzin, dwa razy wyższy od człowieka. Pod nogami chlupie błoto, nawet nie chlupie, a mlaska. Miękki grunt ugina się, ślad, jaki pozostawiam za sobą, od razu zaczyna się wypełniać mętną wodą. Już siedemnaście dni pracujemy tutaj, na tych sardonnoskich moczarach, my, czterej młodzi, pełni zapału naukowcy. Szczerze mówiąc trudna, niewdzięczna praca. Ostrożnie, powoli i starannie wybieramy trasy. Plecy trzeszczą od ciężaru teodolitowych i niwelacyjnych trójnogów, od stalowych drągów mierniczych. W marszu lubię mieć wolne ręce. Ale nie zawsze jest to możliwe. Często trzeba coś nieść, na przykład skrzynkę z narzędziami lub coś innego.

Wszystko to jednak drobiazg wobec komarów. Są nieustraszone, nic sobie z tego nie robią, że odganiamy ich rękami. To zwarte chmury swędzącego gazu, którego każda poszczególna cząsteczka brzęczy przenikliwie cienko, doprowadzając człowieka do szału. Może zresztą przesadzam. Komary można ostatecznie znieść. Ale na biwakach nawiedzają mnie czasem

takie ponure myśli. Namiot rozbijamy wśród bagien, wprost na błocie. Pośpiesznie rozpalamy ognisko i bez przerwy dokładamy wciąż nowe porcje suchej trzciny i bagna. Dziwna roślina to bagno. Jak silnie pachnie! Gdy zobaczyłem je po raz pierwszy, nie wierzyłem, że niepozorne białawe kwiatuszki mogą wydawać taki silny, cierpki zapach. Zwłaszcza gdy przygrzewa słońce. Czasem wydaje mi się, że właśnie po to wybieram się co roku latem na moczary, by znów odetchnąć wonią tych kwiatków. Ale oczywiście nie tylko po to. Zapach bagna odurza, czasem aż głowa od niego boli. Na moczary zaś przyjeżdżam, bo to mój zawód, który zresztą dość lubię, może właśnie dlatego, że skazuje mnie nieraz na wielkie udręki.

Palące się bagno pachnie zupełnie inaczej. Wydziela biały gryzący dym, od którego oczy natychmiast zaczynają łzawić. Ale innej rady nie ma. Albo trzeba dusić się tym odurzającym, gryzącym dymem, albo zgodzić się, by człowieka pożarły komary, które nie boją się ani kremu „Tajga”, ani kolońskiej wody „Gwoździk”. Ognisko to wielkie błogosławieństwo. A poza tym jest sygnałem dla samolotów. Lotnicy tak już się wprawili, że zasobniki zrzucają nam niemal wprost do rąk. W zasobnikach dostarczają nam żywność, listy, gazety, czasem ktoś przyśle paczkę ze słodyczami. Przyjemnie jest poczytać sobie przy blasku ogniska „Izwestia” i dowiedzieć się, co ostatnio pokazywano w moskiewskiej telewizji. Gdy nad moczarami ścielą się mgły, gdy robi się wilgotno i przenikliwie zimno, wsuwamy się do namiotu i pakujemy się do śpiworów. Zасыpiamy od razu, nie zważając na brzęczenie komarów. Te, którym nie udało się dostać do ..namiotu, czekają na nas na zewnątrz. Gęsto obsiadają ‘ brezent i pierwsze blaski wschodzącego słońca przechodzą przez nie jak poprzez rudoszary filtr.

Trochę za dużo rozgadałem się o tych komarach, ale wszyscy mówimy tu o nich bez przerwy. I teraz też, gdy wstałem o świcie, nieprzeliczone zastępy tej skrzydlatej armii już formowały nad głową pospolite ruszenie.

Do jeziora o dziwnej nazwie Worota jest mniej więcej godzina drogi. Nasłuchałem się o tym jeziorze wiele dobrego i złego. Podobno jest to najlepsze na świecie miejsce do polowania na kaczki. Najzupełniej wystarczający powód, by wybrać się nad jezioro, zwłaszcza że jeszcze nigdy nad nim nie byłem. Miałem mapę i kompas, więc byłem pewny, że trafię równie łatwo i szybko jak w Moskwie ze swego mieszkania na Dworzec Kijowski.

Z wolna sitowie zaczyna rzednąć. Przede mną coraz częściej otwierają się polany porośnięte turzycą, srebrzystobiałą wełnianką i żurawiną.

Jak wciąż jeszcze mało znamy nasz kraj! W dzieciństwie marzyłem o dziewiczych puszcach Amazonki. Nie mogłem się nadziwić, że gdzieś w Para czy Mato Grosso połowa kraju jest jeszcze nie zbadana. I nawet do głowy mi nie przychodziło, że w naszym własnym kraju także istnieją „białe plamy”. I właśnie teraz już osiemnasty dzień chodzę po takiej białej plamie.

Płaskowyż sordonnoski to olbrzymia, bezludna, górzysta okolica o bardzo surowym klimacie. Zresztą okolica to nie jest odpowiednie słowo. Sordonnoch to kraj, wcale nie mniejszy od Belgii, który leży na Wyżynie Ojmiakońskiej, niezbyt już daleko od bieguna zimna. Nie było jeszcze na tych terenach żadnej wy-prawy naukowej zoologów czy botaników. A mieliby tu co robić. Bardzo mało znam się na geobotanice, ale jednak zdaję sobie sprawę, że sordonnoskie fitocenozy mogą nie-

jedną dotychczasową teorię o florze polodowej wywrócić do góry nogami.

Ciekawa rzecz! Nawet nieco zabawna: gdy tylko od spraw codziennych przechodzę do naukowych, od razu zaczynam mówić specjalistycznym, „naukowym” językiem. Ale to jest mimowolne, odruchowe. Nie o to zresztą chodzi. Najważniejsze, że wielu, bardzo wielu kolegów zamiast wypisywać wysrane z palca dysertacje mogłoby dokonać tu prawdziwych odkryć.

Chociażby tylko te purpurowe kobierce, cóż to za temat! Często spotykamy w tych stronach ogromne połacie porośnięte czerwonym mchem o długich łodygach. Roman Orzanski, nasz geodeta, uważa, że są to mchy torfowe z trzeciorzędu. Wymyślił nawet dla nich nazwę: sphangum relictum. Trudno mi wypowiadać się w tej sprawie, ale nigdzie indziej na Syberii takiego mchu nie widziałem. Gdy zaczynam wyliczać zagadki płaskowyżu, zupełnie przestaję panować nad sobą. Przecież to olbrzymi naturalny rezerwat, na którego przyrodę człowiek nie wpłynął jeszcze w najmniejszym stopniu. Powinna przyjechać tutaj duża ekspedycja w pełnym składzie naukowców... To aż oburzające! Nikt się tym nie interesuje, tylko od czasu do czasu Zaglądają tu myśliwi czy któryś z geologów. Ale na-wet oni zebrali bezcenny materiał. Jakąż zdobyczą jest bodaj owa rybka, którą geolog Twiordochlebow złowił w jednym z tutejszych jezior! Przedziwna rybka o mięsie pomarańczowego koloru...

Nie wytrzymałem i napisałem dokładne sprawozdanie do dyrektora naszego instytutu. Przesłał je do Prezydium Akademii Nauk. Zdaje się, że nie pozostało to bez echa i na przyszły rok zaplanowano ekspedycję. W każdym razie wczoraj

zrzucono nam na spadochronach dwa skafandry pługonurków i kompresor z benzynowym motorkiem dla dokonania wstępnych badań jezior, których jest tu mnóstwo.

Przypuszcza się na ogół, że w trzeciorzędzie cała ta niezmiernie okolica była nizinna i stopniowo obniżała się coraz bardziej w kierunku wschodnim, ku brzegom ochockim. Procesy tektoniczne wypiętrzyły niziny na wysokość kilometra ponad poziom morza, rzeki zmieniły koryta, a nawet kierunek. Sordonoch oderwał się od Morza Ochockiego. Zatamowane zwałami skalnymi, rzeki z wolna przemieniły się w cały system połączonych ze sobą jezior.

Miłka żwawo przeskakiwała z kępy na kępę. Poweselała od razu, gdy tylko skończyła się trzciniowa dżungla. Ja również pewnie poczułem się na otwartej przestrzeni. Wokół były tylko kępy turzycy i polany czerwonego mchu.

Szedłem już z półtorej godziny, a jeziora wciąż jeszcze widać nie było. Byłem jednak przekonany, że idę we właściwym kierunku i śmiało szedłem dalej. Gdy wreszcie na widnokręgu zaśniła rtęciowym ;,blaskiem gładka tafla wody, słońce było już wysoko. Odbijało się w każdej kropli rosy, a każda czerwona Jagódka żurawiny czy łochyni błyszczała jak polakierowana. Nawet maleńka drapieżna rosiczka wyciągała 'ku słońcu swe krzepkie listeczki, najeżone czerwonymi szpileczkami. Słońce oślepiało, ale grzało słabo. Wcale nie było ciepłej, choć wyraźnie czuło się zapach rozgrzanych kwiatów bagna i podbiału.

Jezioro, które niedawno mignęło z daleka, znów znikło mi z oczu. Wszędzie dokoła widać było tylko zielone turzyce,

czerwone mchy i na wpół ugrzęzłe w błocie ogromne głązy – pozostałość polodowcowa.

Nagle niespodziewanie blisko rozwarło się przede mną jezioro. Stałem nad urwiskiem porośniętym jaskrami i orlikami. W dole, ze dwadzieścia metrów pode mną, stalowym chłodnym blaskiem mieniła się woda. Nie wyglądała zachęcająco, zdawała się złowieszcza. Wiatru prawie nie było. Powierzchnia jeziora była gładka, tylko ostra, niby blaszana turzyca drżała leciutko. Miłka z radosnym skomleniem pognąła w dół, ku wodzie. Beztrosko szedłem za nią. Pobiegła prosto ku zarośniętej sitowiem i strzałką zatoczce. Miłka czuje kaczki z daleka. Szybko więc załadowałem dubeltówkę i pobiegłem za psem.

Nie zdążyłem jeszcze przebiec nawet stu metrów, gdy Miłka zatrzymała się nagle jak wryta. Powiewające jak szmatki na wietrze uszy postawiła sztorcem, zjeżyła krótką sierść. Z pyskiem zwróconym w stronę jeziora pies przywarł do samej ziemi. Gdy podszedłem, nabrała nieco odwagi i zaczęła ujadać złowrogo i zajadle. Jeszcze nigdy nie zdarzyło się jej coś podobnego. Rozejrzałem się zdziwiony. Nad zalewem, spłoszone szczekaniem psa, poderwały się w powietrze dwa kaczory. Chwyciłem strzelbę, ale Miłka złapała mnie zębami za nogawkę spodni i pociągnęła ku wodzie. Opuściłem dubeltówkę i złażałem sukę. Z miną winowajcy pomerdała ogonem, ale nogawki z zębów nie wypuściła. Spojrzałem na jezioro. W odległości mniej więcej trzystu metrów od brzegu coś wielkiego połyskiwało w słońcu. W pierwszej chwili myślałem, że to pływa jakaś pusta beczka po benzynie. Ale skąd by się tutaj wzięła?

Gdy przyjrzałem się lepiej, przekonałem się, że jest to coś żywego. Zawróciłem i co tchu wybiegłem z powrotem na

urwisko. Miłka, wyjąć przejmująco, pędziła za mną. Na górze mniej raził słoneczny blask, widać było lepiej. Nieznane zwierzę szybko płynęło do brzegu w moim kierunku. Można już było rozpoznać wystające z wody części. Ciemnoszare potężne cielsko musiało mieć chyba z dziesięć metrów długości, a jego przednia część (trudno mi nazywać to głową, niczego bowiem dokładnie widać nie było) miała ze dwa metry. Oczy były rozstawione szeroko, po obu stronach zaś tej głowy widać było dwie jasne plamy. Grzbiet stwora zakończony był ogromną płetwą. Taką, czy też bardzo podobną płetwę widziałem u ryby miecznika na ilustracji w książce Brehma. Dziwo to płynęło jak żaba, głowa to się pojawiała, to znikwała. Kilkadziesiąt metrów od brzegu zwierzę zatrzymało się, zaczęło energicznie pluskać w wodzie, wzbijając fontanny bryzgów, wreszcie zanurzyło się zupełnie.

Miłka, która już się tymczasem uspokoiła, teraz znów zbiegła na dół, nad samą wodę i zaczęła obszczekiwać rozchodzące się po niej kręgi. Ja również, jakbym zbudził się z uspienia, pobiegłem wzdłuż brzegu. Wystrzeliłem nawet, nie wiadomo po co, z obu luf w wodę. Strzały głucho rozległy się w powietrzu, a śrut musnął stalowoszarą powierzchnię jeziora.

Dziwny stwór już się nie ukazał więcej. Zupełnie mi się odechciało polować na kaczki. Zawołałem Miłkę, uciszyłem ją i przysiadłem na dużym szarym kamieniu, by jakoś zebrać myśli i zastanowić się nad tym, co widziałem. Nie byłem wcale głodny, ale jakoś machinalnie rozwinąłem z celofanu kanapki i zacząłem jeść. I nagle znieruchomiałem z nadgryzionym kawałkiem w ręku i otwartymi ustami. Przypomniało mi się!

Dwa lata temu, pewnej śnieżnej, bardzo mroźnej nocy przyjechałem na motorze do Ostroża, małej myśliwskiej osa-

dy. Muszę jeszcze dodać, że Ostroże, najbliższe ludzkie osiedle od jeziora Worota, leży przecież od niego nie mniej niż ze sto dwadzieścia kilometrów.

Zatrzymałem się u Froła Timofiejewicza Makarowa. Przyjaźniliśmy się z nim już dawno. Zresztą, każdy geolog naszego Instytutu, nawet nie znając jeszcze osobiście Makarowa, był już z góry jego przyjacielem. Przed dwudziestoma laty Froł Timofiejewicz był przewodnikiem ekspedycji hydrogeologów. Prowadził ich do Łabyńkyru, największego z tutejszych jezior. Od tamtej pory Makarow zawsze rad był przysłużyć się „nauce”. Tak właśnie tytułował każdego z nas: „nauka”.

Dom Makarowa zbudowany był z solidnych cedrowych bali, pociemniałych ze starości i od wilgoci. Gospodarstwo miał prymitywne, tak samo jak i reszta jego sąsiadów. Wszyscy tutaj zajmowali się przede wszystkim myślistwem i rybołówstwem.

Wszedłem do sieni cały zaśniewony, w obłokach pary. Otrzępywałem miotełką walonki, a tymczasem Makarow po-brzękiwał w izbie naczyniami. Widocznie nakrywał do stołu.

– Ano, witaj, witaj nauko – odparł na moje powitanie, przyglądając mi się bystro oczami kłującymi jak sobole ślepki.

– Przywiozłem wam coś, Frole Timofiejewiczu – powiedziałem, sięgając do plecaka. Każdy z nas zawsze przywoził Makarowowi jakiś prezent z Moskwy. Wszystkie one pochodziły przeważnie ze sklepu „Myślistwo i Rybołówstwo” na Kuznieckim.

– Mamy czas. Najpierw niech zje, odpocznie. Potem sobie pogadamy. A podarek nie ucieknie.

Duszkciem wypiliśmy szklanekę wódki, którą Froł Timofiejewicz nalał z nie napoczętej jeszcze ćwiartki.

– U–ch, jaka dobra!

– No, no, właśnie. A teraz niech spróbuje mrożonej żurawiny. Zaraz będzie mięso i kartofle. Garnczek już w piecu... Nie obabił się jeszcze?

– Nie, Timofiejewiczu, nie ożeniłem się.

Za oknem była wichura, śnieg walił na dach, a mnie tak rozebrało ciepło i uczucie sytości, że z trudem unosiłem powieki. Tej nocy nie pogadaliśmy już sobie z Makarowem. Od razu po tej późnej kolacji stary posłał mi na podłodze przy piecu niedźwiedzią skórę, na której położyłem się z rozkoszą, zwinąłem się w kłębek i usnąłem.

Gdy się zbudziłem, błękit nieba słabo prześwitywał przez zamarznięte szybki. W izbie panował ów miękki, nie dający się określić półmrok, tak charakterystyczny dla krótkich i mroźnych zimowych dni.

Stary energicznie i zwinnie krzątał się już koło śniadania.

Spostrzegł, że nie śpię, i machnął ręką:

– Nie wstawać, nie wstawać! Zmęczył się wczoraj przecież.

A po krótkiej chwili zapytał:

– Po co przyjechał?

Wówczas, przed dwoma laty, dopiero zabieraliśmy się do wstępnych badań sordonnoskich moczarów. Do noszenia tyczek na trasie, do kopania dołów potrzebni byli nam ludzie. Liczyłem, że właśnie Makarow pomoże mi zorganizować sezonowych robotników na lato. Należało umówić się z nimi już teraz, żebyśmy potem mogli od razu zacząć pracę pełną parą. Powiedziałem Frołowi Timofiejewiczowi o tym wszystkim.

– Nie takie to proste, nauko. Ludzie się teraz po-rozłazili – jedni na tajgę, inni na błota, nie ma z kim się umawiać. Teraz

przecież najlepsza pora na zwierzynę. Ale w ogóle, to dlaczego nie, zrobi się. Do lata daleko, ludzi ci się naschodzi. Czemu by nie pójść? Sam chętnie pójde. Wy przecież też będziecie chcieli czasem rybki połowić. U nas latem kto żyw ryby łapie. Jezior tu nie brak. Głębokie jeziora, czyste. A skąd byście chcieli zaczynać te wasze pomiary?

Wyjąłem mapę i pokazałem staremu rejon pomiędzy jeziorami Łabyntyry i Worota.

– Aha – powiedział i umilkł. – Niedobre miejsce wybrałeś, nauko.

– Dlaczego niedobre? – zdziwiłem się. – W lecie obmierzymy i naniesiemy na mapę. Na drugi rok pójdziemy wytyczonymi trasami i przeprowadzimy próbne wiercenia. Jeśli wyniki analiz i prób będą pomyślne, to na trzecie lato wytyczymy sieć melioracji. Popatrzcie tylko...

Pokazałem mu zaznaczone na mapie wysokości i poziomy wód gruntowych.

– Tu jest spadek i tu jest spadek. Przeprowadzimy więc dwa główne kanały. Od zachodu woda będzie spływać do Łabyntyry, od południowego wschodu do Jeziora Tomyskiego i Worota.

– Nie o to idzie, nauko.

– A o co?

– Niedobre są tamte miejsca. W szczególności Worota. Diabeł mieszka w tym jeziorze, ot co.

– I wy naprawdę w to wierzycie? – zdziwiłem się. – Po tylu latach współpracy z uczonymi?

Stary zasępił się.

– Nie trzeba się śmiać młody człowieku. Nie ma nic do śmiechu. Wiem, co mówię. To właśnie w Worotach żyje. Nasi

diabłem to zwa. A jakie ono jest, tego nikt nie wie. Pamiętam, ojciec mi jeszcze opowiadał, jak to goniło jego tratwę. Całe ciemnoszare, jak grzbiet lisa, skrzela ma z czerwoną błoną, a paszczę wielgachną-wielgachną. Sam też to widziałem. Jak prowadziłem Aleksandra Maksymowicza Dymowa do „Worot, to się nam właśnie zdarzył wypadek. Zachciało się Aleksandrowi Maksymowiczowi gęsi pieczonej w glinie. Bardzo lubił tę potrawę. Ano, przyrzekłem mu i wybraliśmy się na polowanie. Gwizdnąłem na swego pieska i poszliśmy nad jezioro... Przepłoszył piesek parkę jak należy, a ja z obu rurek wygarnąłem do ptaków w locie. Oba ptaki jak dwa kamyki w wodę spadły. Piesek skoczył po nie. Najpierw jedną gąskę w zęby i do brzegu płynie. Ale nie dopłynęła psina. Zachlapała nagle i znikła pod wodą. Wszyscy mówili, że to ten diabeł ją wciągnął. A zeszłego roku psa mego szwagra, Łuki, też ten diabeł złapał. Taka to sprawa...

Nie powiem, żebym wtedy staruszkowi wcale nie wierzył. Dobrze wiem, że Makarow niczego nie zmyśla. Po prostu uważałem, że troszeczkę, odrobinę, może nawet nieświadomie, przesadza. Myślałem nawet wtedy, że kto wie, czy nie pływa w sordonnoskich jeziorach jakaś wielka drapieżna ryba, którą warto by się zainteresować.

Potem zapomniałem o tym wszystkim i dopiero teraz przypomniało mi się znowu. Wygląda na to, że przed chwilą widziałem na własne oczy tego sordonnoskiego diabła.

Gdy po powrocie do namiotu opowiedziałem, co mi się wydarzyło, wywołało to prawdziwą sensację. Roman natychmiast zaproponował włożyć aparaty płetwonurków i zbadać dno jeziora.

– Dobrze ci mówić: zbadać – zaprotestowałem. – Jezioro ma z dziesięć–dwanaście kilometrów długości, a w niektórych miejscach głębokie jest na osiemdziesiąt metrów.

Roman od razu przycichł i zmarkotniał. Trzeci uczestnik naszej wyprawy, tak samo gruby jak Roman, tylko bardziej flegmatyczny i roztargniony, Borys Rewin, z zakłopotaniem zaczął mrugać powiekami o zupełnie białych rzęsach i, zmrużywszy swe krótkowzroczne oczy, spytał:

– Dobrze sobie przypomnij, jakie to było: czy to olbrzymia ryba, czy raczej płaz?

– Skądże ja mogę wiedzieć, mój kochany? Zdaje mi się, że raczej płaz.

– Ale jaki płaz?

– Czego ty ode mnie chcesz? Sto razy powtarzam w kółko, że dokładnie nie widziałem!

– Nie zwracaj mu głowy, Borysie! – ujął się za Roman. – Mówił przecież już, że nie wie. Skąd

licha może się znać na tych gadach i amfibiach?

Ale dla Borysa nie miało to żadnego znaczenia, kiedyś, w szkole, z powodu okrągłej głowy i grubych, nieco obwisłych policzków, przewano go Buldogiem. Zresztą, podobieństwo było nie tylko zewnętrzne. Nigdy dotąd nie spotkałem człowieka bardziej upartego

zawziętego. Wszystko chwycił jak buldog zębami. Jeszcze jako student na uniwerku wbił sobie do głowy szaloną teorię i ani rusz nie można było mu jej wyperswadować. Za wszelką cenę pragnął na własne -oczy zobaczyć coś z przeszłości Ziemi. Dziewiczy las drzewiastych paproci, mętne kredowe błoto, żywego jaszczura, owady z dewonu. Poszczególne kości czy nawet całe szkielety nie wystarczały mu, lekceważył odciski

na skałach osadowych czy kawałkach węgla. Wszystko chciał zobaczyć takie, jak było ongiś. Myślę, że wszystkiemu winien jest „Cień przeszłości”, fantastyczne opowiadanie Jefremowa. Borys doskonale rozumiał, że wspaniałego pomysłu pisarza w żaden sposób nie da się urzeczywistnić, ale nic nie mógł na to poradzić. Zazdrość gryzła go i toczyła, nie dawała mu spokoju. Zazdrościł bohaterom opowiadania! Zazdrościł i marzył.

Aż w końcu wymyślił. Uparcie, jak buldog, gdy w coś wpije się zębami, uczepił się swej idei. Zaczął zbierać bursztyny. Chodziło mu o owady, które niegdyś ugrzęzły w lepkiej żywicy. Żywica skamieniała na dnie morza i zamieniła się w bursztyn. Tak więc Borys stał się zbieraczem bursztynów. Nawet na urlop wyjechał na wybrzeże ryskie i tam niezmordowanie wyszukiwał bursztyny, wyrzucone przez fale przypiływu. Chodził też po wszystkich sklepach jubilerskich. Pieniądzy nie miał wiele i kupić tam nic nie mógł. Całe godziny sterczał tylko przed wystawami, wpatrując się w eleganckie ustniki i wszelkie inne wyroby z bursztynu.

– Jeśli chcesz podobać się Borysowi – mówili koledzy dziewczętom – to na spotkanie z nim wkładaj bursztynowe korale. Nie odstąpi cię na krok i z całą pewnością do samego domu odprowadzi.

Ale zaledwie w jednej na tysiąc żółtych i miodowoczerwonych bryłek żywicy sprzed tysięcy lat znajdował to, czego szukał: owada z niepopsutymi oczami. Wtedy Buldog niezwykle ostrożnie wydłubywał drogocenną zdobycz i umieszczał ją pod mikroskopem. W purpurze owadzych oczu usiłował dojrzeć odbicie owego dawnego świata, na który one kiedyś patrzyły. Chciał zobaczyć przeszłość oczami trupów. Oczywiście, nie osiągał nic, co by prowadziło do czegoś istot-

nego. Jednak pewnego razu Borys uzyskał mikrozdjęcie jakiejś siatki, a w każdej jej komórce widać było to samo paprociowe drzewo. Oto wszystko, co na wieki utrwaliło się w mozaikowych oczach jakiejś pradawnej muchy. Według mnie Borys na próżno marnował czas. Wątpię, czy z tej jego pasji mogłoby coś wyniknąć. Wspominam zaś o niej raczej tylko dlatego, by dać pojęcie o charakterze Borysa.

I właśnie z tym uporem buldoga przyczepił się do mnie, gdy dowiedział się, że jadę na niedostępne moczary sordonnoskie. Jego plan jak zwykle był całkiem prosty, nieskomplikowany i obliczony na szczęśliwy przypadek... Nie wiadomo dlaczego Buldog uważa, że szczęśliwy przypadek to coś, co samo przez się jest zrozumiałe.

– Słuchaj – mówił mi – skoro na sordonnoskim płaskowyzu zachowały się do naszych czasów jakieś resztki dawnej flory, wiesz, mam na myśli czerwony mech, to mamy podstawę spodziewać się ciekawych, zupełnie oszołamiających odkryć. Chyba się z tym zgodzisz, prawda?

– Przypuśćmy – odpowiadałem niechętnie. – I co dalej?

– Jedziesz tam, jesteś kierownikiem wyprawy, a ja jestem paleontologiem, więc koniecznie powinieneś zabrać mnie ze sobą. Wszystko, co będziecie chcieli, mogę robić razem z wami. Umieję nawet całkiem nieźle gotować.

Nie było sensu odmawiać. A teraz wydaje mi się chwilami, że Borys przeczuł spotkanie z sordonnoskim diabłem. Po nim można się wszystkiego spodziewać!

Taki to już człowiek. Tak uparty i prostoliniorny, że jego sukcesy przypisać można raczej znużeniu przyrody, której wreszcie od czasu do czasu uprzykrzy się ten upór Buldoga. To, czego nie można chwycić ręką, chwyta zębami.

Może jednak dosyć już o Buldogu. Budzi we mnie szacunek, ale jednocześnie irytuje mnie. Dlatego właśnie, skoro raz o nim wspomniałem, rozpisałem się tak bez końca. Wprost trudno sobie wyobrazić, jak się nam znudziło natrętne dopytywanie Borysa o tego diabła! Chciałby wyrwać ze mnie niby kleszczami to, czego ja sam nie wiem. I, kto wie, może mu się to udaje... Tak, wszystkiego można się po nim spodziewać!

Czwartego uczestnika wyprawy również mi narzucono. Może nawet nie tyle narzucono, co, jak by tu powiedzieć... Borysa sam zabrałem (spróbowałbym go nie zabrać!), a o zabranie biochemika, Artura Położencowa, prosił mój bezpośredni szef, więc też nie mogłem przecież odmówić!

Niezmiernie byłem zaskoczony, gdy pierwszy raz zobaczyłem tego Położencowa. Małego wzrostu i taki jakiś dziwny. Ma trzydzieści dwa lata, już jest profesorem, a zachowuje się jak sztubak, który naczytał się powieści przygodowych; zamiast wypocząć sobie gdzieś w górach czy nad morzem przyczepił się do naszej wyprawy na moczary. Na co mu to? Powiedziałem wtedy prosto z mostu:

– Czy zdaje pan sobie sprawę, panie profesorze, że będzie pan musiał robić wszystko to samo, co każdy z nas, proste codzienne prace, nie mające nic wspólnego z pana kwalifikacjami? Ludzi mam niewiele.

– Wiem – odparł z uśmiechem – to tylko na zdrowie mi wyjdzie.

– Jeżeli pan profesor tak uważa... Ale musiałem pana uprzedzić. Podobno Położencow wyjechał po to, by zapomnieć o nieszczęśliwej miłości. Nie wiem, jak to tam jest. Trudno mi coś stanowczo twierdzić na ten temat. Nie [wyróżnia się niczym specjalnym od innych członków [wyprawy, robi to co i

my. Jest wesoły, wysportowany, lubi polować i prawdopodobnie nie zostawiłby kolegi w biedzie. Jest tylko jakby nieco skryty. Ale to nikomu nie przeszkadza. Z pewnym niedowierzaniem wysłuchał mego opowiadania o diable z jeziora. Było mi trochę głupio. Nie lubię ludzi, którzy przybierają takie miny, jakby już nic ich nie dziwiło. Jest w tym jakaś poza, coś z kowbojskich filmów.

Tacy są moi trzej towarzysze, którym przed chwilą opowiedziałem o spotkaniu z diabłem.

Był już wieczór i zrobiło się chłodno, wcześniej więc schroniliśmy się do namiotu. Długo jeszcze rozmawialiśmy o tajemniczym gadzie, snuliśmy różne plany, ale nic mądrego nie wymyśliliśmy. Roman usnął pierwszy, potem równomierne zaczął posapywać Położencow. Mnie także z wolna zaczęły kleić się oczy. Zasypiając słyszałem jeszcze, jak Borys cmoka językiem. Jeśli mu coś utkwi w głowie, całą noc nie zmrzy oka, tylko będzie tak cmokał i cmokał.

Artur Wikientiewicz Położencow - profesor biochemii

Właściwie nie braliśmy w ogóle pod uwagę możliwości, że Kurilin zechce nurkować w jeziorze. Ani razu wprowadzić nie powiedział, że nie ma zamiaru, ale było oczywiste, że na dwa aparaty do nurkowania jest aż trzech amatorów. Wcale nie posądzam Kurilina o tchórzostwo. Tchórz zaraz na drugi dzień uciekłby z tych moczarów. Po prostu, jak na swój wiek, jest on za bardzo ostrożny. Zresztą, co tu dużo gadać, był kierownikiem ekspedycji i właściwie nawet nie powinien nurkować. Roman natomiast chwycił cały rynsztunek płetwonurka i

oświadczył, że odda go tylko wraz z życiem. A Borys Rewin powtarzał uparcie w kółko:

– Jestem paleontologiem, chyba sami przyznacie, że powinienem zobaczyć na własne oczy tego potwora.

– Powiedz jeszcze, że jesteś jego rodzonym ojcem! – drażnił się z nim Roman.

Zaczęli się kłócić i przygadywali sobie złośliwie. A im bardziej stanowczo i uparcie Borys twierdził, że ma niezaprzeczone prawo, tym bardziej denerwował się i zaperzał Roman. W końcu Walery i ja musieliśmy się wtrącić. Spokojnie wytłumaczyliśmy Borysowi, że może nam popsuć całą akcję, ponieważ jeszcze nigdy nie miał do czynienia z takimi aparatami, a w dodatku nie umie przecież pływać.

Najzupełniej niespodziewanie dał sobie wytłumaczyć i przyznał nam rację. Z tego by wynikało, że rzeczywistości wcale nie jest taki uparty, jak sądziliśmy. Logiczna argumentacja trafia mu do przekonania. Ten dziwny chłopak coraz bardziej mnie zaciekawia.

Wobec tego tylko ja i Roman wchodziliśmy w rachubę. Mieliśmy złożyć wizytę nieznanemu potworowi. Wyprawa wcale nie była taka bezpieczna. Nie posiadaliśmy niestety odpowiedniej broni i trzeba było coś naprędce zaimprovizować. Ześrubowaliśmy po dwie żerdzie wiertnicze, a na ich końcu umocowaliśmy drutem myśliwskie noże. Powstało w ten sposób coś w rodzaju dwóch dzid czy oszczepów, którymi można było jakoś się bronić w razie potrzeby.

Pierwsze zanurzenie rozczarowało nas, choć widoczność wody była doskonała. Taka widoczność nawet w morzu rzadko się zdarza. Najdrobniejsze szczegóły widać było dokładnie. W gąszczu sitowia i tataraku roiły się pokraczne poczwarki

ważek. Żywy jak kropelka rtęci, pajaczek topik prządl swój podwodny dzwon. Zwinne śmigi krzątały się dokoła i ostrożnie chwyciły malusieńkie kawałeczki wodorostów.

Płynąłem powoli, rozsuwając ramionami śliskie sitowie. Jego żółtozielone szyszczyki kwiatostanów całe pokryte były ślimaczkami. Przedemną płynął jakiś ciemny stwór. To był Roman, który w kostiumie płetwonurka wydawał się w wodzie olbrzymem.

Dno obniżało się stopniowo. Mniej więcej co dwadzieścia metrów nurkowaliśmy w głąb. Ale wciąż na próżno. Tajemniczego płaza nigdzie nie udało się nam dostrzec.

Mimo skafandra, swetrów i wełnianej bielizny zaczęliśmy marznąć i zawróciliśmy do brzegu. Zbadaliśmy zaledwie jedną setną jeziora i nic dziwnego, że wracaliśmy teraz z pustymi rękami. A tyle obiecywaliśmy sobie po tym nurkowaniu! Do rozpaczki nie było jeszcze powodu, ale ogarnęło nas zwątpienie. Ja jeszcze starałem się jakoś nadrabiać miną, ale Roman, z łoskotem przedzierając się przez turzycę, miał ponury wyraz twarzy i z niezadowoleniem wydymał wargi. Biedne, obrażone dziecko! W gruncie rzeczy jest właśnie dzieckiem. Cóż, jestem przecież o dziesięć lat starszy od niego. To dużo, a równocześnie niewiele, gdy człowiek jest zakochany! Jeśli opuści cię kobieta, jeśli chce odejść na zawsze, to czy się ma dwadzieścia czy trzydzieści lat, cierpi się jednakowo. Jak gdyby słońce uchodziło za chmury, na zawsze. I nigdy już człowiek tak kochać nie będzie. Cóż, nic w naszym życiu nie jest proste... Gdy ma się lat dwadzieścia, nie wie się jeszcze o tym, ale gdy się ma trzydzieści, to już się rozumie, że... niczego w życiu przewidzieć nie można. Tylko że świadomość tego niewiele pomaga. Serce rzadko kiedy słuca rozsądku. Chyba nigdy.

Tak więc nie zobaczyliśmy wtedy sordonnoskiego diabła!

Tego samego jeszcze wieczora Walery rozpostarł na ziemi ogromny arkusz kalki kreślarskiej, na którym, wśród niezliczonych warstwie i ciągów teodolitowych, trudem rozpoznałem kontury jeziora Worota.

Będziemy musieli podzielić jezioro na kwadraty – powiedział Walery, biorąc do ręki suwak logarytmiczny. – Inaczej w żaden sposób nie damy rady.

– A ryba pewnie jest przywiązana – z przekąsem powiedział Roman, który sordonnoskiego diabła uparcie nazywa rybą. – Siedzi sobie w jednym z kwadratów i czeka, aż przeszkąmy inne. Przecież to nie martwy przedmiot, lecz żywe stworzenie! Zabawni jesteście, doprawdy...

Na plan padała blednąca plama światła. Bateria kieszonkowej latarki wyczerpywała się, drucik w żarówce poczerwieniał.

Roman miał do pewnego stopnia rację. Nie było sensu dzielić jeziora na kwadraty. Ale była druga strona medalu. Nie wie się o niej jeszcze, gdy się ma dwadzieścia dwa lata...

– Nie macie racji, kolego – powiedziałem do niego: – Podzielenie jeziora na kwadraty konieczne jest dla naszej własnej dyscypliny. Tak jest wygodniej. Bo jeśli będziemy szukać bez żadnego porządku i planu, to wkrótce rozczarujemy się i zniechęcimy do wszelkich poszukiwań. Jasne?

Roman kiwnął głową.

– To tak, jakbyśmy sami siebie oszukiwali – ciągnąłem dalej. – Ale kłamstwo, jeśli potrzebne, jest dobre. Czasem, na przykład, człowiek zmęczy się długim marszem. Zdaje mu się, że już ani kroku zrobić nie może. Wtedy powiada sobie: „Jeszcze tysiąc kroków i odpocznę”. A ma przed sobą wiele razy po

tysiąc kroków. Idzie więc ten pierwszy tysiąc, ale nie siada, tylko znów mówi sobie: „No, jeszcze choć z pięćset...” Taki człowiek zawsze dociera do celu.

Sam nie wiem dlaczego, zmieszałem się nagle i obejrzałem za siebie. Borys z napięciem wpatrywał się we mnie wytrzeszczonymi oczami. Gdy spostrzegł, że poczułem na sobie jego wzrok, uśmiechnął się cicho i nieśmiało. Jakiż niezwykle jest jego uśmiech!

Głucho zadudniły krople po brezencie namiotu. W ciasnym wnętrzu, słabo rozjaśnionym mętnopomarańczowym światłem latarki, było ciepło i przytulnie. Deszcz przybierał na sile. Zaszyliśmy się w nasze śpiwory i leżąc gwarzyliśmy sobie. Roman opowiadał kawały. Opowiada seriami, według tematu. Wiele z nich znam jeszcze ze studenckich czasów.

Zasnąłem jakoś niepostrzeżenie w trakcie serii na temat lekarzy.

Gdy rankiem wyszliśmy z namiotu, śladu nie było po wczorajszej niepogodzie. Niebo głębokie i czyste, wokoło wszystko lśniło, mieniło się, skąpane rosą i chłodem. Błotne trawy wydzielały gorzkawą i cierpką woń ziołowego naparu. Na krawędzi namiotu krople deszczu wyglądały jak rozsypane ametysty, szmaragdy, akwamaryny i topazy, a długie palce słonecznych promieni zgarniały je bez żalu.

Umyliśmy się i zjedli pośpiesznie śniadanie, załadowaliśmy na ramiona aparaty do nurkowania i ruszyliśmy ku jezioru. Walery i Borys wzięli teodolit, wiertło i już o świcie poszli na ołonieckie bagna. Musieli teraz wykonać plan za nas czterech, ponieważ ja i Roman poświęciliśmy się poszukiwaniu tego gada. Ale tym razem nie mieliśmy szczęścia, nic nie znaleźliśmy.

Płynęły dni podobne do siebie, urozmaicone emocją podczas łowów, rozczarowaniem i znów nowymi nadziejami. Codziennie kilka godzin spędzaliśmy w wodzie. Wieczorem zakreskowywałem na planie nowy kwadracik. Pozostawała do zbadania już tylko niewielka część jeziora.

Walery i Borys bohatercko wykonywali pracę za nas czterech. Ani oni, ani my nie mieliśmy chwili wolnego czasu. O ile przedtem lubiliśmy wieczorami pogadać sobie, pograć w karty czy w szachy lub po prostu posiedzieć przy ognisku, teraz zasypialiśmy natychmiast. Za każdym razem, gdy wracaliśmy znad jeziora, Borys patrzył na nas uważnym i pełnym nadziei wzrokiem. W milczeniu rozkładałem ręce. Borys nie pytał o nic. Czekał.

I znowu, po raz nie wiadomo już który, wychodzimy z wody. Chłapiąc płetwami mącimy wodę wznosząc bryzgi miękkiego szlamu, rozchylamy ramionami sitowie. Twarze mamy spokojne, pogodne. Ich spokój i pogoda przeznaczone są dla tych, co na nas patrzą. „No to co, że dziś nic nie znaleźliśmy – mówią one. – Znajdziemy jutro lub pojutrze. Im więcej niepowodzeń, tym większa szansa, że kiedyś wreszcie musi się nam powieść. Wszystko jest jak należy”.

Walery i Borys siedzą na brzegu. Postanowili dzisiaj odpocząć. Miłka także siedzi spokojnie u nóg Walerego. Walery trzyma na kolanach dubeltówkę.

– No, jak wam poszło, łowcy? – jakoś zupełnie apatycznie pyta Walery.

– W porządku! – nieco zbyt szybko i energicznie odpowiada Roman.

A Borys i ja milczymy.

Walery wstaje i, gwizdnąwszy z cicha, rusza na swe ulubione miejsce, by trochę sobie postrzelać. Idzie w kierunku zarośniętego turzycą, wyschniętego łożyska płynącej tu ongiś rzeki. Miłka jak pstry, wesoły kłębuszek toczy się za nim.

Zdjąłem skafander i położyłem się na miękkiej, wysokiej trawie łąki. Nade mną chwieją się złociste, liliowe i różowe kwiaty. A jeszcze wyżej, nad nimi, leniwie płyną po niebie przezroczyste i postrzępione obłoki.

Obudził mnie huk wystrzału.

– Ale wygarnął dublet! – powiedział Roman i zerwał się na równe nogi.

Uniosłem się na łokciu, potem wstałem.

Na powierzchni wody, ze sto metrów od brzegu, trzepotała się kaczka. Walerego nie było widać. Natomiast stojąc na niewielkim wzniesieniu widzieliśmy doskonale jak sitowie porusza się i pochyla nad nim. Wkrótce dostrzegliśmy Miłkę. Płynęła ku trzepocącej się kaczce. Zwinnie poruszając łapami, rozgarniała piersią wodę, a fale pod ostrym kątem rozchodziły się na boki.

Do kaczki pozostawało jeszcze parę metrów, gdy jagle Milka zaskomlała żałościwie i pogrzyżyła się w wozie. Po chwili jej głowa ukazała się na powierzchni, znikła znowu.

Nie mieliśmy pojęcia, co to może znaczyć, gdy nagle znów rozległ się wystrzał. Drgnąłem i obejrzałem się. Galery biegł do nas. Gwałtownie wymachiwał rękami, pokazując na wodę tam, gdzie przed chwilą znikła nieszczęsna Miłka.

Zrozumieliśmy wszystko i bez słowa, pospiesznie zaczęliśmy wkładać sztywne i ciężkie kombinezony płetwonurków.

Wskoczyliśmy do wody i tam Roman pierwszy zobaczył dziwne zwierzę. Zatrzymał się nagle, szeroko rozstawiając nogi i obrócił do mnie, wskazując ręką gdzieś przed siebie, w zieloną pomrokę. W pierwszej chwili nic nie mogłem dostrzec, wkrótce jednak rozróżniłem ciemniejące w głębinie cielsko. W wodzie przedmioty wydają się znacznie powiększone. Dziwaczny stwór swymi rozmiarami przywodził na myśl niewielką łódź podwodną.

Błyskawicznie, głową w dół, zeszliśmy jeszcze głębiej, na samo dno. Gdy palcami rąk dotknęliśmy miękkiego, grząskiego łu, wyrzuciłem ramiona przed siebie i zacząłem płynąć nad samym dnem. Przede mną niewyraźnie majaczyła ciemna sylwetka. Ostrożnie podkradałem się do niej, ledwo dosłyszalnie szeleszcząc płetwami. I właśnie wtedy uświadomiłem sobie, że w pośpiechu nie zabrałem ze sobą mojej zaimprovizowanej włóczni. Ani jej, ani fotograficznego aparatu do podwodnych zdjęć. Co za pech!

Mniej więcej cztery metry przede mną płynął Roman. Dopędziłem go i trąciłem w ramię. Odwrócił się gwałtownie, zupełnie jakby się czegoś przestraszył. Wykrzywiłem się wymownie i pokazałem mu moje puste ręce. Zrozumiał i dał mi znak, żebym płynął za nim.

Dziwny stwór był tuż obok. Wcale nie miał zamiaru odpływać. Trwał nieruchomo nad samym dnem, tak jak pstrągi w upalny dzień w cieniu szuwarów.

Jakoś nagle uspokoiłem się i zacząłem uważnie przyglądać się sordonnoskiemu diabłu. Niewątpliwie był to jakiś nieznanany gad, może ostatni okaz dawno wymarłych jaszczurów, o których nasi uczeni nic nie wiedzą. Olbrzymią potężną głowę miał pokrytą lśnącymi metalicznie łuskami. Za głową dwie

ogromne płetwy podobne do tarcz. Na tych tarczach jaskrawo odznaczały się jasnożółte plamy. Błoniaste łapy podkulone miał pod tułowiem jak płetwy śpiącej ryby. A więc Roman niezupełnie się mylił, ten diabeł miał w sobie coś z ryby, miał niewątpliwie. Nawet wysoki, sterczący do góry grzebień – który już za pierwszym razem zauważył Walery – przypominał rybią płetwę grzbietową. W tej chwili grzebień jakby się zwinął, przypłaszczył, ale można było obejrzeć dokładnie ościste kolce i rudobure plamy na błonie pławnej. Ogon miał długi, ostro zakończony. Prawdziwy jaszczurzy ogon ze sterczącymi czterema kolcami. Podobny ogon miał niegdyś roślinożerny jaszczur stegozaur. Służył mu on jako groźna broń przeciw drapieżnikom.

Wskazałem ten ogon Romanowi, kiwnął głową ze zrozumieniem i przełożył swój oszczep z prawej ręki do lewej. Zaczęliśmy ostrożnie podpływać do jaszczura. Wcale nie zwracał na nas uwagi. Zdawać się mogło, że bez reszty pochłonięty był trawieniem nieszczęsnej Miłki.

Sam nie wiem, jak do tego doszło. Nigdy nie mówiliśmy przecież o zabiciu potwora. Chcieliśmy go tylko sfotografować. Ale teraz czekałem z zapartym tchem, by Roman wbił dzidę w jaszczura. Sam chętnie bym to zrobił, gdybym tylko miał broń w ręku. Nie umiem nawet tego wytłumaczyć. Może była to chęć zemsty za Miłkę, a może...

Roman wbił dzidę prosto w ogromne, cienką skórzastą błonką zasnutę oko. Potwór drgnął i rzucił się do ucieczki. Roman w mgnieniu oka wyrwał kopię z rany i popłynął za nim. A ja tuż za Romanem. Jaszczur miotał się to w prawo, to w lewo. W wodzie na wszystkie strony rozplýwały się jakies

mętne, rdzawe obłoczki. Nie od razu nawet uświadomiłem sobie, że to krew.

Roman zamachnął się po raz drugi i z całej siły wbił dzidę w pysk zranionego olbrzyma. Trafił go pomiędzy dwie duże brodawki, ale ostrze ześliznęło się. Prawdopodobnie napotkało kość. Roman znalazł się niebezpiecznie blisko głowy potwora. Szybkimi uderzeniami płetw podpłynąłem do jaszczura z drugiej strony i chwyciłem go za wielką błoniastą łapę. Łapa szarpnęła mocno i trzema ostrymi pazurami rozdarła mi rękę od dłoni aż do łokcia. Roman znalazł się właśnie pod jaszczurem i korzystając z dogodnej pozycji wbił dzidę prosto w odsłonięte, żadnymi łuskami nie chronione gardło. Dzida weszła w ciało na całą długość rękojeści. Posługując się nią niby łomem Roman naciskał ją obiema rękami. Szyja zwierzęcia była prawie przecięta i jaszczur zaczął drgać konwulsyjnie, z wolna opadając na dno, jak klonowy liść w bezwietrzny dzień jesien-ny.

Tlenu w zbiornikach zostało nam już niewiele i musieliśmy się śpieszyć. Ręka bolała mnie coraz bardziej.

Szybko popłynęliśmy głębiej i schwyciwszy zdychającego potwora za ogromne łapy, pociągnęliśmy go do brzegu. Nieufnie przyglądałem się błoniastej łapie z pazurami, mocno trzymając ją w obu rękach. Jaszczur nie dawał oznak życia. To było dziwne. U prymitywnych stworzeń, o słabo rozwiniętym mózgu, agonia może trwać bardzo długo. Któż nie widział kogutów biegających po podwórku już po odcięciu im głowy...

Nie było jednak czasu na rozmyślania. Płynęliśmy i błogosławiliśmy prawo Archimedesesa: na łądzie nie pialibyśmy rady poruszyć potwora z miejsca. Dno z wolna wznosiło się. Pojawiły się pierwsze kępki moll czarki i pierzastoliścia.

W pewnej chwili poczułem, że dzieje się ze mną coś niedobrego. Zrobiło mi się bardzo zimno. Poprzez rozerwany rękaw sączyła się woda, wsiąkała w wełnianą bieliznę i cienkimi, zimnymi strumykami spływała po plecach i piersiach. Każdemu uderzeniu serca wtórowała fala bólu. Wszystko stało się jakieś nieprawdziwe, nierzeczywiste. Przed oczami kołysały się jakieś wodne rośliny, a pode mną bulgotały i rozpląwały się bańki powietrza. A potem wydało mi się, że serce przesunęło mi się do mózgu i stuka tam jak młot, I głucho i boleśnie.

Brakowało mi już powietrza. Mocno ścisnąłem zębami ustnik tlenowego aparatu i, często łykając ślinę, starałem się opanować podchodzące do gardła mdłości. Ręce i nogi zrobiły się jak nie moje, nie czułem ich. Kurczowo uczepiłem się szponiastej łapy potwora i zwiśłem bezwładnie u jego boku. Ach, gdyby można było odpocząć choć chwilę, oprzytomnieć, zaczerpnąć powietrza, uwolnić się od tych jakichś dziwnych mdłości i dopiero wtedy popłynąć dalej!

Tuż ponad miękkim i śliskim, pofalowanym łem dna leniwie snuły się kosmate od szlamu wstęgi wodorostów. Koło grubego białego kłacza żółtej lilii wodnej powoli tworzył się pęcherzyk gazu. Rósł pomału, beztróska odrywał się od dna i szybko wzbijał się ku powierzchni. Nagle wydało mi się, że dno zaczyna zbliżać się gwałtownie. Odchyliłem głowę i, usiłując przezwyciężyć niewytłumaczone odrętwienie, spojrzałem w górę. Nade mną wisiało ogromne cielsko nieżywego zwierzęcia.

W tej chwili coś wielkiego, jasnego oderwało się od niego i sunęło wprost ku mnie. „Jak skoczek spadochronowy z samolotu” – pomyślałem, nie wiem dlaczego. Różowawa, niewyraźna plama znieruchomiła przede mną. Zacisnąłem powieki aż

do bólu, a potem otworzyłem je gwałtownie. Za owalnym szkłem maski patrzyły na mnie zdumione i trochę gniewne oczy Romana. „Dlaczego nie płyniemy dalej, przecież do brzegu już całkiem niedaleko” – pomyślałem i wymownymi gestami starałem się zapytać o to Romana. Nic nie zrozumiał, tylko niecierpliwie machnął ręką: „No, płyniemy. Po licha tu utkwiliśmy!” Usiłowałem zgiąć kolana i płetwami odbić się od dna. Ale zniosło mnie w bok. Znowu zobaczyłem koło siebie burozielone, drobne liście, szpetną larwę łątki, zwinnie zginającą i rozginającą swe szare, członowate ciało. Ręka zaczęła mnie teraz piec żywym ogniem, jakby obłożono ją plastrami gorczycy. Nagle coś mi się mgliście przypomniało, jakiś niewyraźny, nieuchwytny obraz zamajaczył mi przed oczami. Na ułamek sekundy rozpoznałem coś bardzo znajomego i natychmiast uleciało to z mej świadomości. Pozostały jedynie kołyszące się, węzowato powyginane kłacza wodnej rośliny, złożone jakby ze spłaszczonych, przylegających do siebie cząsteczek. Coś mi to uporczywie przypominało. Ale co? Czułem się jak człowiek, któremu śni się coś bardzo znajomego, co już kiedyś przedtem mu się śniło. Człowiek stara się sobie przypomnieć ów dawniejszy sen i nie może. Wymyka mu się, jak woda z garści.

Oprzytomniałem na brzegu. Koło mnie krzątał się Roman. Ani Walerego, ani Borysa w pobliżu nie było. Rękę miałem obandażowaną, w całym ciele czułem rozkoszne ciepło. Musieli mnie widocznie mocno wytrzeć całego ręcznikiem. Pod bawowym kocem było mi dobrze i bezpiecznie. Trawy pachniały miodem, któraś z nich pieszczotliwie łaskotała mi policzek. Pracowicie, lecz nie dokuczliwie, brzęczała osa.

Spostrzegłszy, że otworzyłem oczy, Roman mrugnął porozumiewawczo i spytał:

– Panie profesorze, może kieliszek wódki? Kiwnąłem głową.

– A gdzie jaszczur? – spytałem. – Udało się go wyciągnąć?

– Gdzie tam! – machnął ręką Roman. – Ledwo pana...

Roman położył się na trawie obok mnie, urwał jakieś źdźbło i zaczął je ssać.

– Zostawiłem go na dnie. Jutro go wydostaniemy. Nieżywa bestia nigdzie nie odpłynie. Zaznaczyłem miejsce na brzegu... Przez noc nic się z nim nie stanie. Nie ma się co kłopotać!

Wcale nie miałem chęci kłopotać się o cokolwiek. Chciało mi się spać. Z trudem zdobywałem się na słowa, walcząc z ogarniającą mnie błogą sennością. Niebo nade mną było szafirowe jak farbka. Nie chciało mi się myśleć ani o jaszczurze, ani o listach, które wciąż nie nadchodziły. Zapadłem w sen, jak w ciepłą, pachnącą kąpiel.

Z początku myśleliśmy, że pomyliliśmy miejsca. Kilka razy wypływalismy na powierzchnię, by sprawdzić znaki na brzegu, odszukiwaliśmy podwodne prądy i tryskające z dna źródła. Przetrzęsaliśmy każdą kępę wodorostów, każdą zapadlinkę – wszystko na próżno. Jaszczur znikł bez śladu. Nieżywy stwór splatał nam kawał. Rzeczywiście, prawdziwy diabeł! Okazało się, że wbrew wszelkim pozorom, nie był jednak śmiertelnie ranny. Pozbawiony jednego oka, z rozdartym gardłem, broczący krwią jaszczur przyszedł jakoś do siebie i odpłynął, by zdechnąć gdzieś w głębinie. Ze wszystkich nieprawdopodobieństw to jedno wydawało się jeszcze najprawdopodobniejsze. A myśmy tak się śpieszyli do niego! Zaopatrzyliśmy się w liny i haki, aby łatwiej było wyciągnąć martwe cielisko na brzeg...

Rozczarowanie było tak wielkie, że wieczorem po powrocie do obozu wszyscy zaczęliśmy się ze sobą kłócić. Nawet nie wtrącający się zwykle Borys miał do mnie i do Romana zupełnie nieprawdopodobne pretensje.

– Ale jak wam się jednak zdaje, co się mogło z nim stać? – spytałem, chcąc jakoś załagodzić sytuację.

Roman w milczeniu wzruszył ramionami, a Borys machnął ręką i powiedział:

– Czy to teraz nie wszystko jedno?

– Może woda go zniosła – wtrącił Walery – ale raczej sam odpłynął.

– No, jeśli uniosła go woda, to głupstwo – powiedziałem umyślnie beztrasko.

– Nie zauważyłem tam żadnych wirów ani silnych prądów dennych – powiedział Roman. – Chyba nie mogło go znieść daleko...

– W takim razie na pewno go znajdziemy! Najlepiej dajmy na razie spokój zgadywaniu: a co, a jak, a dlaczego, a po co. Złapiemy diabła i dowiemy się wszystkiego.

– Tak, złapiecie... akurat! Szukaj wiatru w polu! – mruknął Borys, który jakoś nie mógł się uspokoić.

– Już raz złapaliśmy – powiedział z goryczą Roman. – Złapaliśmy i dowiedzieliśmy się wszystkiego...

– No, dajcie spokój – ujął się za mną Walery. – Przecież Artur Wikientewicz nie jest winien niczemu.

– W tym właśnie cała bieda, że nikt tu niczemu nie jest winien – ponuro powiedział Borys.

Zachód słońca zalał łąki złotem. A potem trawa zszarzała muśnięta sinością wieczoru. Pierwsze mleczne smugi mgieł rozpełzły się po dolinach. Krzyczał bąk. Pomyślałem przygnę-

biony, że znów czekają nas dni zatrute goryczą nieudanych poszukiwań. Czy trafimy jeszcze raz na sordonnoskiego diabła? Czasu mamy już niewiele. Za dwa tygodnie powinien przylecieć po nas śmigłowiec i przewieźć nas na Wielką Ziemię.

– Wiecie co – powiedziałem – do diabła z asekuracją! Będziemy pływać w pojedynkę. Roman w północnej części, a ja w południowej. W ten sposób będziemy mieli większe szansę.

Nikt się nie odezwał, każdy siedział zamyślony. Roman zgadzał się ze mną, Walery nie miał właściwie żadnego prawa, by mi zabronić. Borysa obchodziło tylko jedno: pochwylenie jaszczura, wszystko inne było mu obojętne.

Dopiero w jedenaście dni później znowu zobaczyłem jaszczura. Trwał nieruchomo nad samym dnem z podkulonymi łapami i złożonym grzebieniem. Przełknąłem ślinę i sprawdziłem, czy nóż mocno przytwierdzony jest do tyczki. Postanowiłem, że do potwora podpłynę z lewej strony, ze strony wykłutego oka. Jakież było moje zdumienie, gdy ujrzałem, że tam, gdzie przed jedenastu dniami krwawiła otwarta rana – teraz było zupełnie zdrowe, osłonięte świeżą, różową, skórzastą błoną oko. Ależ to właśnie w to oko wbił wtedy Roman swój improwizowany oszczep! A może się pomyliłem... Podpłynąłem z drugiej strony, ale drugie oko miał najzdrowsze w świecie! Wprost niepojęte! Do głowy przychodziły mi najfantastyczniejsze pomysły. „A jeśli są tu dwa potwory?... Albo więcej?!” – pomyślałem nurkując w głąb. Nade mną, jak nieruchomy balon, wisiał przedziwny stwór. Płynąc na wznak, z niezwykłym trudem dojrzałem pomarszczonej, miękkiej skórze gardła ledwo już widoczne ślady niedawnych, jak się

zdawało, śmiertelnych ran. Nie mogło być wątpliwości; jaszczur był sam. Skądże więc brała się taka witalność, taka ł potężna zdolność regeneracji?

Sfotografowałem zwierzę ze wszystkich stron. Nawet groźny ogon utrwaliłem na kliszy z odległości czterech metrów. Prawdę mówiąc nie wiedziałem, co robić dalej. Nie miałem ochoty zabijać tego dziwnego stworzenia, które nie wiadomo jakim sposobem znalazło się w jeziorze płaskowyżu sordonnoskiego. Kto wie, może taki sam stwór żyje od Bóg wie ilu wieków w szkockim jeziorze Loch Ness?

Owładnęła mną nieprzeparła chęć, by odciąć jaszczurowi kawałek tkanki. Było to zupełnie zrozumiałe i nawet nieodzowne. Żaden naukowiec nie przeszedłby przecież obojętnie obok takiego przypadku pełnej i niemal natychmiastowej regeneracji.

Wykonać to zadanie nie było jednak łatwo. Potwór nie będzie przecież czekał pokornie, aż ktoś wytnie mu kawałek mięsa! Nie zapomniałem jeszcze skaleczeń, jakie jaszczur pozostawił na mojej ręce. Gdyby skafander, nie wylizałbym się tak szybko. To był po prostu szczęśliwy przypadek. Niewiele miałem szans, by mi się teraz udało.

A jednak postanowiłem zaryzykować. Tuż pod okiem jaszczura sterczała ogromna narośl. Mój plan był prosty: wbijam oszczep w tę narośl, przez chwilę wiercę nim tam, po czym podpływam jeszcze bliżej, ręką wyrywam kawał mięsa i umykam pośpiesznie. Oczywiście plan był równie prosty, co idiotyczny.

Poczuwszy cios zwierzę gwałtownie szarpnęło się i wytrąciło mi z rąk broń. Ze zwinnością delfina jaszczur ruszył na mnie, rozwarłszy olbrzymią, pomarańczową paszczę, pełną

drobnych, ostrych zębów. Rzuciłem się w bok. Wściekle bijący ogon przepłynął tuż koło mojej twarzy.

Jaszczur zrobił obrót i natarł powtórnie. Znow udało mi się wymknąć. Wtedy zauważyłem, że mój przeciwnik zaczyna wreszcie słabnąć. Jakby już nie chciał mnie zabić, jakbym mu zobojętniał. Gdyby nie to, kto wie, czy potrafiłbym się nadal wymykać i ująć straszliwym zębom. Gdy jaszczur przepływał koło mnie zdążyłem znow pochwycić dzidę. Tym razem położyłem mu się na głowie. Zwierz włożył mnie tuż ponad dnem. Zacząłem się zastanawiać, czy nie byłoby lepiej odczepić się od potwora i wypłynąć na powierzchnię.

Nieoczekiwanie jaszczur szarpnął gwałtownie, a ja ześliznąłem się na bok. Starąłem się znow wleźć mu na głowę i od-ruchowo objąłem go rękami. Ciało miał pokryte wstrętnym, lepkiem śluzem. Przewyciężając obrzydzenie, usiłowałem ucześcić się go jak najmocniej. Ale palce wciąż się ześlizgiwały. W pewnej chwili wskazującym palcem lewej ręki trafiłem na wgłębienie jednej ze zrogowaciałych olbrzymich łusek.

Jaszczur zamarł w bezruchu, zupełnie jak sparaliżowany. Byłem u kresu sił. Nie mogłem nawet rozewrzeć zębów, które zaciskały ustnik butli tlenowej. Zawisłem na rogowatej łusce i odpoczywałem. Jedną ręką ścisnąłem mój oszczep, palce drugiej ręki wpiły się we wgłębienie. Nie miałem czasu zastanawiać się nad nową zagadką. Nożem mego oszczepu szybko odciąłem od guza pod okiem jaszczura kawałek mięsa wielkości dużego kartofla i wsunąłem go do kieszeni na piersiach skafandra. Już miałem odepchnąć się nogami od jaszczura, gdy zauważyłem, że choć krew tryska z rany, rana zaciąga się cienką jak bibułka błonką. Ale to jeszcze nie wszystko! Guz zaczął rosnać zupełnie wyraźnie, choć powoli. Obserwowałem to

niezwykłe narastanie póty, póki nie rozległo się ostrzegawcze pstryknięcie: to w balonach kończyło się powietrze. Do tej chwili narodziła się odrosła na dobry centymetr. Jeśli w dalszym ciągu będzie rosła w tym tempie, to za jakieś trzy godziny guz odrośnie w całości. Poprawiłem na piersiach boks z aparatem fotograficznym, odbiłem się i wypłynąłem na powierzchnię. Już na górze, płynąc ku brzegowi, spojrzałem w dół. W zielonkawym mroku głębin, widać było potężną, ciemną bryłę, która odpływała powoli, unosząc ze sobą przedziwną tajemnicę.

Roman Orzanski - geodeta praktykant

Artur Wikientiewicz telefonował dziś do mnie do biura. Prosił, żebym koniecznie wieczorem przyjechał do niego do domu. Przez cały dzień nie mogłem usiedzieć spokojnie i doczekać się wieczoru. Czas włókł się bez końca. Kto wie, może właśnie dziś wreszcie poznam tajemnicę sordonnoskiej ryby? Minęło już prawie osiem miesięcy, jak powróciliśmy z jeziora. Artur Wikientiewicz całymi godzinami siedział teraz w swym laboratorium. Nie odbierał telefonów, nie chciał się z nikim widywać. Nawet ten uparciuch Bo-rys nie potrafił niczego od niego się dowiedzieć. Walery, który zawsze lubi sprawiać wrażenie, że wie to, czego nikt jeszcze nie wie, mówił tajemniczo, że Położencow wyrzekł się już świata i ludzi.

Przypuszczam, że Walery przesadza. Po prostu Położencow zakopał się po uszy w robocie i nie chce, żeby mu głupstwami zawracano głowę. Dzisiaj wreszcie dowiemy się wszystkiego. Szkoda, że Walery poleciał na Ałtaj... Ale napiszę do niego, jak tylko czegoś się dowiem. Bądź co bądź, przecież on pierwszy zobaczył tę rybę.

Po wyjściu z pracy aż do wieczora spacerowałem po ulicach w pobliżu mieszkania Położencowa. Mżył drobny przykry deszczyk i asfaltowa jezdnia lśniła jak czarne zwierciadło. odbijały się w niej oślepiające smugi reflektorów samochodowych i ich czerwone światełka. Przynurzałem sobie, że wcześniej niż o ósmej do Położencowa nie pójde. Ale już za kwadrans siódma nacisnąłem dzwonek. Myślałem, że będę pierwszy, lecz w pokoju siedział już Borys.

Artur Wikientewicz poczęstował nas koniakiem. Piłem go powoli, Borys odmówił. Powiedział, że nie pije alkoholu. Siedzieliśmy w milczeniu, jakbyśmy się bali zacząć rozmowę.

– Wiecie – zaczął wreszcie Położencow – ten jaszczur, to tajemnicze stworzenie, którego o mało nie zabiliśmy, jest nieśmiertelny.

Ze zdumienia aż otworzyliśmy usta. Borys oburzył się.

– Bzdura! Czyż nie można jakoś inaczej wytłumaczyć istnienia w naszych czasach przedhistorycznego zwierzęcia? Z tego by wynikało, że ta ryba trzo-nopłetwa też jest nieśmiertelna? Dziwią mnie takie żarty z pana strony, panie profesorze,

– To wcale nie są żarty, Borysie – cicho i bez gniewu odparł Położencow.

Ale Borysa już poniosło. Ze zwykłym sobie uporem nie dał mu dojść do słowa i mówił jak nakręcony.

– Sądząc z fotografii to wasz jaszczur jest bliskim krewnym zmijowatych mezozaurów. W specjalnych warunkach płaskowyżu sordonnoskiego mógł po prostu przetrwać, tak jak przetrwały czerwone mchy trzeciorzędu.

– Nie zrozumiał mnie pan. Jaszczur jest jednak nieśmiertelny. Czym to wytłumaczyć? Nie wiem! Mogła to spowodować

woda jeziora i jego roślinność. Może jakieś specjalne promieniowanie, a może po prostu jaszczur taki już jest z natury.

– A którą hipotezę uważa pan za najprawdopodobniejszą?
– spytałem.

– Nie wiem. Nie to dla mnie jest najciekawsze... I nie lubię stawiać hipotez. Przywykłem opierać się wyłącznie na wynikach badań, a pewne wyniki już uzyskałem. Jeśli chcecie, zapoznam was z nimi.

Zaległa taka cisza, że aż w uszach dzwoniło. Na wpół senna nocna ćma tłukła się pod kloszem lampy na biurku. Milczało radio. Za szybami okien milczał przycichły świat. Milczeliśmy i my.

– W moim laboratorium wypreparowałem wyciąg z tego kawałka tkanki jaszczura – Artur Wikientewicz mówił spokojnie, aż nienaturalnie spokojnie. – Miałem przy tym masę roboty, jeszcze ledwo żyję. Nie wszystko byłoby dla was zrozumiałe, więc opowiem tylko o wynikach mojej pracy.

Zamyślił się. Zapalił papierosa. Potem odłożył go i znów zaczął mówić, z wolna spacerując po pokoju.

– Sam nie wiem, jak wam to opowiedzieć. Ty, Borysie, jako paleontolog, znasz zasady biologii i współczesnej biochemii. Ale Roman... Geodeta śmiało może nie znać zupełnie podstawowych zasad genetyki i fizjologii. Dlatego więc postaram się mówić w sposób przystępny. Będziesz się musiał trochę ponudzić, Borysie. Czy pan wie, panie Romanie, co to jest DNA? Oczywiście, coś niecoś pan o tym wie, ale jednak wyjaśnię wkrótce. DNA – to podwójna spirala, złożona molekula kwasu nukleinowego, zasadniczy nośnik dziedziczności. Zapewnia nieśmiertelność gatunkom żywych organizmów, przekazując nie zmienioną dziedziczną informację z pokolenia na

pokolenie. Nie istnieją dla niej przerwy powodowane śmiercią. Zdolna jest odtworzyć sama siebie z otaczających ją składników tkanki. Najciekawsze, że natura jakby zaplanowała nas nieśmiertelnymi. Jako organizm złożony z trzydziestu trylionów komórek. Wystarczy, by komórki podzieliły się zaledwie czterdzieści razy, a wszystkie zostaną gruntownie odnowione. Podział odmładza całkowicie. Komórka przekształca się w dwie nowe, dokładnie podobne do starej, macierzystej. Dokładnie, lecz niezupełnie! W tym właśnie tkwi sedno. W strukturze DNA gromadzą się błędy i odchylenia. Znikome, nieuchwytnie. Ale komórek jest wiele, ilość przechodzi w jakość i następuje wreszcie śmierć. Starość i zamieranie to gromadzenie się błędów w strukturze. Zrozumiałe?

Borys kiwnął głową twierdząco. Dla mnie nie było to takie całkiem proste, ale zdawało mi się, że najważniejsze zrozumiałem.

– A czy nie można by jakoś uchronić się przed tymi błędami, jakoś z nimi walczyć? – spytałem.

– Utrafił pan w sedno, panie Romanie – Położencow położył mi dłoń na ramieniu. – Właśnie w sedno! Jak się okazuje, można zwalczyć błędy, które narastają stopniowo w czasie mitozy, czyli przy podziale jądra komórkowego. Za pomocą elektrycznego paramagnetycznego rezonansu otrzymałem widmo nukleoproteidów jaszczura. To także jest podwójna spirala podobna do kręconych schodów, gdzie rolę stopni spełniają wiązania azotowe. I w tych właśnie wiązaniach kryje się cały sekret. Nie są od siebie oddzielone, jak u wszystkich zwierząt i roślin na ziemi, a przeciwnie, tworzą zwartą trzecią spiralę, wypełnioną swobodnymi grupami atomów – rodnikami. Kiedy podczas podziału komórek w jakiegokolwiek strukturze DNA

powstaje defekt, natychmiast zostaje usunięty przez owe rodniki. Są ostrym pogotowiem. Oстрым pogotowiem nieśmiertelności. Wydzieliłem z preparatu substancję, która, jeśli wprowadzi się ją do organizmu, rozmnoży się natychmiast, dotrze do wszystkich komórek i uczyni je nieśmiertelnymi. Ktoś kiedyś wprowadził tę substancję do krwi przedhistorycznego jaszczura. Jaszczur zachował ją i przekazał nam. A teraz...

Zadzwonił telefon. Położencow podjął słuchawkę. Twarz mu się tak zmieniła, jakby sprawiono mu wielki ból. Odpowiadał spokojnie, pojedynczymi słowami. Nie sposób było zrozumieć, z kim i o czym rozmawia. Powiedział cicho do słuchawki: „Tak, dobrze, oczywiście...” i powoli odłożył ją na widełki.

Potem zwrócił się do nas:

– Wybaczcie, moi drodzy, jest mi naprawdę strasznie przykro, ale muszę natychmiast pojechać w pewnej bardzo ważnej sprawie. Nie gniewajcie się. Zawiadomię was, znowu się zbierzemy i pogadamy o wszystkim.

Wyszedłem na ulicę zupełnie oszołomiony. Głowa mi spłonęła od natłoku myśli i byłem nawet zadowolony, że pada rześisty deszcz. Przynajmniej trochę mnie ochłodził. Dotąd nigdy jeszcze nie zastanawiałem się nad nieśmiertelnością, a tu nagle zjawiała się tak niespodziewanie bliska. Stała się uchwytana. Nie wiem; I czy to dobrze, czy źle, ale nawet nie bardzo zdawałem sobie sprawę, czy chcę być nieśmiertelny. Przyprawiano to o zawrót głowy. Potem zacząłem myśleć o Położencowie. To bez wątpienia zupełnie nieprzeciętny i umysł. Ale w jego życiu osobistym nie wszystko się dobrze układa. Przypomniały mi się jakieś niewyraźne I napomknienia Wałerego o nieszczęśliwej miłości. To na ; pewno od tej właśnie kobiety był przed chwilą telefon. Dlaczego nie daje mu

spokoju? Po co go dręczy, przypomina o sobie, nie pozwala zapomnieć? Na jego „miejscu już dawno machnąłbym na nią ręką. Takiwspaniały człowiek! I mimo siły charakteru, mimo całej swej potężnej indywidualności nie może się na to zdobyć. Dziwna rzecz. A może wcale nie taka dziwna. Po prostu bardzo ją kocha...

Któż to jednak mógł ofiarować tej rybie nieśmiertelność? Profesor Położencow nie może sobie pozwolić na fantazje, ale ja mogę, nie jestem profesorem. I napisałem sobie takie fantastyczne opowiadanie.

Było to wiele, wiele milionów lat temu. Ciepła i zawieszona woda oceanu zdawała się nieruchoma, przeglądały się w niej obsypane kwieciami drzewa. Szumiały gigantyczne dęby i buki, z rozłożystych platanów z wolna opadały liście. Niby miłośny dar magnolie rzucały do wody swoje białe, pełne jadowitej i odurzającej słodkiej woni kwiaty.

Wysoko, pod upalnym niebem przelatywały ptaki o długich, zakrzywionych dziobach. W gąszczu lasów gorące opary unosiły się nad bagniskami. W tych bagnach gniły pnie drzew, rozkładały się cielska olbrzymich stworów z długimi jak pytony szyjami. Ktoś kogoś pożerał tam bez ustanku. Od czasu do czasu tłusta, złocistobrazowa breja rozstępowała się i w czarnym jak kawa grzęzawisku rozgrywał się śmiertelny pojedynek piętnastometrowych mezozaurów. A po zacisznych norach, w ciemnych, wąskich szczelinach skał kryły się maleńkie, nie większe od szczura zwierzątka. To ssaki, przyszli władcy ziemi.

W ognistych kłębach dymu hamujących silników odrzutowych na wąską piaszczystą mierzeję powoli wylądował międzygwiazdny pojazd. Na jego powitanie wysunął się z wo-

dy łeb jaszczura. Malutkie ślepie nie wyrażały ani zdziwienia, ani radości, ani gniewu. Jeśli w ogóle coś zaświtało w maleńkim mózdzku, to była to myśl pełna smutku, że oto z nieba przybył ktoś większy od niego. Żadnych skojarzeń, całkowity brak jakichkolwiek powiązań warunkowych czy zmysłowych. I jaszczur dał z powrotem nurka do wody.

Gdy gwiazdni przybysze wyszli ze swego pojazdu, na tłustej powierzchni wody nie było już nawet rozchodzących się kręgów fal. Jedynie wysoko w górze miotały się skrzydlate jaszczury, a z leśnego gąszczu dobiegał głuchy pomruk milionów przeżuwających paszczy.

Jak wyglądali owi gwiazdni przybysze? Do ludzi, rzecz prosta, podobni nie byli. Natura jest znacznie bogatsza, bardziej urozmaicona i pomysłowa od naszej wyobraźni. Poznaje samą siebie tworząc genialne żywe istoty. A droga rozwoju, którą potoczyło się życie na ziemi, nie jest oczywiście jedyną ani, zapewne, najdoskonalszą. Życie to walka z entropią, a białka bynajmniej nie są jedynymi wojownikami.

Gwiazdni przybysze zwiedzili już całą Ziemię. Zanurzali się aż na samo dno morza, wspinali się na szczyty górskie, przedzierali się przez gęstwiny dżungli. I nigdzie nie spotkali ani śladu myślącej istoty. Czy wiedzieli, że potomkowie szczuropolodobnych prassaków po upływie milionów lat jako małpy i lemury będą żyły na drzewach, by wreszcie, znów po milionach lat, zejść z nich z powrotem na ziemię, już w ludzkiej postaci? Wiedzieli albo i nie wiedzieli. A na ziemi tymczasem kipiło życie, bez przerwy rozgrywały się dramaty, wrzała żarta walka o byt.

Ewolucji niepodobna oddzielić od śmierci. Każda żywa istota to pokarm. Nawet gigantyczne jaszczury padają ofiarą

niedostrzegalnych bakterii, by uświetnić sobą obiad kryjących się w ziemi robaków. Zamknięty cykl ekologiczny. Długa, mozolna droga! A gdy wreszcie nagle dojdzie kiedyś do przebłysku świadomości, człowiek zrozumie, że jest człowiekiem, wtedy przyroda powie mu: „Homo sapiens, jesteś śmiertelny”. Co za niesprawiedliwość! Świadomość nie może pogodzić się ze śmiercią.

Gwiezdni przybysze wiedzieli o tym. Kiedyś dawno przodkowie ich zbuntowali się przeciwko tej straszliwej pomyłce. Kto poznał, zrozumiał przyrodę, ten jest na drodze do nieśmiertelności. I oni uzyskali nieśmiertelność. Zapłacili za nią życiem miliardów istot, unicestwieniem miliardów maleńkich wszechświatów, z których każdy był niepowtarzalny. Dlatego postanowili wybawić od tragicznych ofiar poznawania tych mieszkańców Ziemi (przeżywającej właśnie okres kredowy), którzy będą żyli na niej za miliony lat.

Ale jak tego dokonać? Komu przekazać święty ogień nieśmiertelności płonący w ich żyłach?

Przed wszystkim gwiezdni przybysze poznali mechanizm dziedziczności zamieszkujących Ziemię stworzeń. Okazało się, że jest on taki sam u jaszczurów, u owadów, u kwiatów. Następnie przeprowadzili syntezę materii, która wytwarzała błędy gromadzące się w czasie procesu dzielenia się komórek. Dla tych, którzy zwyciężyli własną śmierć, nie było to nic trudnego. Ale jak przekazać bezcenny dar tym, których jeszcze nie ma na Ziemi, którzy dopiero po milionach lat na niej się pokażą?

Wybór padł na olbrzymie, dziwaczne jaszczury. Tym niedorzecznym dziełom przyrody, tym odpadom produkcji nie sądzono było przemienić się kiedykolwiek w istoty myślące.

To całkiem uboczna gałąź ewolucji. Lecz jeśli rzeczywiście tak właśnie jest, rozważali gwiazdni przybysze, to kiedyś przyszłe myślące istoty potrafią odczytać przeszłość swej planety ze szkieletów tych olbrzymów.

A jeśli, zamiast na kości, natkną się na żywą kopalinę, to co wtedy? Wtedy pochwyć takiego jaszczura i dowiedzą się, w jaki sposób przeżył. I już od nich samych będzie zależało, czy przyjmą, czy odrzucą pozostawiony im dar.

Gwiazdni przybysze pochwycili więc olbrzymie, potężne jaszczury, wstrzyknęli im w krew ogień nieśmiertelności i pozostawili je w ciemnych, głuchych wodach najdzikszych, niedostępnych jezior.

Jeśli przyszłe rozumne stworzenia, myśleli sobie gwiazdni goście, zdołają odszukać naszych posłańców i pokonać ich, to zapewne będą już stali wówczas na takim stopniu rozwoju, że potrafią zrozumieć i ocenić nasz dar. Ileż to pokoleń zostanie ocalonych od bezsensownego unicestwienia! Ileż dzieci, stając na swych nieposłusznych jeszcze nóżkach, zrobi swój pierwszy krok nie na drodze ku śmierci, lecz ku wieczności!

Dzięki wam, gwiazdni bracia, za wasz cudowny i bezcenny dar!

List Artura Położencowa do..

Droga moja! Przed chwilą przeczytałem entuzjastyczny poemat, napisany przez młodego zapaleńca. Gdybyś wiedziała, jak mi ciężko! Jak nigdy czuję się teraz odpowiedzialny za życie każdego człowieka na ziemi. Nie mogę nie myśleć o tym bezustannie. Gdy tylko usłyszę, że ktoś odszedł, gdy myślę o

tysiącach nie znanych mi ludzi, którzy umierają, chce mi się krzyczeć i dokądś biec jak szalony.

Nie wiedziałem, że Roman to poeta. Poecie łatwo jest przyjąć lub odrzucić nieśmiertelność. Ja jestem naukowcem. I zanim się na ten temat wypowiem, muszę przeprowadzić doświadczenia.

Wstrzyknąłem więc eliksir nieśmiertelności dwudziestu królikom i dziesięciu świnkom morskim. W ciągu ośmiu dni zdolność regeneracji u tych stworzeń osiągnęła maksimum. Te, którym podczas prób nie dałem eliksiru, zdechły od zadanych im ran, a te, które były poddane iniekcji, zapadły w stan anabiozy, po pewnym czasie (króliki po siedmiu–ośmiu godzinach, świnki morskie po pięciu–sześciu) wyzdrowiały i rany im się zagoiły. Organy, których zostały pozbawione – oczy, łapy, gruczoły piersiowe – odrastały im w ciągu trzech dni.

Potem zacząłem nową serię doświadczeń. Zwierzęta poddane iniekcji przeniosłem do pomieszczeń, w których można je było obserwować dokładnie.

Czekałem. Na razie nic się nie działo. Dopiero dwudziestego ósmego dnia zauważyłem, że zaczynają zanikać różnice pomiędzy samicami i samcami. Proces ten wzmagał się z dnia na dzień. Wkrótce nie sposób już było odróżnić samców od samic. Zwierzęta utraciły płęć. Można się było tego spodziewać. Istocie nieśmiertelnej niepotrzebne jest rozmnażanie. Traci to swój sens. Gatunek nie musi już być zachowany sztafetami pokoleń, sam się zachowuje.

Śledziłem cały proces dalej. Zwierzęta coraz częściej zapadały w śpiączkę, stały się apatyczne, osowiałe, przestały się prawie poruszać. Czterdziestego siódmego dnia zaszło coś najbardziej przerażającego: zwierzęta całkowicie utraciły ja-

kąkolwiek aktywność. Nie interesowało je już nic prócz jedzenia. Stopniowo zaczęły tępieć ich zmysły. Zdolność odbierania informacji z zewnątrz zmaląła gwałtownie. Przestało im to być potrzebne. Informacje te czerpały, jeśli to rzeczywiście jest możliwe, z jakichś, nie znanych mi, swych własnych zasobów wewnętrznych. Stały się czymś osobliwie samowystarczalnym. Przestały być zwierzętami, tak jak my przestaniemy być ludźmi, jeśli wprowadzimy do swych żył ten piekielny ogień.

Okropność! Wiem, co to jest miłość. Bodaj nawet taka bez wzajemności i nadziei jak moja. Nieśmiertelnej i bezpłciowej istocie miłość jest obca, niepotrzebna. Taka istota przestanie być człowiekiem. Przestanie rozeznawać się w tym, co się wokół niej dzieje. Utraci więc rozum i przeobrazą się w niepotrzebny, odrażający stwór, który poza jedzeniem niczego już nie potrafi.

Nie wierzę, by nieśmiertelni przybysze z gwiazd, jeśli istnieli naprawdę, byli istotami rozumnymi. Nie wierzę, by stać ich było na wspaniałomyślny gest w stosunku do kogoś, kogo jeszcze wtedy nie było. W tej chwili przypomniałem sobie kołyszące się łańcuszki i spirale rdestnicy. To było w głębinie jeziora. Omal wtedy nie utonąłem. Przez ułamek sekundy wydało mi się, że podobne są do łańcuszków i spirali molekuł DNA. Teraz, gdy myślę o tym, wydaje mi się, że już wówczas mógłbym rozgryźć genetyczny kod, jakim zaszyfrowany jest mechanizm dziedziczności istoty nieśmiertelnej. Zresztą, czyż może tu być mowa o jakiejś w ogóle dziedziczności? To nie jest dziedziczność! To nieprzerwane odnawianie się i odtwarzanie organizmu, któremu prócz pożywienia niczego nie potrzeba! To dar diabła. Nie bez powodu myśliwi nazywają tego gada diabłem. Nie wierzę, by myśl, która pokonała międzyplanetar-

ne przestrzenie, mogła rodzić się w mózgu takiego diabła. Po to, by jeść, jeść bez końca, nie trzeba myśleć.

W imię miłości, w imię łez radości i cierpienia, w imię Twoje i w imię rozumu odrzucam ten diabelski eliksir. Ale zrozum mnie dobrze, czy ja mam prawo decydować o tym sam, za wszystkich... Za wszystkich: za bohaterów i tchórzy, za nieuleczalnie chorych, za inwalidów wojennych bez rąk i nóg, za tych, którym napalm wypalił oczy?

Oczywiście, jest i inne wyjście. Mógłbym już teraz przekazać wszystkie zebrane materiały Prezydium Akademii Nauk. Kolektywny mózg mojego narodu na pewno znajdzie właściwe rozwiązanie. A mnie ominie odpowiedzialność decyzji. Ale czy to uczciwe? Może jednak powinienem przede wszystkim sam rozstrzygnąć ten problem? I dopiero gdy się już na coś zdecyduję, przedstawić sprawę ludziom. Przecież to ja i moi koledzy wydarliśmy przyrodzie straszliwą tajemnicę...

Muszę nad tym zastanowić się poważnie, przemyśleć to gruntownie. I nie chcę, by cokolwiek wpłynęło na moją decyzję, nawet miłość. Na moją decyzję nic wpływać nie powinno.

Przychodzi mi to z tym większym trudem teraz, gdy znowu, choć tak rzadko, zaczęliśmy się widywać. Nie powinienem teraz cię widywać. Wybacz i zrozum mnie.

Artur

Walery Kurilin - geolog

Nigdy bym nie przypuszczał, że ludzie rozsądni, ludzie nauki, mogą pleść takie bzdury. Nie tyle nawet dziwię się Romanowi, co Położencowowi. Czyżby miłość mogła tak na niego wpłynąć? Całe to gadanie o losie ludzkości, zależnym jakoby

od niego, Położencowa, denerwuje mnie ogromnie. Nie od profesora Położencowa zależy los ludzkości, jak nie od Einsteina zależało zapoczątkowanie ery atomowej.

Szczerze mówiąc, żal mi i Romana, i Położencowa. Męczą się okropnie, miotają się jak opętani. Entuzjazm Romana, gdy dowiedział się o wynikach doświadczeń Położencowa, zamienił się niemal w rozpacz i urazę małego dziecka. To zapewne największe w jego życiu rozczarowanie. Ba, ale kogo by nie urzekło coś tak wspaniałego jak nieśmiertelność? Wyznać muszę, że gdy otrzymałem od Romana ten jego szalony list, też coś mi drgnęło w sercu. Oczywiście, mój rozsądek nie dał się zwieść: nie uwierzyłem w możliwość nieśmiertelności. Ale gdzieś w głębi duszy zadrżała jakaś utajona struna i jakby jej rezonans przemknęła myśl: „A może jednak...” Na nieszczęście, a raczej chyba na szczęście to niemożliwe. Jakby się tam Położencow nie wysilał, jakie by nie wykreślał schematy układu chromosomów, termodynamika pozostaje termodynamiką. A praw przyrody nikt nie jest w stanie anulować.

Mogę przyjąć możliwość regeneracji poszczególnych tkanek i organów nawet w ciągu bardzo długiego życia. Ale nie bez końca. A to, że jestem laikiem, Położencow zaś znakomitym biochemikiem, nie ma żadnego znaczenia. Mylili się nawet geniusze nauk przyrodniczych, gdy przestawali opierać się na bazie filozofii.

Myli się również i Roman, choć napisał ciekawą bajeczkę o prehistorycznych astronautach. Ta bajeczka tylko dlatego wydaje się prawdopodobna, że na razie nie ma żadnego innego wyjaśnienia tajemnicy sordonnoskiego jeziora. Nie jestem w stanie obalić logicznego na pozór rozumowania Romana, ale to wcale nie znaczy, że muszę w nie uwierzyć. Nie wierzę ani

w tę i bajkę, ani w tego jakiegoś boga Marsjan, którego latem znaleziono podobno na Saharze, ani w start pojazdu kosmicznego, co miało jakoby spowodować zniszczenie Sodomy i Gommory. Przyjdzie czas, że wszystko to znajdzie inne zapewne wytłumaczenie.

Najciekawsze jednak dla mnie w gruncie rzeczy jest chyba to, nad czym głowi się teraz Borys. Coś mi się zdaje, że Bulldog znowu się czegoś kurczowo uczepił. Czego? Milczy i nawet jakby go nie bardzo interesowały nasze rozterki. Ale mam wrażenie, że jego okrągła jak dynia głowa pracuje nad czymś niezmiernie ciekawym. Ciekawe, co tam znowu sobie wymyślił...

Wczoraj, po pracy, zebraliśmy się we czterech w laboratorium Położencowa. Położencow prosił nas o trochę cierpliwości i zachowanie na razie wszystkiego w tajemnicy. Uważam, że ma zupełną rację. Jeszcze trzeba wszystko dokładniej zbadać i sprawdzić.

Zamiast jednak bezpłodnego fantazjowania potrzebna jest raczej mozolna praca. Kto wie, może i naprawdę dostała się w nasze ręce wielka tajemnica natury? Wprawdzie nie nieśmiertelność, lecz raczej coś znacznie bardziej istotnego i ważnego. Sądzę, że nie rzucam tu słów pochopnie, bezpodstawnie. Lubię życie i chciałbym żyć długo. Ale w nieśmiertelność nie wierzę. Nie można żyć wiecznie i nie ma się tu nad czym zastanawiać. Roman nie chce tego pojąć, a Położencow będzie mnie prawdopodobnie uważał za tępego i pozbawionego polotu... No cóż, każdy ma swój własny pogląd na świat.

Mimo woli zazdrościłem nieco Położencowowi, gdy byłem u niego. Jakie ma wspaniałe, nowoczesne laboratorium! Ultrawirówki, elektronowy mikroskop, podczerwone i ultrafioletowe spektrografy, paramagnetyczny rezonans, maszyny

do liczenia i liczniki cząsteczek o ładunku elektronowym. O takich przyrządach jedynie czytałem, tylko w kinie widywałem takie laboratoria. Moje laboratorium nie ma sufitu ani ścian. Moje laboratorium – to cały świat. Wcale mi nie chodzi o to, żeby się z Położencowem zamieniać. Po prostu zazdrościłem mu nieco. W książkach dla młodzieży taką zazdrość nazywa się szlachetną.

Zebraliśmy się, by pomówić o tym wszystkim. Z początku rozmowa długo się nie kleiła. Czuliśmy się złączeni wielką doniosłą tajemnicą. Było w tym coś radosnego, ale i przerażającego zarazem.

Borys podszedł do szklanego pudła, w którym spały morskie świnki, takie jakieś dziwne, jakby najeżone.

– Długo one będą tak spać? – zapytał stukając palcem, w szybę.

– Wiecznie – odparł Położencow z powagą. – Z krótkimi przerwami na jedzenie.

– Czy im się coś śni?

– Nie wiem.

– Mówił pan, panie profesorze, że czerpią informacje kosztem jakichś wewnętrznych zasobów, kosztem tego czegoś, co wewnątrz nich jest zmagazynowane. Nie rozumiem, co to znaczy.

– To znaczy, że jednak coś tam im się śni – wtrącił się Roman.

– Niech i tak będzie – uśmiechnął się lekko Położencow. – Ale sny ich mają swe źródło nie w mózgu, a raczej nie tylko w mózgu, lecz we wszystkich komórkach ciała.

– Paradoks – powiedziałem wtedy.

– Paradoks, paradoks, cóż z tego, że paradoks! – Położen-
cow wstał z krzesła. Zapewne przyszła mu do głowy jakaś cieka-
wa myśl i chciał wypowiedzieć ją jak najspieszniej, by mu
nie uciekła. – Cząsteczka DNA ma kształt długiego, skręconego
włókna. W gruncie rzeczy, jest to właśnie taśma z zapisem
magnetycznym. Czy dziecko urodzi się z niebieskimi czy z
czarnymi oczami, czy skłonne będzie do tycia czy będzie chu-
de, zacznie wcześniej łysieć czy zachowa bujną czuprynę do
sędziwych lat, wszystko to wypisane jest na włóknie DNA w
postaci elektromagnetycznych wariacji.

Wiele by można mówić o tym, że w pewnych momentach,
czy też, bardzo możliwe, w ciągu całego przebiegu ewolucji, w
DNA dochodzi do magazynowania odruchów bezwarunko-
wych i anatomiczno-fizjologicznych odwzorowań, zachowa-
nych przez wybór modyfikacji. W DNA odkłada się na zawsze
kwintesencja różnorodnych informacji, skonstatowanych na-
szymi organami zmysłowymi i przechowywanych w naszych
komórkach do czasu, aż zaistnieje sytuacja, w której będą one
użyteczne dla nas.

Wszystko, cośmy w życiu zaobserwowali i doznali,
wszystko, czego doznali nasi odlegli przodkowie, obfitość róż-
norodnych dźwięków i zapachów, najprzeróżniejszych reakcji
psychicznych – zostaje utrwalone w naszych komórkach w po-
staci elektromagnetycznych impulsów. Informacja, przecho-
wywana w naszych wewnętrznych żywych układach cyberne-
tycznych, uzewnętrznia się, dochodzi do głosu w chwili, gdy
nasz mózg wydaje układowi odczytującemu rozkaz, by z niej
skorzystał.

Kątem oka spojrzałem na Borysa. Buldog przyczął się,
węszył. Zaraz się rzuci.

– Chwileczkę, chwileczkę, panie profesorze – przerwał Położencowowi – jeśli dobrze pana zrozumiałem, to... Chwileczkę, niech sobie to wszystko uświadomię. No, więc tak: jeśli DNA dziedziczymy w spadku po naszych przodkach, czy to po małpie, czy po rybie, która porzuciła ongi praocean, to w naszych komórkach powinna drzemać informacja doznań nagromadzonych przez naszych przodków. Prawda?

– Oczywiście. Pamięć żywego osobnika nie może być zawarta tylko w jego mózgu i w centralnym układzie nerwowym, powinna ona znaleźć swoje odbicie również w chemicznych procesach, zachodzących w komórkach całego ciała.

– A więc i ja, człowiek, także jestem spiżarnią zmagazynowanej odwiecznej pamięci?

– Tak.

– Ale po to, by skorzystać z tej pamięci, muszę wyłączyć się z otaczającego mnie środowiska i zacząć żyć kosztem, jak pan to określa, tego, co we mnie samym jest nagromadzone?

– Tak.

– A żeby to osiągnąć, należy połączyć ten oto mętny płyn z tej szczelnie zamkniętej ampułki? – dopytywał się Borys.

– Tak, należy wprowadzić do krwi wyciąg z sordonno-skiego preparatu – potwierdził Położencow.

Strach mnie ogarnął, gdy słuchałem tej wymiany zdań.

Już wtedy jakbym się czegoś domyślał i coś przeczuwał. Położencow nie znał Buldoga, ale ja znałem go przecież aż za dobrze.

Potem długo jeszcze rozmawialiśmy o różnych rzeczach. Od naszych spraw fachowych przeszliśmy z wolna do literatury i filmu. Mówiliśmy też o kobietach. Mężczyźni często mówią między sobą o kobietach. Właściwie o kobietach mówił Roman

i ja. Położencow i Borys na ten temat nie zabierali głosu. Wydało mi się, że Położencow zapanował już nieco nad swym uczuciem. Słyszałem niedawno, jak rozmawiał z kimś przez telefon. To pewnie ona wtedy do niego dzwoniła. Położencow mówił spokojnie, z całym opanowaniem. Jeśli nadal będzie się tak trzymał, jego szansę wzrosną ogromnie, wiem coś o tym. Miałby rację, nie jest już przecież sztubakiem. Czwarty krzyżyk mu leci.

Nazajutrz rano Położencow zadzwonił do mnie. Pytał, czy nie widziałem przypadkiem, gdzie wetknął ampułkę z preparatem, gdy wychodziliśmy z laboratorium. Nigdzie nie może jej znaleźć.

Ampułka leżała w miseczce z grubego szkła i nie zauważyłem, by ktoś ją ruszał. Odpowiedziałem Położencowowi nie okazując niepokoju. Ale serce od razu zaczęło mi bić gwałtownie i niespokojnie...

Po kilku dniach Położencow znów zatelefonował do mnie. Powiedział, że Akademia Nauk organizuje ekspedycję na Sordonoch, złożoną z biologów i geologów, i zaproponował, bym także wziął w niej udział. Roman zresztą też jedzie. „A Borys”? – zapytałem. Nie, z Borysem Położencow ostatnio nie widział się, Borys jakoś nigdzie się nie pokazuje. Ale i tak, powiedział Położencow, więcej niż dwóch ludzi zabrać na razie nie może. Borys, jeśli nadal interesuje się sordonnoskim potworem, może tam przyjechać za kilka tygodni.

Na tym też stanęło. Samolot z ekspedycją miał odlecieć w najbliższym czasie. Nie bardzo rozumiem, po co taki pośpiech. Chociaż, kto wie, może ten jaszczur ma rzeczywiście jakieś doniosłe znaczenie naukowe i w tym wypadku nie można zwle-

kać ani namyślać się... Nie wiem... W każdym razie, postanowiłem pojechać.

Gwiezdny wędrowiec

Włodzimierz Nikolajewicz Florowski - paleoklimatolog

W laboratorium już ktoś na mnie czekał. Niski, smagły brunet siedział na stołku obrotowym i znudzony rozglądał się po pokoju.

Gdy tylko wszedłem, przedstawił się:

– Mirojan, kandydat nauk w Instytucie Badań Wzmoczonej Nadczynności Nerwowej.

– Bardzo mi przyjemnie, Florowski – powiedziałem ściskając mu rękę. – Pan na mnie czeka? Czym mogę służyć?

Mirojan chwilę milczał, jakby dobierał odpowiednich słów, wreszcie uśmiechnął się nieśmiało i powiedział:

– Przyszedłem w bardzo specjalnej sprawie. Powiedziała mi o was Maria Iwanowna Kurilina. Dowiedziałem się od niej, że mniej więcej miesiąc temu wy właśnie zawiadomiliście poliklinikę, kiedy pewien człowiek stracił przytomność... Pamiętacie? Powiedziała mi, że zajęliście się nim wtedy bardzo troskliwie. Chyba musicie pamiętać?

Oczywiście natychmiast przypomniała mi się ta cała historia z Buldogiem.

– Pamiętam doskonale. Bodajże nazywał się Rewin? Wiecie coś może o nim?

– Leży w naszym Instytucie. Lekarze opuścili ręce, są bezradni. Doszli do przekonania, że nic już nie mogą zrobić. A ja... a my postanowiliśmy spróbować jeszcze. Wy także możecie nam w tym dopomóc.

– Z wielką chęcią. Ale wątpię, czy na coś się przydam.

– Dla nas są ważne, bardzo ważne wszelkie informacje o chorym – Mirojan zaczął mimo woli gestykulować gwałtownie – każdy nawet najdrobniejszy szczegół. Jeśli możecie, opowiedzcie mi wszystko, co tylko o nim wiecie.

Jakby to było wczoraj, stanęła mi przed oczami kolejka przed bufetem w stołówce, Bulldog, jego dziwaczne zachowanie i niespodziewane omdlenie na ławeczce w ogrodzie.

Mirojan słuchał z natężoną uwagą. Często kiwał głową, jakby chciał powiedzieć: „Tak, tak, to wszystko już wiem, mówcie dalej”. Ale ani razu mi nie przerwał, coś tylko szybko zapisywał w małym notesiku.

Gdy skończyłem opowiadać, zapytał:

– Powiedzcie mi, proszę, czy nie próbowaliście porozumieć się z profesorem Położencowem?

– Muszę się przyznać, że nie. Ten Bul... Wasz pacjent mówił mi wówczas, że Położencow gdzieś wyjechał, więc postanowiłem...

– Tak, rozumiem – z przekąsem przerwał mi Mirojan – postanowiliście zadzwonić potem, a potem zapomnieliście. Nie było czasu...

Nie podobał mi się jego ironiczny ton. Właściwie, jakim prawem przychodzi do mnie do laboratorium, wypytuje o wszystko i jeszcze prawi mi morały? Jakby czytając moje myśli, Mirojan powiedział cicho:

– Nawet jeśli się pominie tak zrozumiałe w tym wypadku zainteresowanie naukowca, prostą i naturalną ciekawość wobec zupełnie niezwykłego wydarzenia, nie wolno nam uchylać się od niepisanych praw ludzkich. Sądzę, że moim obowiąz-

kiem jest zająć się tym biednym chłopcem. I wy powinniście mi w tym pomóc.

– Ale cóż ja mogę pomóc? – wybuchnąłem.

– Przyjedźcie jutro rano do naszego Instytutu – Mirojan delikatnie dotknął mego ramienia. – Zrobiłem już coś niecoś i chcę, żebyście i wy się z tym zapoznali. Kto wie, może coś pomożecie, może coś przyjdzie wam do głowy. Bardzo nam zależy, by odszukać wszystkich, którzy znają Borysa Rewina. Musimy te wszystkie ogniwa połączyć. Właśnie wy widzieliście go chwilę przedtem, zanim utracił świadomość. Najdrobniejsze szczegóły są tu ważne. Ostatnio starałem się kilkakrotnie z wami porozumieć, ale byliście na urlopie. Bardzo proszę, przyjedźcie do naszego Instytutu. Przyjedźcie bodaj jutro, koniecznie przyjedźcie. Zaraz zapiszę wam adres. To za miastem. Jechać trzeba podmiejskim pociągiem z Dworca Jarosławskiego.

Obiecałem, że przyjadę.

* * *

Siedzieliśmy w olbrzymiej okrągłej sali. Mirojan powiedział, że nie przenikają tu ani dźwięki, ani światło, ani wstrząsy z zewnątrz. -Sala pływa swobodnie wewnątrz ogromnego, napełnionego płynem zbiornika. Półmetrowej grubości ściany izolowane są jeszcze ołowianymi i korkowymi płytami, ukrytymi pod czarnym matowym aksamitem obić.

Na małym biurczku stała bardzo silna lampa. W zupełnie ciemnej sali snop jej światła padał tylko na fotel, w którym siedział Mirojan, i ostro odbijał się w chromoniklowych częściach dużej elektronowej instalacji. Zdawało się, że zagubieni i zapomniani siedzimy samotni w mrokach nieskończonego

wszechświata. A wokół nas zupełna cisza. Po raz pierwszy otaczała mnie tak całkowita, głucha cisza. Niesamowicie musi się czuć w takiej ciszy człowiek zupełnie samotny. Mimo woli ogarnął mnie jakiś niczym nie umotywowany lęk i każdą chwilę milczenia w naszej rozmowie starałem się natychmiast wypełnić słowami. Wydawało mi się, że siedzę nad brzegiem czarnego odmętu martwej wody i rzucam w nią jeden za drugim błyszczące białe kamyki.

- Dosłownie głową tłukłem w tę przeklętą ścianę, która go odcinała od świata - opowiadał Mirojan - i wszystko na próżno. Co się tam może dzieć w jego mózgu, o czym on myśli, czy też może nie myśli o niczym, czy w ogóle zdaje sobie sprawę, co się z nim dzieje? Wreszcie, zrozpaczony, poszedłem do mego szefa. Przyjął mnie chłodno, wysłuchał w milczeniu kapłan beznamiętny i niewzruszony. We mnie jakby huczało wzburzone morze, którego fale rozbijały się bezsilnie u stóp siedzącego przede mną człowieka, gdy wyprowadzony z równowagi jego milczeniem skończyłem już moją relację, szef bez słowa wypisał mi zlecenie na skorzystanie z cerebrotronu. Dziewiętnaście roboczogodzin na tydzień! Kapłan kierował mnie na drogę może wiodącą właśnie do zwycięstwa... Przypuszczam, że nie macie pojęcia, co to takiego cerebrotron, prawda? Nic zresztą dziwnego. Postaram się wytłumaczyć wam choć z grubsza. Cerebrotron to połączenie cybernetyki i fizjologii. Aparat niesłychanie drogi i skomplikowany. Obsługuje go specjalna siłownia o mocy równej zaporze w Szaturze. Tu, w tej sali, mamy tylko tablicę rozdzielczą. Sam aparat znajduje się głęboko pod ziemią, w olbrzymiej betonowej 'studni. Może widzieliście kiedyś synchrofazotron w Dubnie?

Pokręciłem głową przecząco.

- No więc cerebrotron jest z półtora raza większy. Cerebrotron może zapisać i po wsze czasy zachować sen, który wam się śni, waszą myśl, jeśli tylko jest ona obrazem, a nie abstrakcyjnym rozumowaniem. Zamknęliście na przykład oczy i pojawiła się przed wami twarz ukochanej osoby. Widzicie tę twarz dokładnie, jest realna i wyraźna. Ale spróbujcie opisać ją słowami tak, by wasz słuchacz równie dokładnie tę samą twarz zobaczył... To niemożliwe. I oto, jeśli otoczy się waszą głowę elektrodami i podłączy się was do cerebrotronu, to ferrytowe płytki jego pamięci zachowają pojawiający się przed waszymi oczami ulotny i nieuchwytny jak sen obraz. Jeśli podłączymy do cerebrotronu waszego słuchacza czy tysiące waszych słuchaczy, to będą mogli zobaczyć wszystko, co wytworzyło się w waszej wyobraźni. I w dodatku każdy z nich będzie miał takie wrażenie, jakby obraz, na który patrzy, sam wywołał z głębi swej pamięci. Oczywiście, że cerebrotronu nie zbudowano w tym celu, a raczej nie tylko w tym celu. Ale to już ani was, ani mnie nie obchodzi... Rzecz w tym, że jestem w posiadaniu notatek cerebrotronowych, protokołu ze stu czterdziestu godzin... Wszystko, co działo się w tym czasie w mózgu naszego pacjenta, zostało tam zanotowane. Wiele sygnałów jest niezrozumiałych i poplątanych. Dziwny świat ukazał się moim oczom. Bardzo dziwny. Nie chciałbym zamęczać was zbyt długim seansem cerebrotronowym. Nie jest to bezpieczne bez odpowiedniego przygotowania. Dlatego podłączę was do cerebrotronu tylko na kilka minut. Przez kilka minut dostępna będzie dla was pamięć tego zagadkowego człowieka. Resztę możecie przeczytać sobie w moich notatkach, w których wszystko dokładnie spisałem.

Mirojan wstał i wskazał ręką gdzieś w ciemność.

– Połóżcie się i postarajcie się nie myśleć o niczym. Zachowujcie się tak, jakbyście mieli zasnąć.

Położyłem się na kozetce, która stała pośrodku sali. Mirojan włożył mi na głowę chłodną metalową obręcz. Do karku i obu moich skroni szczelnie przycisnął i przymocował leuoplastem elektrody. Około dziesięciu minut krzątał się tak koło mnie, po czym odszedł. Gdzieś z oddali dobiegł jego przytłumiony głos:

– Jeśli robi się wam słabo, natychmiast naciśnijcie guzik. Macie go pod prawą ręką.

Lampa na małym stoliczku zgasła.

Okazałem się więc zwykłym egoistą. Rewina zabrano do lecznicy, a ja najspokojniej w świecie zapomniałem o nim zupełnie.

I oto teraz znowu mam się z nim zetknąć. A wtedy... Borys Rewin... Zdaje mi się, że miał jeszcze jakieś inne nazwisko. Ta staruszka, matka jego przyjaciela, tyle mi wtedy o nim opowiadała, ale niewiele z tego zapamiętałem. Pamiętam tylko niejasno, że chodziło tam o kogoś jeszcze. I ów ktoś w żaden sposób nie pasował do dziwnego nieznanego z uniwersyteckiej stołówki.

Wszystko zależy od punktu widzenia. Patrzałem na Borysa obojętnie, jak postronny obserwator, i wydał mi się niesympatyczny. A ona – współczującym okiem przyjaciela. Według jej słów, był miłym, nieco zdziwaczalym chłopakiem. Co prawda... widziałem go przecież tuż przed samym szokiem, wtedy był taki dziwny, wprost przerażający... A teraz miałem zobaczyć go, czy raczej dowiedzieć się o nim tego, czego, być może, on sam o sobie nie wie.

Dziwna rzecz, zazwyczaj jestem zrównoważony i spokojny, teraz jednak byłem zupełnie wytracony z równowagi. Widocznie tak musi być, gdy leży się w ciemnym pokoju, czoło uciska twarda obręcz, i do skroni, jak pijawki, przyssały się elektrody. A w perspektywie ma się coś w rodzaju seansu – ni to hipnozy, ni to snu na jawie... To zresztą jeszcze nie wszystko. Poza tym czułem się jak uczeń schwytywany na gorącym uczynku, właśnie gdy wypisuje na świeżo pomalowanej ścianie swój lakoniczny sąd o Wowce, koledze z ławki. Było mi wstyd mego zapomnienia.

Mój stosunek do Rewina wydawał mi się przedtem całkiem na miejscu. Ale czy obojętność można uważać za coś całkiem na miejscu?

Ludzie się wstydzą, gdy postępują w sposób niezbyt właściwy, i stawiają się w niezbyt pochlebnym świetle. Człowiek chciałby zawsze przedstawić się z najlepszej strony. Jak widać, ja również chciałbym przedstawić się z najlepszej strony, choć nigdy bym się o to nie posądzał...

Lecz cóż to? Przed oczami zamigotały mi jaskrawe błyski. Pewnie włączono cerebrotron... Światło zmętniało i rozproszyło się. Naraz znalazłem się na dnie jakiegoś jeziora. Chwieją się trawy podobne do długich włosów. Drgają na wpół przezrocyste grudki śluzu, miotają się niebieskawe kulki, podrygują rzęsy podłużnych wymoczków. Wydają się bardzo duże, zupełnie jakby moje oczy nabrały nagle ostrości mikroskopu.

Skądś tam, z butelkowitzelonych odmętów napływa na mnie olbrzymi czarny cień. Nie mam czasu mu się przyjrzeć, ale serce ściska mi się ze strachu. Czuję się jakby rozdwojony. Z jednej strony doskonale zdaję sobie sprawę, że leżę na kozetce i nic mi absolutnie nie grozi, ale druga część mojego „ja”

jest tam, głęboko w wodzie i drży z przerażenia. Pragnie wyrwać się i uciec od nieznanego niebezpieczeństwa.

I oto czuję, że biegnę. Nie widzę siebie. Ale wiem, że biegnę. Obok migają słupy, dymią pochodnie, poruszają się postacie ludzi. Przed oczami zjawiają się marmurowe stopnie. Zdaje się, że schody nie skończą się nigdy. Nagle przede mną ukazuje się łuk triumfalny, opleciony bluszczem i pędami dzikiego wina. Rozchyłam gąszcz liści. Stoję na wysokim wzgórzu. W dole szaleje pożar. Podpalone z trzech stron płonie miasto. Od czasu do czasu, gdy zapada się jakiś dach, ku niebu wzbija się snop złotych iskier, iskry gasną w locie i opadają w czerwonej mgle. W blasku pożaru mogę rozróżnić niektóre budowle. Wydają mi się znajome. Mnie – to znaczy temu, który leży na kozetce.

Majestatyczny Panteon, Koloseum o groźnie nachmurzonych oczodołach okien, Łuk Triumfalny Antoniusza, ginące w mroku stopnie Term Karakalii. To płonie Rzym. Gotuję się cały z gniewu i oburzenia.

Oto znów migają przede mną schody. W mieście „dzieją się straszne rzeczy. Krwawe odbłaski na hełmach z orlimi skrzydłami. Z płonących domów wybiegają półnagie kobiety. Zdzierają z siebie tuniki i zawijają w nie wrzeszczące dzieci. Szczękają miecze. W wąskim, cuchnącym zaułku ktoś woła kogoś zanosząc się od łkań.

Na placu przed świątynią zgromadził się tłum. W purpurowym blasku pożaru twarze wydają się lśniąco czarne. Ludzie czekają na kogoś. Domy wałają się w gruzy, na ulicach gwałty i bezceństwa. Ciała pomordowanych poniewierają się w kałużach, w których krew trudno odróżnić od wina. W odbłasku ognia wszystko jest czerwone, wszystko dymi. Gniew już

mnie nie dławi. Wzburzenie zbiera się w sercu i kamienieje tam w ciężki głąz nienawiści.

Ludzie na placu poruszyli się gwałtownie i niespokojnie. Ktoś wykrzykuje pogróżki i przekleństwa. Starcy wznoszą ku górze wyschnięte ramiona. Kobiety tulą do piersi zanoszące się płaczem dzieci. I nagle pojmuję, że wszyscy oni spoglądają na mnie. W ich sercach czytam zdecydowanie i wiarę. Zdaję sobie sprawę, że do tych ludzi przemawiałem, że natchnąłem ich kipiącymi we mnie uczuciami. Lecz nagle tłum ogarnia panika, morze głów na placu zakołysało się, a nad nim błyskają spiżowe orły, kołyszają się liktorskie różgi, chwieją się włócznie i wzniesione do cięcia miecze.

Poznaję godła najwyższej władzy i rzucam się naprzeciw temu znienawidzonemu symbolowi. Ale drogę zamykają mi dwie skrzyżowane włócznie.

Lampa na stoliku zapaliła się. Cicho brzęczy transformator. Mirojan podszedł do mnie.

– No, jak tam? – pyta.

Nie jestem w stanie odpowiadać. Mirojan pochylił się i zajrzał mi w oczy. Potem machnął ręką i odszedł. Lampa znów zgasła.

Przede mną rozciąga się olbrzymia zielona sawanna. Miękką i soczystą trawą chwilami zasłania mi widnokraj, jakąż jest wysoka. Słońce pali żywym ogniem. Powietrze parne i duszne. Ale ja, leżąc na kozetce, nie czuję żadnego zapachu. I nagle jakbym sobie ten : zapach przypomniał, jakby drzemał on gdzieś w mej [podświadomości. Zapachy długo można pamiętać. To pamięć odruchowa. Wystarczy wyobrazić sobie cytrynę z jej żółtą połyskującą skórką, mętrawy sok ściekający

po ostrzu stołowego noża, by poczuć ostry, przenikliwy zapach i by do ust zaczęła napływać ślina.

Ja, leżący na kozetce paleoklimatolog, przeczytałem mnóstwo książek o kopalnej faunie i florze. Być może dlatego widziałem, jaką ukazał mi cerebrotroń, tym razem nie wydała mi się tak zupełnie realna. Zbyt wielkie było zainteresowanie leżącego na kozetce paleoklimatologa, by mógł wyłączyć się całkowicie. Chwilami jednak wyłączałem się zupełnie i byłem już tylko tym skradającym się po „pierwotnej sawannie pod promieniami wczesnego porannego słońca.

Od razu poznałem, że jestem teraz w trzeciorzędzie ery kenozoicznej, kiedy to maleńkie ciepłokrwiste zwierzątka okresu kredowego wygrały już walkę o byt. W cieniu gigantycznej akacji hienopodobne drapieżniki otoczyły jakiegoś arsenoterium. Olbrzymie zwierzę, znacznie większe od słonia, pochyla uzbrojony dwoma rogami łeb i zaciekle odparowuje ataki wrogów. Boję się, ale moja ciekawość jest silniejsza od strachu. Padam na ziemię, podkradam się bliżej. Rozchyłam giętkie łodygi traw i przyglądam się całej walce od początku do końca. Teraz arsenoterium zręcznie chwycił na rogi jednego z drapieżców i podrzuca go wysoko w górę. Z przejmującym wyciem hiena trzeciorzędu spada w kolczaste zarośla, głośno plasnawszy o ziemię. Arsenoterium dosięga rogami jeszcze jednego przeciwnika, którego w oka mgnieniu tratuje potężnymi jak pnie drzewa nogami. Rycząc groźnie i szczerząc kły hieny zaczynają cofać się w zarośla. Olbrzym wyszedł z walki zwycięsko, lecz nie ściga swych wrogów. Jest wielki i wielkoduszny. Na polanie ukazują się jeszcze jeden olbrzym, przodek nosorożca indrikoterium. Na widok rozszarpanych hien parska tylko i spokojnie zaczyna się paść. Wypłasza z

trawy jakieś niewielkie, nie większe od kota zwierzątka, które umykają co sił. To eohippusy, pełne wdzięku i gracji prakonie.

Już po walce. Nie muszę już ukrywać się w trawie. Prostuję się i idę dalej na dwóch nogach. Od czasu do czasu jednak nieodparcie ciągnie mnie ku ziemi i wtedy staję na czworakach. W powietrzu krążą i brzęczą ogromne owady, wśród traw przemykają najprzeróżniejsze czworonogi, płazy i gady. Ale nie zwracam na nie uwagi. Spieszę się. Dokąd? Tego nie wiem. Potrafię tylko odczuwać, że dokądś mi pilno. Zagłębiam się w las i idę wśród olbrzymich pni obrośniętych pasożytniczymi pnączami. Gdzieś na wysokości przyprawiającej o zawrót głowy łączą się ze sobą korony palm, szumią połyskujące liście mirtów i cisów, majestatycznie chwieją się kosmate konary sekwoi.

Nagle widzę jak po gładkim pniu cisu ześlizguje się mała długoręka małpka. Do pleców jej przywarło małpiątko o smutnych i wyrazistych oczach. Opadając na przednie łapy małpa spieszy mi naprzeciw. Czuję jak wzbiera we mnie czuła tkliwość. I właśnie wtedy dopiero ja, leżący na kozetce paleoklimatolog, uświadamiam sobie, że jestem taką samą małpką – prokonsulem. Oto dlaczego trawa sawanny wydawała mi się tak wysoka jak dziewiczy las! Prokonsule miały zaledwie trzydzieści pięć centymetrów wzrostu i trzydzieści pięć milionów lat musiało minąć, zanim stały się ludźmi.

Razem z małpą wdrapuję się po pniu i ruszamy na wędrówkę po koronach drzew. Czepiamy się lian, rozhuśtujemy się i w ten sposób przedostajemy się na inne, odległe nawet drzewo.

Nie wiem, dokąd dążymy, lecz przemożny głos instynktu zmusza mnie do pośpiechu. Chwieją się korony drzew i ziemia

spieszmy nam 'naprzeciw. Poprzez liście z rzadka przenikają smugi słonecznych promieni. A gdy nagle światło mnie oślepi, sam nie wiem, co się dzieje: czy to blask słońca, czy Mirojan zapalił rampę.

To słońce. Już zachodzi właśnie. Osłaniam przed nim oczy dłonią i wycieram spoconą twarz... Jak pięknie pachnie świeżo skoszona trawa! Miarowo macham kosą. Potulnie padają kiście, kłoski i baldaszki traw, barwne kwiaty, liliowe główki koniczyny. W oddali z wolna zapada zielonkawo-błękitny zmierzch. Widać już nawet księżyc na niebie. Jest bladawy i ledwie widoczny. Jak niedojrzała pestka arbuza. Posępnie połyskuje woda. Na zachodzie krzyże goreją pozłotą. Ja, leżący na kozetce, rozpoznaję niepowtarzalną, śmiałą architekturę Soboru Troickiego o trzech kopułach. Miasto na horyzoncie to Psków.

Koszę trawę dalej. Kosa podzwania, a mnie się wydaje, że to szum wody przeciekającej poprzez dębowy grzebień jazu na rzece.

Nagle czuję spaleniznę, przynosi ją do mnie powiew wiatru. To nie ten miły dym ogniska, na którym w kociołku gotuje się zupa, nie tak pachną palące się suche liście. Od razu poznaję, że to gryzący i złowieszczy dym pożaru i wojny. Porzucam kosę i biegnę. Duszący podmuch uderza prosto w twarz. Serce wali gdzieś pod samym gardłem. Wydeptana wśród łąk ścieżka nie ma końca. Nie mam już sił biec... Żaby kumkają w szuwarach jeziora. Czuję już wyraźnie swąd spalenizny. Biegnę, wciąż biegnę. Chociaż może mi się tylko wydaje, że biegnę, a w rzeczywistości ledwo się wlokę, przyciskając ręce do piersi, z której wyrывa mi się rozkołatane serce. Widzę już spłoszone wrony, krążące nad czubkami płaczących brzoź. I czarny gęsty

dym, poprzez który prześwieca trwożnie zachodzące słońce. Tam stał mój dom. Nie mam już do czego się śpieszyć. Rzucić się tylko na suchy miałki piach, drzeć z rozpaczy włosy z głowy, rwać przydrożne zielsko, drapać paznokciami ziemię. Ale nie padam na ziemię. Patrzę na dym nad pogorzelskiem, widzę zakute w żelazo konie z pękami piór na łbach i zakutych w żelazo jeźdźców z opuszczonymi przyłbicami, podobnymi do ptasich dziobów.

Zawracam, cofam się. Spieszę prosto w stronę kamiennego kremla „Krom”, u zbiegu rzek Wielkiej i Pskowskiej. Na kopułach jego wież dzień zamiera posępny blaskiem. Brama miejska jeszcze otwarta, choć dzwony biją już na trwogę i lud tłoczy się na rynek. Spod sklepienia bramy jakiegoś potężnego budynku, jakby wyciosanego z jednolitej kamiennej bryły, wyjeżdżają wozy. Skrzypią osie. Ludzie ładują kamienie. Rozpalają ogniska pod okopconymi kotłami, w których wrze i bulgoce smoła. Na wałach miejskich stoją nieruchomo łucznicy. Spieszą do nich kobiety z rozpuszczonymi włosami, w odzieży z samodziału, w białych płachtach niosą im bochny chleba.

Nachmurzeni bojarzy niechętnie rozdają „prostemu ludowi” topory i proce. A ludzie w łachmanach i podartych łapciach idą na mury z toporami i drągami. Ja mam w ręku widły. Także spieszę na mury. Niemieccy rycerze podjeżdżają pod mury miasta. Nadchodzą klinem. W środku kolumny idą piesi knechci. Uzbrojeni są w krótkie miecze i kusze. A zakuci w żelazo jeźdźcy otaczają ich niby ostrokół. Jadą ze sterczącymi w górę ciężkimi kopiami, strojnymi w proporce. Można już rozróżnić barwne godła na podłużnych, spiczasto zakończonych tarczach. Z lewej strony, w cieniu kopuł potężnego soboru Klasztoru Iwanowskiego, jedzie osobna grupa wspaniale

przybranych wyborowych jeźdźców, towarzysząca samemu Wielkiemu Mistrzowi. Dzwony na wieżach biją coraz głośniej, ponad miastem huczy nieprzerwany jęk trwogi.

Przednia straż wroga podchodzi pod mury i nasi łucznicy dają pierwszą salwę. Gęsto posypały się strzały, jakby chmura przeszła nad ziemią. Ale zakutym w żelazo jeźdźcom nie mogą wyrządzić krzywdy. Kilku zaledwie knechtów chwyta się za pierś i pada pod nogi następujących zwartymi szeregami towarzyszy.

Knechci zdejmują z ramion kusze, napinają je i przyklękając na jedno kolano zaczynają ostrzeliwać mury. Kryjemy się za kamienne blanki. Nasi łucznicy miotają swe strzały ze strzelnic na pieszych ponad głowami opancerzonych rycerzy. Podczas tej całej strzelaniny część knechtów podeszła pod same mury i pod ich osłoną zaczęła przystawiać drabiny. Młody bojar w hełmie i kolczudze, z sokołami wykutymi na opancerzonej piersi, daje ręką znak, by łać smołę. Niemieccy kusznicy nie pozwalają nam unieść ani na chwilę głów ponad blanki. Raz po raz ktoś z nas pada przeszyty grotem. Ale wrząca smoła ścieka już rynnami w murze, syczy i zastyga powoli. Kusznicy przestają strzelać, pierwsze szeregi wdrapują się na mury. Rąbiemy napastników toporami i siekierami, spychamy ich z drabin na dół pod mury. Moje widły także nie próżnują.

Bój nie ustaje. Na niebie błyszczą już gwiazdy, srebrzysty księżyc odbija się w falach rzeki, a my wciąż nie odkładamy broni. W czasie najgorętszej walki, gdy uczepteni kurczowo kamiennych blanków odpychamy nogami drabiny wrogów, rozchodzi się wieść, że bojarzy zdradzili. Otworzyli wrogom bramę od strony wschodniej. Mocne są mury z kamieni spojonych zaprawą z wapna i mleka, która przez dwadzieścia lat

przeleżała w ziemi. Aż palą się nam dłonie, by rąbać i kłuć. Ale nikczemna zdrada oszołomiła nas jak grom z jasnego nieba. Knechci korzystają z naszego oszołomienia, wdzierają się na mury. A za nami, w mieście, słyhać już głucho dudnienie kopyt zakutych w żelazo rumaków.

Powiązani, z nogami zakutymi w dyby, leżymy w wilgotnym lochu i słyszemy stuk ciesielskich toporów. Na rynku stawiają szubienice. Niemcy zawsze po zdobyciu miasta wznoszą szubienice. Czarne wrony krążą po niebie. Ale nieba nie widać z kamiennej ciemnicy, nie słyhać, jak dźwięczy ziemia pod kopytami walecznej drużyny kniazia Aleksandra, który śpieszy nam z odsieczą. Czy przybędą jednak na czas? . O pierwszym brzasku powiodą nas Niemcy na rynek miasta...

Gdzieś tam nad nami w górze przenikliwie skrzypią okute drzwi. Blask płonącej pochodni pada na schody. Idą po nas. Głucho łomoczą kroki po wilgotnych granitowych stopniach. Coraz bliżej i bliżej...

To na pewno Mirojan zapalił lampę i zbliża się do mnie. Leżę na kozetce i staram się opanować oszołomienie. Ale to nie Mirojan. To po kamiennej podłodze jaskini drepczą bosa stopy w takt rytualnego tańca. Świeże powietrze prawie tu nie dochodzi, jest duszno, dym ogniska gryzie w oczy, drapie w gardle. Lśnią nagie ramiona, wysmarowane tłuszczem, ociekające potem. Na ścianie, tuż przede mną, dostrzegam jakieś kreski. Jeszcze jedna kreska. To zapewne ja sam rysuję.

Wiem, że muszę rysować, ale nie wiem, czyj wizerunek powstaje pod moją ręką. Podśpiewuję sobie z cicha. Jestem w ekstazie. Cóż to za szczęście potrafić coś narysować. Mam tylko grudkę gliny i osmoloną głównię z ogniska, a mogę nary-

sować wszystko, co zechcę: bizona, mamuta, renifera. Rysuję je zawsze przebite włócznią. Dlatego właśnie naszemu plemieniu tak często udają się łowy. A gdy zdarzy się nieszczęście, gdy odnieniec lub tygrys szablastozębny zabije kogoś z myśliwych, wtedy plemię tańczy taniec inny, ponury i cichy, ja zaś rysuję na ścianach jaskini przedziwne znaki, zagadkowe symbole, zrozumiałe jedynie dla wtajemniczonych. Kobietom i młodym, nie wtajemniczonym jeszcze chłopcom nie wolno nawet ukradkiem spojrzeć na te rysunki. A ciekawi są ich ogromnie, wiem o tym dobrze. Boją się jednak. Więc na pocieszenie wycinam im z kłów mamuta przeróżne wymyślne cacka. Przy świetle ogniska kobiety podziwiają je w czasie długich zimowych nocy, dziewczynki kołyszą je w ramionach jak niemowlęta, śpiewając przeciągłe, smętne pieśni.

W tej chwili rysuję właśnie niedźwiedzia. Ma być rudy, więc smaruję go ochrą. Kobiety tańczą lub karmią dzieci. Mężczyźni wyciosują toporki i noże z krzemienia. Moi współbracia mają niskie czoła, wydatne kości wystają im nad oczodołami, porośnięci są włosami, a okryci skórami zwierząt. W jaskini płonie ogień. Młodzi chłopcy siedzą zapatrzeni w jego złociste języki, a w ich oczach błyska inny ogień: ogień myśli.

Ja, leżący na kozetce, zdaję sobie dokładnie sprawę, że jest to okres wczesnego paleolitu. W miejscach gdzie obozowały ówczesne plemiona koczownicze, znajdujemy teraz przeróżne sprzęty gospodarskie, broń myśliwską, wycięte z kości figurki kobiet i zwierząt. Staram się jednak nie myśleć teraz o tym, aby nie uronić żadnego szczegółu wspaniałej sceny, jaka odtworzyła się w mózgu Rewina. Ale nagle wszystko się urywa. To na pewno Mirojan coś tam majstruje. Niczego nie pozwala mi dopatrzeć do końca, „film” za każdym razem urywa

się w najciekawszym miejscu. Ale nie mam o to do niego żalu. Chce pokazać mi możliwie jak najwięcej, a czas mamy ograniczony. Określam to tak zwyczajnie: film, zobaczyć do końca, pokazać. W gruncie rzeczy jednak, nikt mi tu przecież niczego nie pokazuje. To ja sam, ale nie ten ja z kozetki, przezywam te sceny jako ich centralna figura. Wszystko to widzę własnymi oczami, czuję własnym sercem, choć wszystko to nie ja sam widziałem i przeżyłem.

Wszyscy ci, co przeżywają filmy całym sercem, tupiąc i piszcząc mimo woli jak dzieci, rozumieją mnie bez trudu. Jakież jednak błady i sztuczny jest każdy film wobec tych wizji, które „wkłada” do mojego mózgu cerebrotron. Wkłada, właśnie wkłada! Nareszcie znalazłem odpowiednie określenie.

Faluje nade mną płynne zwierciadło. To, co odczuwam, jest jakieś niewyraźne i nieokreślone. Zwierciadło rozstępuje się i wynurzam się na powierzchnię. Niebo zasnuwane jest całunem chmur. Chmury podobne są do mokrej waty. Siąpi drobny deszcz. Jego strużki biją po wodzie niby cieniutkie nitki, z których niebo zda się tkać bezkresny atlas tafli oceanu. Brzeg jest tuż przede mną. Łagodnie pochyły i piaszczysty. Smutnie połyskuje wilgotna zieleń. Ażurowe paprocie i wysmukłe, twarde skrzypy. Jakaś dziwna neodparta siła ciągnie mnie na ten brzeg. Choć przez chwilę chciałbym pobyc na tym mokrym piasku, z którego spływa mętnowa piana cofającej się fali. Ale płynne zwierciadło znowu faluje nade mną. I znowu wynurzam się i ciekawie przyglądam się brzegowi.

Ja, leżący na kozetce, od razu poznaję las dewonu. Ogarniają mnie sprzeczne pragnienia. Staram się skupić, by wszystko dojrzeć i dokładnie zapamiętać te obrazy sprzed

trzechset milionów lat. Ale to przeszkadza mi uczestniczyć w nich, wżyć się w nie bez reszty. Dlatego tylko na mgnienie oka przemyka w mej świadomości potworny lęk sprzed milionów lat na widok rozwartej jak czeluść hutniczego pieca paszczy ogromnej ryby. Właśnie żeruje w głębinie. Nie ma zębów tylko rogowate narośla na dziąsłach i błyskawicznie przegryza nimi na dwoje trzymetrowego rekina, który się na chwilę zagapił. Ale, leżąc na kozetce, poznaję w potworze rybę pancerną i urok pryska, nie mogę przestraszyć się naprawdę. Po długich wahaniach decyduję się jednak podpłynąć do samego brzegu i wyjść z wody. Na brzegu rozgrywa się przedziwna, niepowtarzalna scena. Jakieś niby-płazy przełazą przez zakrzepłą na piasku gnijącą pianę i wychodzą na ląd. Jedne uczipione są jeszcze łapkami wyrzuconych na brzeg butwiejących wodorostów, inne leżą już na piasku lub powoli posuwają się do lasu. Jeszcze inne, ale tych jest niewiele, wracają do oceanu. A ja, leżąc na kozetce, zdaję sobie sprawę, że widzę najdonioślejszą chwilę w dziejach ziemi. Oto pierwsze płazy tarczogłowe porzucają kolebkę życia, by zapewnić sobie prawo do bytowania na lądzie. Maleńkie amfibie, przeznaczeniem waszym jest stać się ludźmi! Te zaś, które przelekły się żywicznej woni lasu, żaru słońca, błękitnego bezmiaru nieba i zawracają, po prostu wyginą. Surowe i słuszne jest prawo ewolucji. Kto nie jest zdolny posuwać się naprzód – ginie.

Skądże jednak wokół mnie nagle tyle śniegu? Dopiero co było pełno zieleni... A może to nie śnieg? Owszem, śnieg. Rozmiękły, topniejący, na wpół zmieszany z wodą, z błotem, rozdeptany butami śnieg. Szare niebo połyskujące metalicznie, pełne żółtawych smug, zwisa nisko.

Gdzieś ze świata, znad zamarzniętych rzek ciągnie już podmuch przedwiośnia. Niepokojący, mocny zapach. Ludzie chciwie łowią go w drżące nozdrza. Zadzierają głowy, mrużą oczy. Tłum podnieconych ludzi w łachmanach. Stoją grupami. Zbierają się w zwarte grupy, rozchodzą się, krążą. Od czasu do czasu ktoś staje ponad tłumem, zrywa z głowy czapkę i zaciskając pięści zaczyna przemawiać. Tłum huczy jak wezbrana rzeka.

Jak powódź porywa kawał drzewa, tak mnie unosi rwący potok ludzki. Buty, walonki, futrzane łapcie mieszają rozmiękły śnieg. Szara wiewiórka obgryza wielką cedrową szyszkę. Ponuro spogląda stuletnia, ciemnozielona jodła. Duży, drewniany dom. Weranda z ozdobnie wycinanych desek. Pogięty blaszany szyld: „Złoto dorzeczna Leny. Towarzystwo Akcyjne. Kantor”. Na werandzie stoi opasły tłuścioch o nalanej krwią twarzy. Stoi z gołą głową. Wysmarowane brylantyną włosy, równiutki przedziałek. Palce wsunął do kieszonek kamizelki. Na brzuchu wisi ciężka złota dewizka. Obok niego oficer w niebieskim mundurze żandarma. Czerwone akselbanty, szabla. Chuda, nerwowa twarz, błędne, zbielełe oczy. W dłoni nerwowo ścisną białą rękawiczkę. I jest z nimi jakiś cudzoziemiec, wysoki i szczupły. Skórzany kaszkiet z podniesionymi futrzanymi nasznikami. Monokl, sztylpy. Kręcą się zgarbieni kanceliści w binoklach, z teczkami pod pachą. Twarze w oparach oddechów.

A niebo ponad głowami ciężkie, przytłaczające. Na kogo to niebo się zawali? Na nas czy na nich? Głupstwa plotę. Sam już nie wiem, co wygaduję z przejęcia. Niebo przecież na nikogo zwalić się nie może. Obok mnie idzie rumiana, krzepka dziewczyna w waciaku. Duże, szare oczy, groźne, wzburzone

jak niebo. Kurczowo trzyma za rękaw wysokiego chłopaka o ciemnej, wymizerowanej twarzy. Chłopak ma brązowe palce od machorki. Pali i zanosi się długim, męczącym kaszlem.

Ludzie maszerujący przed nami zatrzymują się. Patrzą na ich stężałe w napięciu oczekiwania karki. Nieraz karki wyrażają więcej od twarzy. Ci za nami napierają. Dlaczego stanęliśmy? Patrzą teraz ponad głowami tłumu. Zapewne wspiąłem się na palce. (Samego siebie nigdy nie widzę). Pstre morze głów. Czerwony sztandar trzepocze na wietrze. Twarze żołnierzy też są czerwone, siniejące. Broń w pogotowiu. Na lufach bagnety. Żłociste, błyszczące guziki, czerwone szamerowania, żółte znaki na naramiennikach. Skórzane ładownice z amunicją. Na mechatym suknie płaszczy lekki Oszroń. Wszystko widzę wyraźnie i dokładnie, jak przez odwróconą lornetkę, jak z oddali. Widzę jednak, dziwna rzecz, tylko fragmenty, nie powiązane sceny, jakieś urywki. Jakby filmowe skrót. Może to z podniecenia? Podniecony jestem ogromnie, ledwo nad sobą panuję. Dlaczego wciąż stoimy? Jak we śnie. Oficer na werandzie wrzeszczy coś – rozdziawia gębę szeroko. Ale słów jego nie słyszę. Ani słów kancelistów, którzy bez przerwy poruszają ustami. Ktoś z nas, z pierwszego szeregu, też coś krzyczy, wymachując czapką z nausznikami. Co chwila odwraca się, jakby pytał stojący poza nim tłum: „Czy nie mam racji? Powiedźcie sami!”

Tylko żołnierze stoją nieruchomo. Linia bagnetów ani drgnie. Tłuścioch z dewizką przykładła dłoń do ust i szepce coś na ucho oficerowi. Oficer potakująco kiwa głową. Malinowe sznury akselbantów poruszają się leciutko. Żołnierze mają oczy utkwione w dal, jakby nas nie widzieli. Niebieskie, niebieskie oczy.

Nic nie rozumiem, co się dzieje wokół mnie. Ludzie przed nami cofają się, odwracają się od nas. Wszyscy biegną. A ja wciąż nie rozumiem, co to wszystko znaczy. Nie mogę się temu wszystkiemu nadziwić. Jakby sam jeden zostaje twarzą w twarz z żołnierzami i tymi na ganku... Dzieli mnie od nich jakieś dwieście kroków. A wszędzie dokoła czernią się na śniegu leżące postacie. Niektóre nieruchome, inne ledwo się ruszają. Wszędzie dokoła mnie leżą ludzie. A ja mam coraz bliżej śnieg przed oczami. Niebo, weranda, żołnierze, wszystko jakby się pochyła, zamazuje, znika... Dlaczego? Co się stało? Żółty, rozdeptany, brudny śnieg dookoła różowieje, coraz bardziej różowieje. Aż wreszcie staje się czerwony jak sztandar ponad czarnym tłumem...

W sali cerebrotronu już dawno pali się lampa. Przy mnie na kozetce siedzi Mirojan. A ja leżę i nie mam sił się ruszyć. Trudno mi uwierzyć we własną realność. Realne było to wszystko tam na śniegu zagubione] w tajdze nadziejdyńskiej kopalni. Jakże łatwo zapominamy o tak wielu istotnych sprawach. A przecież to, co wydaje się nam dziś najzupełniej zwykłe, samo przez się zrozumiałe, rodziło się powoli z trudu i znoju ewolucji, z pełnego cierpień rewolucyjnego wstrząsu. I obficie zroszone jest krwią. Tak jak ów kwietniowy śnieg w 1912 roku w kopalni u ujścia Olekmy i Witimu do Leny.

* * *

Za oknem cicho zapada zmierzch. Elektryczną koleją wracam do Moskwy. Przed chwilą właśnie skończyłem czytać notatki Mirojana. Taki byłem ich ciekaw, że przeczytałem je tu, w wagonie. Teraz siedzę i myślę. Myślę o bardzo wielu sprawach.

Gdzieś tam za mną, w samym końcu wagonu jedzie jakaś wybieczka, śpiewają chórem na cały głos. Gra akordeon, puste wiadro dudni pod młodymi palcami w zastępstwie bębna. Śpiewają pieśni Okudźawy. Śpiewają o miłości i rozstaniu. Cały wagon słucha. Z ukrytą, przyjazną zazdrością. Duszę ogarnia jakiś smutek i spokój. Wszyscy wiozą bukiety kwiatów. Astry, georginie, floksy. Żywe kolory aż w oczy kłują. Zapach wędnących kwiatów. Zapach szarugi i wczesnej jesieni. Kwiaty są piękne i pełne tęsknoty jak pieśń. Pieśń milknie. Słychać sprzeczki i śmiechy. Akordeon gra znów, niecierpliwi się, nie może się doczekać następnej piosenki. Znów rozlega się chóralna pieśń. Akordeon radośnie przyłącza się do niej.

Dolina, wąwóz, przełęcz, steczka, tyś moja szara gołąbeczka*.

Piękna piosenka. Ale skończyła się. Cały wagon jakby się ocknął ze snu. Ludzie uśmiechają się i powracają do przerwanych rozmów, do odłożonych książek i pism. Obok mnie siedzi młoda kobieta, czyta „Romantyków” Paustowskiego. Zapach jej perfum jest delikatny i przyjemny.

Znów otwieram kartonową teczkę i odnajduję miejsce, w którym Mirojan puszcza wodze swej fantazji. I pomyśleć, że wszystko, co dziś przeżyłem, co widziałem, to zaledwie dwadzieścia minut pracy cerebrotronu. A ta teczka zawiera zwięzłą relację stu czterdziestu godzin! I wszystko to przekazał nam mózg jednego człowieka. Nieszczęśliwego, odciętego od świata człowieka. Ta jedyna w swoim rodzaju praca nie ustaje ani na chwilę od wielu, wielu dni. Ileż niepowtarzalnych wizji, dawno zaginionych krajobrazów, dramatów, jakie niegdyś ro-

zegrały się w życiu naprawdę! Ludzki mózg nie jest w stanie, fizycznie nie jest w stanie pomieścić takiego olbrzymiego zasobu wiadomości. Skądże więc to wszystko? Może to echa przeczytanych książek? Raczej nie. Wszystko zbyt prawdziwe i prawdopodobne aż do najdrobniejszych nawet szczegółów. Żaden autor nie potrafiłby tego wszystkiego tak drobiazgowo przedstawić. Po to, by w ludzkim mózgu mogły powstawać podobne obrazy, nie wystarczyłoby przeczytać całej biblioteki Lenina w Moskwie wraz z Biblioteką British Museum! Nie wystarczyłoby! Nie, to wszystko są rzeczywiste sceny, jakie się kiedyś wydarzyły. Skądże się one jednak biorą?

Jeszcze raz czytam końcowy wniosek Mirojana. „W ciele każdej żywej istoty – pisze on – tkwią jakieś pozostałości po przodkach. Budowa ciała ludzkiego ma wiele wspólnych cech ze zwierzęciem. Tak więc u miesięcznego embriona ludzkiego wyraźnie widać zaczątki łuków skrzelowych. To stadium ryby. Embrion ludzki w swym rozwoju przechodzi wszystkie stadia ewolucji. W ciągu dziewięciu miesięcy powtarzają się całe dzieje miliardów lat rozwoju życia na ziemi. Jakby coś w rodzaju zdjęć filmowych puszczonych w przyśpieszonym tempie. Najpierw nieskomplikowany, jednokomórkowy organizm, potem, przez nieustanny podział komórek, coraz bardziej złożony. Stadium ryby, stadium gada i tak dalej. Być może, że w czasie każdego z tych stadiów, w rozwijającym się stopniowo mózgu odkłada się odpowiednia informacja. Oto dlaczego mieliśmy możliwość ujrzeć dokładną wizję najdawniejszych epok geologicznych.

Jednokomórkowemu embrionowi byłaby w takim razie właściwa informacja z ery archaicznej, początków życia na ziemi. Stadium ryby przekazuje informacje o erze paleozoicz-

nej. Końcowe stadium gada to era mezozoiczna, czasy wielkich jaszczurów itd. Tak można by wytłumaczyć chyba tę całą historię w sposób możliwy do przyjęcia. Nasuwa się jednak pytanie, dlaczego dotąd nie słyszeliśmy nigdy o podobnych wypadkach? Na to jest jedna tylko odpowiedź: po raz pierwszy dopiero zastosowano cerebrotron. Być może, że niektóre schorzenia umysłowe są spowodowane takim właśnie wyzwoleniem wewnętrznej informacji. Rzecz prosta, wymaga to jeszcze sprawdzenia i poparcia doświadczeniami. Dlatego wniosek, że embrionalna informacja stopniowo odkłada się na samym dnie podświadomości, na razie bez względu na wszelkie zastrzeżenia trzeba przyjąć jako jedyny. Innego wytłumaczenia na to nie mam...”

Tłumaczenie to wcale nie zadowala mnie całkowicie. Chociaż niewątpliwie jest w nim coś interesującego i intrygującego. I jakby się nawet częściowo potwierdza. Nie bez powodu praocean zajmuje w tych wizjach tak poczesne miejsce... Życie powstało, okrzepło i rozwinęło się właśnie w nim. Ale gdyby nawet odrzucić na razie, tak jak to uczynił Mirojan, epizody, które łatwo dają się odczytać i odnieść do odpowiednich momentów historycznych czasów, a które w żaden sposób nie dadzą się wytłumaczyć embrionalną pamięcią, pozostaje jeszcze jedna istotna sprzeczność. O filozoficznym raczej charakterze. Formułuję ją jako paradoks. Otóż we wszystkich oglądanych przeze mnie i przez Mirojana wizjach bardzo mało jest ewolucji... Tak, bardzo mało! Przecież to nieustanna rewolucja. Same zasadnicze zakręty, chwile najwyższego napięcia, momenty przełomowe, w których wazy się, kto weźmie górę!

Ryba wynurza się z wody i stawia pierwsze swe kroki na stałym lądzie, małpa zeszła z drzewa i wychodzi z lasu... Przecież to same rewolucje! Punkty zwrotne, przełomowe.

A te obrazy z czasów historycznych! Zajmują one w wizjach Rewina nie mniej miejsca niż praoccean. Co za szczególne obrazy... Walka, nieprzerwana i nieubłagana walka, zupełnie takie same punkty zwrotne, przełomowe na długiej, żmudnej drodze od zwierzęcia do człowieka. Nie wolno przecież zapominać o ewolucji ludzkości. Z każdym dziesiątkiem lat przebiegała ona coraz szybciej i szybciej, jak puszczona swobodnie napięta sprężyna. Ludzkość kroczyła drogą mozolną, heroiczną, drogą pełną zakrętów i ślepych zaułków. Bywały całe wieki zastoju, dziesięciolecia cofania się wstecz. Po wiekach tych jednak nie ma śladu w wizjach Rewina. Dlatego, że nie one były zasadniczymi momentami determinującymi historię ludzkości. Historia człowieka to rewolucje.

Znów jest mi wstyd przed samym sobą tych wszystkich w moim życiu chwil całkowitego zubożenia. Jakże mogłem tak zapomnieć, że życie to walka. 1 to w pierwszym rzędzie walka z tym wszystkim złym, niegodnym, co tkwi w nas samych, co pozostało nam w spadku po mrocznej przeszłości i pokoleniach podłych mieszczuchów.

Za oknem, wagonu migają fioletowo-niebieskie światełka. Tory kolejowe jakby zakwitły jaskrawymi bławatkami. Dojeżdżamy do Moskwy. W wagonie robi się ruch. Zerkam ukradkiem na moją sąsiadkę. Pośpiesznie doczytała do końca rozdziału i właśnie wsuwa do książki, jako zakładkę, kopertę. Koperta miga mi tylko przed oczami, ale nazwisko nadawcy czytam wyraźnie: Artur Położencow. Omal nie krzyczę ze zdziwienia. Właśnie wczoraj telefonowałem do niego do Instytutu.

Powiedziano mi, że wyjechał daleko i na długo, że gdzieś go służbowo oddelegowano. I oto nagle...

Pociąg zatrzymuje się cicho. Pneumatyczne drzwi rozsuwają się bezszelestnie. Ludzie, tłocząc się i pchając, wychodzą na peron. We mgle, wokół latarni elektrycznych na peronie, tworzą się jakby jasne kuliste aureole, mieniające się kolorami tęczy.

Kobieta idzie przede mną. Połyskują fałdy nieprzemakalnego płaszcza, ściągniętego w talii paskiem. Długie, zgrabne nogi w modnych pantofelkach na szpilkach stukają po asfalcie pewnym siebie krokiem. Idę za nią, waham się, czy ją dogonić i zaczepić, ale idę za nią krok w krok. Duża torebka z książką Paustowskiego i listem Położencowa wisi na jej przedramieniu. Przypomniała mi się powieść Londona, którą zaczytywałem się w dzieciństwie – „The Star Rover”. Dzisiaj ja sam byłem takim gwiazdnym wędrowcem po miliardach lat dziejów ludzkości, od samego zarania życia. Wędrowcem nie ograniczonym ani czasem, ani przestrzenią. Cały ten bogaty kalejdoskop wizji tkwi w mózgu ciężko chorego człowieka. Temu choremu człowiekowi powinno się bezwzględnie pomóc. Dlatego muszę dowiedzieć się wszystkiego, co się tyczy jego życia. Przede mną idzie kobieta, a w jej torebce leży list z adresem Położencowa. Położencow zaś może wiedzieć o tym człowieku coś, czego my nie wiemy. Za wszelką cenę trzeba się z nim porozumieć. Przy samym zejściu do metra zatrzymuję tę kobietę.

Artur Wikientiewicz Położencow - profesor biochemii

I znów jesień zastaje mnie wśród czerwonych mchów i zielonych jezior płaskowyżu sordonnoskiego. Moi koledzy,

Walery i Roman, są razem ze mną. Ptaki odlatują już na południe. Oziębilo się ogromnie. Siedzę przy ognisku. W zakopconym kociołku bulgocze gotująca się ucha. Na jeziorze warczą motorówki. Nigdy jeszcze Sordonnoch nie widział tylu ludzi naraz. Sławny się stał teraz ten nasz Sordonnoch. Najważniejsza pozycja planu Wydziału Biologii Akademii Nauk.

Tutaj, pośród zamierającej przyrody, uspokoilem się nieco, wiele rzeczy zrozumiałem, na wiele spraw spojrzelem inaczej. Żółkną i więdną rośliny, mrą motyle – wszystko sposobi się na spotkanie zimy, by wiosną znów się odrodzić i przez wieki wieków powtarzać wciąż swój cykl rozkwitu, śmierci i odnawiania się. Życie jest nieśmiertelne. I ludzie także są nieśmiertelni, nieśmiertelnością kolektywu. Sztafeta pokoleń, dziedzictwo z ojca na syna, zakonserwowane szyfry genetyczne.

Popęniłem wiele głupstw. Ale nie żałuję tego. Dzięki nim nabrałem doświadczenia i odrobinę zmądrzałem.

Gdy tylko znikła ampułka z preparatem – nazwałem go Vitalongą, wiecznym życiem – zupełnie straciłem głowę. Zamiast całą sprawę wyświetlić, przyleciałem tutaj, na Sordonnoch. Nielicho musiałem na pleść dyrektorowi instytutu. Staruszek pewnie pomyślał, że pomieszaly mi się klepki. Dopiero tu, pod wygwieżdżonym mroźnym niebem, zdałem sobie sprawę, że Vitalonga żyje już we krwi zwierząt doświadczalnych i wcale nie trzeba szukać jej u ukrytego w głębi jeziora jaszczura. Potrzebny jest nam w zupełnie innym celu. Ten jaszczur to naprawdę bezcenna zdobycz dla nas, ludzi. Wstrzyknąłem Vitalongę królikom, które miały uprzednio zaszczone nowotwory. Brodawczaki wessały się w ciągu siedemnastu dni; sarkoma Brampera znikła po czterdziestu do-

bach, nawet rak gruczołów nasiennych ustąpił. Nie bez podstaw przewidujący ludzie twierdzili, że problem raka wiąże się ściśle z problemem życia... Wymaga to jeszcze długiej i wytężonej pracy, by z patologicznej nieśmiertelności Vitalongi wydzielić właściwości antyrakotwórcze i hiperregeneracyjne w stanie czystym. Gdy organizm zasklepia się w sobie, to patologia. Kto wie, może uda się nam znaleźć jeszcze i inne drogi zabezpieczenia kwasów nukleinowych przed skłonnościami do mitogenetycznych omyłek. Może wówczas już inaczej spojrzemy na samą nieśmiertelność. Poglądy zmieniają się z upływem czasu. Nie wolno zamykać drogi przyszłym pokoleniom barierą naszych wyobrażeń. Może ludzkość z czasem da sobie z tym wszystkim radę. Na razie można tylko snuć fantazje. Pewne jest jedynie, że nasze wnuki zajdą dalej, znacznie dalej niż my. Nie rozstrzygajmy na razie, czy nieśmiertelność jest światu potrzebna.

Wczorajsza poczta lotnicza dostarczyła trzy listy, które wywołały prawdziwą burzę w naszym tak dotąd zgodnym i spokojnym obozie. Od razu zaczęły się gorące dyskusje, spory, kontrowersje. Jakby kto kij wetknął w mrowisko. Zwłaszcza Walery zaperzył się i naskakiwał na mnie. Roman o tej całej sprawie miał własne, zupełnie odrębne zdanie, według mnie nie całkiem do końca przemyślane i sprecyzowane właściwie. I on zabierał głos w dyskusji, cytując z naciskiem klasyków filozofii.

Jeden list był od matki Walerego. Kurilina pisała, że przed jakimiś dwoma miesiącami Borys Rewin został zabrany do szpitala w bardzo ciężkim stanie. Lekarze nie mogli określić rodzaju jego choroby. Objawy były bardzo dziwne i niezwykle. Coś w rodzaju głębokiego snu letargicznego. A jednocześnie

nie był to klasyczny letarg. Lekarze prawie już opuścili ręce bezradnie, gdy za chorego wziął się kandydat nauk Mirojan. Taki sympatyczny Ormianin, niewielkiego wzrostu, pisała Kurilina. Prosił właśnie, aby napisała do syna, żeby podał wszystkie wiadome mu szczegóły o Borysie.

Dwa pozostałe listy były do mnie. Od razu poczułem sympatię do ich autorów. Jeden był od Mirojana, tego samego, o którym właśnie wspominała w swym liście matka Walerego. Mirojan opisywał z najdrobniejszymi szczegółami objawy choroby Borysa i prosił, bym mu dopomógł w tej trudnej sprawie. Wszystko, co Borysa dotyczy, bardzo go interesuje.

Ostatni list był od asystenta uniwersytetu, Florowskiego. Opisywał w nim, jak Borys wyglądał i jak się zachowywał tuż przed chorobą. Florowski z trudem zdobył mój adres i niezmiernie się zdziwił, gdy okazało się, że jest to ten sam adres co Walerego Kurilina, który dostał od jego matki. Florowski i Mirojan uważają, że my bardziej niż ktokolwiek orientujemy się w prawdziwej przyczynie choroby Borysa.

I nie mylą się. Od razu zrozumiałem, że Borys, wierny swemu celowi, zabrał ampułkę i wstrzyknął sobie Vitalongę. Przypomniałem sobie naszą ostatnią rozmowę i wiele rzeczy stało się dla mnie jasne. Dziwne pytania i zachowanie się Borysa przedstawiały się teraz i w zupełnie innym świetle.

To pierwsza ofiara pańskiego preparatu – ponuro powiedział Walery.

Siedzieliśmy koło namiotu Romana. Przed nami rozciągała się spokojna tafla sordonnoskiego jeziora.

– Nie mogę w żaden sposób zrozumieć – ciągnął Walery – dlaczego wszystko, czego dokona nauka, przynosi tyleż zła co i dobra. Czasami wydaje się, że ; byłoby lepiej, gdyby pewnych

wielkich odkryć w ogóle nie dokonano. Choćby na przykład pańskiego preparatu nieśmiertelności. Z początku sądziłem, że na się jednak ludziom przyda, a teraz dopiero widzę, szkód i zamieszania może spowodować! Nie zdaje i pan sobie chyba sprawy, wobec jakiego problemu stawia pan ludzi. Być nieśmiertelnym! Przecież wszyscy fanatycy uczepią się tego, wszyscy egoiści, głupcy i różne temu podobne typki! Jakie dziwne niespodzianki mogą wyniknąć, jakie nadużycia! Ten wypadek z Borysem daje mi wiele do myślenia.

- Ludzkość, rozwijając się - przerwał mu Roman - musi eksperymentować, a więc nieraz musi się i mylić. Nie ma postępu bez błędzenia, a ty byś ; chciał, żeby wszystko szło gładko jak po maśle, bez żadnych potknięć.

Wcale tego nie chcę, ale trzeba przecież zastanowić się, jakie mogą być skutki takiego czy innego odkrycia. Uczeni powinni uniemożliwić igranie z ogniem. Ludzkość wyrosła już z dziecięcego wieku.

- Muszę stanąć po stronie Romana - zacząłem - to, co mówi, jest w zasadzie słuszne. Rozwój myśli, nauki, nie może zatrzymywać się dlatego, że zdarza się czasem jakaś omyłka. Jeśli jakiegoś odkrycia nie dokonamy my, dokonają go inni...

Wypowiadając te słowa wciąż miałem w pamięci zdanie, które przeczytałem przerzucając list Kuriliny do Walerego: „...Wszystko mu się w życiu zawsze nie udawało, to i na taki koniec mu przyszło. Leży, biedaczysko, ani żywy, ani martwy i tylko ta dobra dusza, Mirojan, kręci się koło niego...”

- Zrobimy wszystko, by Borysa postawić na nogi - powiedziałem, całkiem nieoczekiwanie dla samego siebie. Głos mój brzmiał głucho, był pełen napięcia. Chłopcy popatrzyli na

mnie ze zdziwieniem. Czy wierzyłem sam w swoje słowa? Wierzyłem. Ale sam się bałem, a nuż...

Kiedyś Borys powiedział mi, że bardzo by pragnął wyświecić pewną tajemnicę, dotyczącą bliskich mu ludzi. Patrzył wtedy przezroczystym i szklanym wzrokiem. Jakby wpatrywał się w coś w sobie samym. Wtedy nie zrobiło to na mnie wielkiego wrażenia, ale teraz wszystko nabrało jakiegoś specjalnego sensu: i nieruchomy wzrok, i ten szalony upór, by za wszelką cenę, bodaj za cenę życia, zobaczyć przeszłość. Taki stan emocjonalny łatwo może pchnąć człowieka do nieobliczalnych poczynań.

Troska o Borysa utkwiała mi w sercu głęboko i wciąż już będzie mi ciężać. Na razie jednak należy zająć się wyłącznie naszą pracą naukową. Ścisła wiedza zawsze 'chyba potrafi wskazać coś, co okaże się wybawieniem. – Postawimy go na nogi – powtarzałem sobie uparcie, zupełnie jakbym kogoś przekonywał.

Skądinąd ucieszyło mnie to wszystko, o czym dowiedziałem się z listów Mirojana i Florowskiego. Uzyskałem ostatnie brakujące ogniwo mojej hipotezy o wewnątrzkomórkowych informacjach. A więc nie omyliłem się. Mózg zdolny jest czerpać informację z samego organizmu, nie mając żadnej łączności z zewnętrznym środowiskiem. Z informacji zmagazynowanej w komórkach, w trzydziestu trylionach najdoskonalszych aparatów pamięci.

Doniosłe eksperymenty z dwugłowym robakiem, które przeprowadził Anglik Mac Conell, wykazały niezbicie istnienie dziedziczności cech nabytych. Florowski i Mirojan byli pierwszymi naocznymi świadkami, którzy na własne oczy ujrzeli te obrazy, jakie obficie utrwaliły się w plazmie naszych komórek.

Niezliczone molekuly kwasów nukleinowych, które nieprzerwanie rodzą się i giną w nas, niosą w sobie utrwaloną dla nas pamięć i doświadczenie nabyte przez . niezliczone pokolenia naszych przodków. Te cechy nabyte znajdują swe bezpośrednie odbicie w mózgu i systemie nerwowym. Wraz ze śmiercią przodków to nabyte doświadczenie nie ginie, lecz przechodzi dalej, u sztafety z pokolenia na pokolenie, stając się coraz bogatsze i pełniejsze.

Niecałe jednak życie organizmu znajduje swe odbicie w strukturze kwasów nukleinowych. Jedynie bardzo ważne, zwrotne wydarzenia fizycznego i duchowego życia mogą spowodować mutacje. Mutacje – to nowe rozdziały w kronice rewolucji. Tryliony pobudzonych Vitalongą komórek nieprzerwanie przekazują do mózgu Borysa wszystkie informacje, jakie zdołały nagromadzić.

Wszystko to odbywa się chaotycznie, bez jakiegokolwiek porządku, czasem nawet jednocześnie. Jedynie taki skomplikowany i doskonały aparat jak cerebrotron mógł połapać się w tym chaosie i posegregować go na swych ferrytowych płytkach.

Nie dziwi mnie wcale, że Borys to wszystko odchorowuje. Żaden normalny, zdrowy mózg nie byłby chyba w stanie pomieścić takiego nawału pełnej wyrazistej treści informacji.

Należy teraz znaleźć sposób przygłuszenia tego nawału, zdławienia gwałtownego buntu komórek. Inaczej nie uda się przywrócić Borysa do aktywnego życia. Wszystko, co wam tu mówię, napiszę także do Mirojana i Florowskiego. Wtedy zapewne wiele spraw im się wyjaśni, uprości.

Przypuszczam, że nasze obserwacje sordonnoskiego jaszczura będą dla nas niezmiernie cenne. Ta zagadka powinna

być rozwiązana za wszelką cenę. Całe jezioro otoczmy sieciami, trzeba bowiem koniecznie złowić jaszczura i umieścić go w akwarium. Teraz mamy już pod dostatkiem ludzi i sprzętu. Myślę, że gdy jaszczura złowimy, będziemy mieli czas zająć się jeszcze jedną tajemnicą natury, tajemnicą, która tak wstrząsnęła I pańską wyobraźnią, Romanie. Pobierzemy próbki wody i gruntu, złowimy jeszcze innych mieszkańców jeziora, przeprowadzimy radiometryczne pomiary. Możliwe, że uda się nam wyświecić przedziwną zagadkę

nieśmiertelności jaszczura, dowiedzieć się jego historii. Niezupełnie mi odpowiada pana fantastyczna, nieco pochopna hipoteza, Romanie. Dlaczego koniecznie kosmonauci z innych planet? Równie dobrze można wszystko objaśnić zwyczajnymi, ziemskimi przyczynami... Zupełnie prawdopodobne, że nieśmiertelny jaszczur, to sztuczka tej samej naszej matki-ewolucji, której daleko jeszcze do wyczerpania wszelkich możliwości.

Wyjaśnień można zresztą wymyślić wiele. I w tym cała bieda. Nie jest łatwo z dziesiątków mglistych i chwiejnych hipotez wybrać jedną, pewną. Ostatecznie f jedno drugiemu wcale nie przeszkadza: hipotezy i doświadczenia. Ja osobiście więcej nadziei pokładam zawsze w tych drugich. Dlatego poczekajmy na razie na wyniki badań.

– Nie pozostaje nam oczywiście nic innego, jak podziękować panu profesorowi za naukowy wykład na wysokim poziomie – powiedział Walery z kpina, gdy skończyłem mówić. – Jeśli jednak mam być szczerzy, Arturze Wikientiewiczu, to w nosie mam całą Vitalongę, dziedziczność, mutacje i tak dalej. A Borysa mi szkoda, chociaż przez własną głupotę narobił sobie biedy. Taki wynalazek, przez który człowiek może stracić cał-

kowicie świadomość i stać się żywym trupem na całe tygodnie, nie zachwyca mnie wcale, ani trochę!

– Nie ma pan racji, Walery! – krzyknąłem. Wyprowadził mnie z równowagi swoim uporem. – To, że mózg odciął się od świata zewnętrznego, okazało się przecież zbawiennym odruchem organizmu! W ten sam sposób na przykład bezpieczniki chronią instalację od przepływu nadmiernych prądów. A nie przypuszczam, by w mózgu Borysa mogły zajść jakieś nieodwracalne zmiany. Na pewno przywrócimy go do życia. Borys dał dowód, że dla postępu nauki gotów jest złożyć życie w ofierze. Jestem przekonany, że wszystkie jego fizyczne i psychiczne przeżycia odzwierciedlą się na jego genach, które dalekim przyszłym pokoleniom przekażą wieść o tym heroicznym samozaparcu.

– Borys zdobędzie sławę, o której pamięć nie umrze na wieki wieków! Amen! – z patosem obwieścił Roman, powstając. – Po co więc ta cała kontrowersja? Bierzmy się do pracy, a potem się okaże, kto miał rację. Odszukajmy tego jaszczura tak pięknie w Sordonnochu zakonserwowanego, może uda się dociec, skąd on wziął tę swoją nieśmiertelność. Dla mnie osobiście bardzo ciekawy jest także problem, dlaczego ten jaszczur nie śpi bez przerwy, jak Borys, a od czasu do czasu porywa to psy, to kaczki. Co pan o tym myśli, Arturze Wikientiewiczu?

– Wydaje mi się, że w tym właśnie może być cała tajemnica i wyświetlając ją możemy znaleźć drogę do przywrócenia Borysa życiu – powiedziałem.

– No cóż, zabierajmy się do pracy – podsumował Walery, a po chwili milczenia dodał: – Myślę, że może powinienem polecieć do Moskwy, zobaczyć, co się tam dzieje, prawda?

Trudno było nie przyznać mu racji.

Wieczorem rozmyślałem długo o naszej rozmowie, o Vitalondze. Sam nie wiem dlaczego, ale jestem pełen najlepszych nadziei. Ludzie osiągną nieśmiertelność. Jaka to jednak mądra ta przyroda. Nie wegetacja, nie senne i syte bytowanie, a walka i praca w imię ludzkości – oto co jest promotorem dziejów. A pamięć o tym po wsze czasy pozostaje w sanktuarium życia, w wiecznych dekalogach, przechowywanych w naszych komórkach. Ile głębokiej prawdy zawierają nieraz słowa poetów! To prawda jasnowidzenia i proroctwa.

Ten tylko szczęścia i wolności godzien,
kto w imię ich do walki staje co dzień.*

Lub też wyzwanie rzucone przez Gorkiego sytym i zadufanym w sobie pasożytom i tchórzom:

A wasze życie snuć się będzie,
jak żywot czerwi, ślepych stworzeń,
Nie pozostanie ślad w legendzie,
nikt pieśni o was nie ułoży.*

Trudno o surowszy osąd. Trudno o straszliwszy los, niż przeminąć bez śladu w nieprzerwanej sztafecie pokoleń nieśmiertelnej i dumnej ludzkości.

Notatka kandydata nauk G. Miroyana
adresowana do paleoklimatologa
W. N. Florowskiego

Włodzimierzu Nikołajewiczu! Dzisiaj się nie zjawię, wezwano mnie do Moskwy. Bardzo bym prosił o przejrzenie ostatniego zapisu cerebrotronowych wizji Rewina-Michajłowa. Coś się z nim dzieje, poznałem to od razu z jego prądów czynnościowych. Moja hipoteza potwierdza się. Zresztą, sam się przekonasz. Uwagi możesz notować na marginesach. Bardzo jestem ciekawy twojego zdania.

Relacja Miroyana

Ten seans był zupełnie inny. Przedtem zawsze miałem wrażenie, że ja, Mirojan, tylko oglądam te wizje. Teraz było zupełnie inaczej. Odbierałem tak silne i bezpośrednie wrażenia, że chwilami zupełnie zapominałem o Gustawie Mirojanie, obłożonym elektrodami i leżącym w ciemnej cerebrotronowej sali.

Przede wszystkim czuję ogromne zmęczenie. Jakby każdy mój mięsień i staw grzął w gęstej cementowej zaprawie. Przy każdym uniesieniu nogi wydaje mi się, że słyszę, jak rwą się na strzępy moje zdrętwiałe mięśnie. Całą siłą wyteżonej woli zmuszam się do posuwania naprzód: Jeszcze jeden krok, jeszcze jeden... Co chwila przystaję i oglądam się za siebie. On idzie za mną. Wysoki mężczyzna o rudej brodzie, w wysokich gumowych butach i brezentowej pelerynie wlecze się ciężko i powoli. Widzę, jak chwiejąc się wymija starannie ołowiano-szare kałuże. Rozumiem go aż za dobrze i współczuję mu serdecznie. Kiwam głową, bo nie mam już sił unieść ręki. W odpowiedzi patrzy tylko na mnie. W zszarzałej twarzy niebieskie oczy tak wyblakłe, że aż odczłowieczone. Nic już nie wyrażają, ani bólu, ani smutku, ani nadziei. Odwracam się i ruszam dalej.

Wiem, że już wiele dni tak idziemy. Przez cały czas brniemy przez mokrą jesienną tajgę. Czarne oślizłe pnie gigantycznych sosen błyszczą jakby obłożone glazurą. Spływają po nich duże ciężkie krople deszczu. Ołowianoszare niebo rozciąga się tuż ponad czubami drzew, którymi zaczyna kołysać wiatr. Przenikliwie zimna mgła gęstnieje z każdą chwilą. Pod nogami pluska lodowato zimna breja z mchu, gałązek i wody. Pryska spod nóg, sączy się po spękanej korze starych jodeł. Nagle zagradza nam drogę, rozlewając się w gęstych nieruchomych kałużach. Powietrze tak jest nasiąknięte wilgocią, że przypomina zimny zawieszisty kisiel. Czasami wydaje mi się, że wokół nas jest już . tylko woda. Las, powietrze, my sami, świat cały to jedna tylko woda.

Przeziąknięte wodą spodnie i kalesony ocierają kolana, skóra piecze na nich jak po oparzeniu. Wieczorami, gdy chronimy się do naszego rozmiękłego od deszczu namiotu, zdejmuję pełne dziur gumowe buty i oglądam swoje stopy, białe i obrzękłe jak u trupa. Sprawiają wrażenie, że żywe tkanki przeziąkły wilgocią i z porów skóry można by wyciskać żółtawo mleczne krople. Nie wyciskam, boję się.

Z plecaka, w którym mamy próbki skał i prowiant, mój rudobrody towarzysz wyjmuje maleńką paczuszkę. Przede wszystkim odwija brudny pomięty papier z nadrukiem: „Dojść i przeżyć”. Odpakowuje torebkę z mąką, małą flaszeczkę spirytusu i paczkę herbatników. Pociągamy po łyku ognistego płynu, zapijamy deszczową wodą rozbełtaną z mąką i zjadamy po kawaleczku herbatnika. Ognia, o ile pamiętam, nie palimy już dawno, bo nie mamy zapalek. Wszystko zresztą jest zbyt przeziąknięte wodą. Zapewne w całej tajdze nie ma ani jednej suchej gałązki. Zasypiamy przytuleni ciasno do siebie.

Mam wrażenie nie kończącego się łańcucha jednakowych dni. Idziemy, idziemy bez końca... Deszczowe bliźniaczo do siebie podobne dni utkwiły mi w pamięci. Nie kończące się, długie, zimne noce, po których nad ranem chce się płakać z głodu, powolny marsz po błotnistej, porośniętej karłowatymi krzewami tajdze. I zmęczenie, które przywiera do ciała niby drugie ubranie. Z przemęczenia nie czujemy już zdrętwiałych rąk, nóg, twarzy, całego ciała... Nie czujemy już wcale uderzeń gałęzi po twarzy, wody, która ścieka nam za kołnierze ani przemoczonych opuchniętych nóg.

Coraz częściej oglądam się poza siebie i przystaję, a za każdym razem coraz dłużej muszę czekać na niego. Coraz mniej pewne stawia kroki i często teraz – wymachuje rękoma, zupełnie jakby zrywał się do odlotu. Oczy błyszczą mu jak w gorączce. Stara się nadążyć za mną, boi się zostać w tyle... Zaczynam się go bać. Trwoga przebija przez moją całkowitą apatię jak pierwiosnek przez wiosenne śniegi. Bardzo chciałbym „jakoś mu pomóc, ale nic zrobić nie jestem w stanie. ; I tak już sam dźwigam w plecaku próbki skał, które ważą najwięcej. Rudobrody niesie tylko namiot, a przecież ledwo daje radę. Zupełnie opadł z sił... To ci ‘ dopiero bohater... Czekam, aż dowlecze się do mnie i ruszam dalej. Ale on znów, jeszcze bardziej, pozostaje w tyle. Las rzednie. Widocznie zbliżamy się do rzeki. Wreszcie zapada wieczór. Byle jak rozbijam na-”miot i wsuwamy się do niego. Kładziemy się spać bez kolacji. Żywności zostało nam na dwa dni, a mamy jeszcze co najmniej pięć dni marszu. Jak dojdziemy? Coś zimnego i mokrego dotyka mej twarzy, budzę się. Mam wrażenie, że namiot przewrócił się na mnie.

Powoli zgarniam to z twarzy i orientuję się, że są to szmaty, które podłożyłem pod głowę. Obracam się na ' drugi bok i staram się zasnąć. Nagle zaczynam się bać,

sam nie wiem czego. Wreszcie dociera do mnie świadomość, że nie czuję ciepła jego ciała. Wyciągam rękę „i zwisa ona w przerażającej pustce. Gorączkowo obmacuję cały namiot, wszystkie kąty, zakamarki, fałdy, 'Jak gdyby rzeczywiście mógł się tam ukryć dorosły mężczyzna. Ogarnia mnie przerażenie. Nie mogę także znaleźć plecaka z naszymi próbkami skał i resztkami żywności. Wydostaję się z namiotu, niby z grodu, na powietrze. Ledwo świta. Oczywiście, słońca jeszcze nie widać, ale w oddali, nad sinoczarnym lasem bieleją nikłe, ledwo widoczne smugi. Szybko zwijam i roluję namiot. Może po prostu wstał wcześniej i postanowił pójść naprzód, żeby nie dopędzać mnie potem przez cały dzień. Ale którędy poszedł i dlaczego mnie nie uprzedził? Przecież nawet nie zabrał kompasu! Czyżby uciekł? To byłby już mój koniec.

Biegnę na przełaj przez kałuże, woda chlapie mi spod nóg. Nagle w oddali przede mną dostrzegam ciemną postać. Doganiam go i chwytam za ramię. Szybko odwraca ku mnie głowę. Jego twarz nie ma w sobie nic ludzkiego. Zamglone, otępiełe i wrogie oczy w przekrwionych białkach, nabiegłe krwią sine plamy na policzkach. Przemawiam do niego gorączkowo, staram się go przekonać, robię mu wymówki. Przerywa mi nagle gwałtowny cios, aż gwiazdy zaświeciły mi w oczach. Padam na wznak, prosto w ogromną kałużę. Leżę w brudnej wodzie i patrzę jak rudobrody oddala się powoli. Wraz z nim oddala się moja żywność, spirytus, nadzieja przeżycia.

I konstatuje, tylko już nie ten człowiek z tajgi, lecz Gustaw Mirojan, z licznikami cerebrotronu na czole, że rudobrody jest

chory. Nawet wiem, jak się ta choroba nazywa, ale nie mogę sobie tej nazwy przypomnieć, bo przeszkadza mi w tym człowiek leżący w tajdze.

Wygrzebałem się z kałuży i siedzę teraz na uginającej się pode mną kępie mchu. Dziś chyba po raz pierwszy nie pada deszcz. Znak, że idą mrozy. Nie pójdę za rudobrodym, który w plecaku unosi moje życie. Kiedyś dzięki niemu przeżyłem tyle szczęścia, powinienem teraz spłacić dług. I tak już nigdzie nie dojdę, wiem o tym, ale wiem też, że muszę iść naprzód. Mozolnie wlokę się od kępy do kępy, aż wreszcie po pięciu godzinach docieram do rzeczki. Rzeczka niewielka, błękitna i lodowata. Skręcam bardziej w prawo. Staram się znaleźć jakieś przejście i nagle dostrzegam rudobrodego. On także szuka... Ma w ręku kij, by wymacać dno.

Zdjął buty i trzyma je pod pachą. Widać, że mu plecak przeszkadza. Wraca na brzeg, zdejmuje plecak i rozgląda się na wszystkie strony. Co tam robi, nie mogę dojrzeć, jestem od niego o trzysta metrów. Znów I wchodzi do wody. Tym razem w butach. Ma rację, no-gi i tak ma zupełnie przemoczone, a nie sposób przejść j boso po ostrych kamieniach dna.

Znalazłem wreszcie kij i zaczynam macać po dnie. Brzeg jest tu wszędzie urwisty, a zaraz pod nim woda porządnie głęboka. Krążę długo, aż wreszcie postanawiam podejść w górę rzeki. Może tam łatwiej będzie i znaleźć bród. A co z rudobrodym? Patrzę na zakręt rzeki, gdzie było go widać, ale teraz nie ma tam nikogo. Na przeciwległym brzegu nisko chylą się nad wodą odwieczne cedry. Tu zaś szumi sosnowy zagajnik, w którym hula przenikliwy jesienny wiatr. Powoli idę w tamtą stronę.

Plecak zdążył już wklęsnąć w rozmiękły mokry grunt. Gdy pociągnąłem za ramię, ukazuje się pod nim dołek, na dnie którego zebrała się woda. Nie opodał, na drobnej rzecznej fali kołysze się coś ciemnego. Wyciągam to na brzeg. Stara czapka ze skóry renifera. Wewnątrz wyszyte dobrze znane nazwisko: „Nik. Kurilin”.

I w tej chwili dzieje się coś zupełnie nieoczekiwanego. Okrzyk: „Ojciec! Ojciec!” – sprowadza mnie nagle wprost z tajgi do sali cerebrotronu, jestem już znów Gustawem Mirojanem. To krzyczał Borys Rewin. Skoczyłem ku tablicy rozdzielczej, wyłączyłem cerebrotron i podszedłem do Borysa. Majaczył! Zwycięstwo, zwycięstwo! To pierwszy krok do zdrowia. Ciekawe, że kiedy przeglądałem krzywe bioprzekaźnika, zauważyłem ogromny skok impulsów. Ogromny wstrząs psychiczny przerwał analityczny stan chorego, podobnie jak mi na rozsada skałę. Otrzymywanie systematycznych informacji z przeszłości zostało przerwane, otworzyło się ujście dla wewnętrznych zadrażnień. Borys reaguje już na silne światło! Światło reflektora wywołuje u niego drżenie powiek. W tej chwili Rewin znów majaczy. Stosujemy różne silnie działające specyfiki. Jesteśmy pełni nadziei, bardzo wielkich nadziei.

A przy okazji. Zastanawiałem się wiele nad scenami z tajgi, jakie mi się ukazywały. Sam mi opowiadałeś o rodzinnym dramacie Michajłowów. Okazuje się, że Michajłow nic nie był winien, to Kurilin go porzucił. Kurilin zdradził, a Michajłow przyjął winę na siebie. Był tam kiedyś między nimi jakiś konflikt. Ale gdy „patrzyłem” na całą tę scenę w tajdze, wydało mi się, że Kurilin był po prostu chory. Widziałem wszystkie zewnętrzne oznaki tej choroby, jakie łatwo mogły ujść uwagi krańcowo przemęczonego i otepiałego z wyczerpania Michaj-

łowa. Coś w rodzaju tajgowego zapalenia mózgu. Ta ciężka, szybko postępująca choroba sprawiła, że Kurilin był już nie-poczytalny.

Po ... latach

(Epilog)

Pytanie: Jakie odkrycia przeszłości, zdaniem pana prezesa, do naszych czasów nie straciły znaczenia?

Odpowiedź: Nie chciałbym umniejszać znaczenia licznych wspaniałych osiągnięć nauki, ale odważyłbym się chyba wymienić tutaj tylko dwa zwycięstwa ludzkiego rozumu, według mnie zupełnie unikalne. Odkrycie energii atomowej oraz rozszyfrowanie zagadki życia.

Pytanie: A gdyby odkrycia te nie zostały w swoim czasie dokonane, to w jakim stopniu, zdaniem pana prezesa, wpłynęłoby to na zwolnienie tempa rozwoju naszej cywilizacji?

Odpowiedź: To się zdarzyć nie mogło. Cały bieg dziejów ludzkiej społeczności podbudował fundament do tych odkryć. Ludzkość wstąpiła w wiek atomowy raczej w momencie odkrycia przez Becquerela promieniotwórczości, a nie w chwili wybuchu bomby nad Hiroszimą. Zupełnie podobnie rozszyfrowywanie tajemnicy życia rozpoczęło się od odkrycia struktury kwasów nukleinowych, a nie od tych oszałamiających wyników, do jakich doprowadziło zastosowanie Vitalongi.

Pytanie: Czy pan prezes nie sądzi, że zastosowanie w praktyce tych wielkich odkryć nie zawsze szło właściwą drogą?

Odpowiedź: Nie ulega wątpliwości. Aby wniknąć w tajemnicę budowy jądra atomowego, wcale nie było konieczne wywoływanie wybuchu bomby atomowej. To ani o krok nie posunęło nas naprzód w poznawaniu struktury jądra atomowego. I, znów zupełnie podobnie, usilne i bezsensowne marzenia o nieśmiertelności, jakoby powodowanej przez Vitalongę, sprowadziły na pewien czas naukę o życiu z właściwej drogi. Możemy tylko się pocieszyć, że to wszystko to dawno już minione etapy ludzkiej myśli. Obecnie energia jądrowa służy nam wiernie i z oddaniem, a Vitalonga–prima stała się najbardziej popularnym lekiem w każdej aptece. Pan sam zapewne przyjmuje ją, a jeśli nie, to wkrótce prawdopodobnie zacznie. Vitalonga–prima zabezpiecza ludzi przed przedwczesną starością, pomaga nam zachować niezwykle trwałą, żywotny stan ducha, niewyczerpaną aktywność, znakomitą zdolność do pracy w każdym wieku.

Pytanie: Może pan nam jeszcze powie, panie prezesie, jak czuje się Borys Rewin–Michajłow, najstarszy człowiek na kuli ziemskiej, a może nawet w całym systemie słonecznym?

Odpowiedź: W obecnej chwili jest dyrektorem naczelnym zjednoczenia...

– No, dosyć już tego wygłupiania – powiedział Położencow, stając w progu z bukietem kwiatów.

Roman zakrztusił się nie dokończonym zdaniem i zaczął dla niepoznaki kaszlać. W jego ręku drżał mikrofon (łyżeczka do herbaty). Kurilin w dalszym ciągu siedział z namaszczeniem w fotelu. Spojrzał na zegarek i wstał, pochrząkując znacząco.

– Czy już czas jechać? – zapytał Położencowa.

– Tak, taksówka już na nas czeka.

– Jeśli te wspaniałe kwiaty przeznaczone są dla Borysa – Kurilin dotknął palcem świeżych, ciemnoczerwonych astrów – to szkoda było pieniędzy, bo on ich nie znosi.

– Nie, nie dla Borysa – uciął krótko Położencow.

Przełożyła Katarzyna Witwicka

Michał Jemcew i Jeremi Parnow

ŚNIEŻKA

– W portfelu mam paszport, zaświadczenie z miejsca pracy, kilka różnokolorowych legitymacji z potwierdzeniem opłacenia składek członkowskich, ale osobiście jestem widmem, chimerą. Nie mam prawa chodzić tym ośnieżonym, trotuarem, oddychać tym mocnym jak amoniak powietrzem. Nawet człowiek pozbawiony wszelkich praw i przyjemności życia, na zawsze zamknięty w więzieniu, posiada więcej praw aniżeli ja. Bez porównania więcej!

Tak mi się właśnie wydaje, choć nie zawsze jestem tego pewien. Zbyt zwykły i znany mi jest otaczający mnie świat. Napęczniałe od szronu gałęzie drzew upodobiły się do młodych jelenich rogów. Przewody są zaledwie widoczne na tle obojętnego nieba. Stały się grube i białe, podobne do manilskiej liny. Anteny na dachu wydziału fizyki zastygły w białym półmroku. Zupełnie jak maszty widmowej fregaty. Wydział chemii sygnalizuje o sobie jakimś dziwnym – trudno określić przyjemnym czy wstrętnym – zapachem eterów organicznych. Zwykły, codzienny świat! Tylko pamięć trwożnie ścisza serce i szepcze:

Marzycielskie złudne plany,
Wszystko – odbłysek zwierciadlany
Dni minionych – dawnych dni...*

Wczoraj było jeszcze lato, a dziś – zima. To „wczoraj” – to nieprawda. Nie, to nie było wczoraj...

Nie mam płaszcza. A właściwie wisi on gdzieś w szatni, ale numerek znajduje się w kieszeni kogoś innego. I znów nieprawda: „kogoś innego”. Wcale nie... Po prostu jeszcze nie wymyślono odpowiedniego słowa. Idę szybko, żeby nie zmarznąć. Dam sobie jakoś radę bez płaszcza. Dawniej często biegałem bez palta na wydział chemii albo do głównego gmachu.

Zatrzymałem się i drgnąłem. Tego tylko jeszcze brakowało! O mało nie wpadłem pod ogromny „MAZ”*. Kierowca wychylił się i zawiłe przekleństwa rozdarły czyste kłujące powietrze.

Zaśmiałem się. Ależ z ciebie frajer, kierowco! Przecież jestem tylko widmem! Przejeżdżaj mnie! Twój adwokat zawsze

potrafi cię wybronić. Nie można przecież zabić tego, kto nie istnieje.

Jakie bzdury ciągle jednak przychodzą mi do głowy. Muszę nie zapominać się i nie odrywać. Muszę pamiętać, że tutaj – jestem obcy.

Naprzeciw mnie idzie wielobarwny tłum studentów. „Beztroscy i dumni, jak muszkietery po kolejnym zwycięstwie nad gwardzistami kardynała, głośno śmieją się i chełpią bez ustanku.

– A ty co miałeś, Pingwinie? – Wysoki fircykowaty chłopiec zwrócił się do małego rudzielca.

– Ach! Głupstwo! Absorpcja, izoterma Langmura, podwójna warstwa elektryczna i dwustrukturalny wzór wody... Dałem radę po prostu jedną lewą ręką... „Zdawali chemię fizyczną” – pomyślałem i zwoleń kroku.

– Spójrz tylko, co mam na sobie – powiedział rudy, wyciągając spod szalika kołnierzyk błękitnej w białe ciapki koszuli.

– Nie rozumiem, jak to się jeszcze trzyma! Wszystkie egzaminy w niej zdaję. Przynosi szczęście! Ubranie też stare, jeszcze ze szkoły.

Poczułem łagodną i smętną zawiść.

A oto czerwony granit schodów. Przyprószone śniegiem kanadyjskie jodły. Pokryta kokieterijną śnieżną czapką kamienna łysina Butlerowa.

Z przyzwyczajenia sięgnąłem do kieszeni po przepustkę.

Serce mi piknęło i zatrzymało się.

Z przesadnym wigorem przywitałem się z portierką i podsunąwszy jej pod nos na pół uchyloną przepustkę, podbiegłem do windy.

Biedna portierka! Jeśliby tylko zobaczyła datę, jaka figuruje w rubryce mojej przepustki: „Przedłużona do...”

Zapaliła się czerwona strzałka. Zaraz otworzą się drzwi windy. Pomyślałem, że lepiej jechać na czwarte piętro. Co będzie, jeśli go spotkam i ktoś zobaczy nas razem? Zimno mi się zrobiło na samą tę myśl.

O tym, żeby pojechać do domu, także nie było mowy. Rodzice by tego nie wytrzymali. Nie powinni o niczym wiedzieć. Jeśli będę musiał się z nimi spotkać, to trzeba będzie od razu wszystko im powiedzieć.

Myśląc o nim, nawet zacząłem się śmiać. Humor, prawdopodobnie, jest wprost proporcjonalny do niezwykłości i nienaturalności sytuacji. Pomyśleć tylko, jaka zmiana nastąpiła w mgnieniu oka! A obiektywnie? Ile czasu minęło od chwili, gdy broniąc mej pracy zerwałem czarny pokrowiec?

* * *

Moje przesłanki teoretyczne u nikogo nie wywołały szczególnych sprzeciwów. Szef, oczywiście, dał wspaniałą ocenę, oficjalni oponenci czepiali się jakichś szczegółików.

Jeden z nich, profesor Prosochin, długo przecierał okulary chustką do nosa, chuchał na szkła i stękał. Powoli i skrzypiąc jak nie nasmarowane koło, coś tam mrucał nad papierkiem. Wszystkim było zupełnie wszystko jedno, ile rozdziałów, stron i szkiców zawiera praca, jaką rodzimą i zagraniczną bibliografię przytacza. Członkowie Rady Naukowej ocenili już dla siebie pracę i nudząc się wysłuchiwali wywodów pedantycznego profesora.

Chwilami robiłem notatki, zaznaczając poszczególne zdania. Miałem jeszcze wygłosić swoją replikę. Prosochin wreszcie zakończył swe przemówienie sakramentalnym zdaniem:

– Wszakże zaznaczone przeze mnie braki w żadnym wypadku nie pomniejszają znaczenia przedłożonej pracy, która odpowiada wszelkim wymogom stawianym tego rodzaju pracom, i jej autor bezwarunkowo zasługuje na nadanie mu tytułu naukowego doktora nauk fizyczno-matematycznych.

Profesor Walentinow, przewodniczący Rady Naukowej, wysoki, przystojny, z aluminiowego koloru siwizną, dostojnie zakaszłał i spytał:

– Czy broniący pracy ma odpowiadać razem obu oponentom, czy też każdemu z osobna?

– Razem! Razem! – rozległy się z sali głosy członków Rady Naukowej, którzy mieli już powyżej uszu tej” jednostajnej procedury obrony.

– A więc, w takim razie – powiedział Walentinow, uśmiechając się czarująco jak lord, który otrzymał Order Podwiązki – prosimy naszego szanownego gościa Samsona Iwanowicza Gogoceridze o zajęcie miejsca na katedrze.

Członek–korespondent Gogoceridze dosiadł katedry jak dżygit konia. Srogim wzrokiem obrzucił salę, nikogo zresztą tym nie pesząc – Samson Iwanowicz był człowiekiem najłagodniejszym w świecie – i wypalił serię, jak karabin maszynowy:

– Skrupulatna i drobiazgowa analiza dokonana przez szanownego Sergiusza Aleksandrowicza Prosochina zwalnia mnie z konieczności szczegółowego zreferowania pracy szanownego Wiktora Arkadiewicza (wdzięczny skłon głowy w moją stronę). Dlatego pozwolę sobie zatrzymać się tylko na niektó-

rych brakach pracy. Nie jest ich wiele i wszystkie one toną w morzu materiału oczywiście pozytywnego.

Gogoceridze odetchnął i wytarł czerwoną twarz śnieżno-białą chustką.

– Tak... nie będę omawiał walorów pracy, lecz tylko krótko o jej brakach.

To „krótko” trwało 17 minut. Zacząłem nawet denerwować się, ale szef uspokajająco mrugnął do mnie okiem. Wyliczywszy wszystkie braki, Gogoceridze wypił szklaneczkę borżomu i wypowiedział tradycyjną formułę, że mimo tego i owego praca odpowiada, a broniący zasługuje.

Wstałem, by wygłosić replikę końcową. Ponieważ nikt na mnie nie napadał, poszczególne zaś fragmenty, które nie spodobały się oponentom, były mało istotne, postanowiłem nie kęsać. Pięć minut dziękowałem wszystkim, którzy pomogli mi w pracy. To było chyba najważniejsze. Nie daj Boże, żebym kogoś pominął! Następnie uczyniłem rewerans pod adresem oponentów, obiecując uwzględnić w swej dalszej pracy wszystkie ich uwagi i w ogóle w swym dalszym życiu kierować się ich drogocennymi radami.

Szef potakiwał głową w takt moich słów. Wszystko szło gładko.

Następnie Walentinow zaapelował do obecnych na ‘sali o aktywność. Nikt jednak nie kwapił się z wystąpieniem. Ociągając się, jakby wypełniając swój obowiązek, wystąpił jakiś członek Rady Naukowej, coś tam pomruczał i usiadł. Jeszcze ktoś gadał jakieś pięć minut na tematy oderwane i powiedział, że tacy młodzi naukowcy jak ja są potrzebni, a moja praca wykracza ponad poziom pracy na stopień doktora.

– I nagle usłyszałem długo oczekiwane pytanie. Zadała mi je jakaś nieznajoma dziewczyna:

– Uważnie słuchałam tego fragmentu referatu Wiktora Arkadiewicza, w którym zawarty jest teoretyczny wywód o możliwości przemieszczenia w kierunku przeciwnym wektorowi czasu. Nawet podkreśliłam sobie ten fragment w tekście referatu. Bardzo chciałabym wiedzieć, jakie istnieją przesłanki eksperymentalnego sprawdzenia tego efektu.

Pytanie było doskonałe! Przewidzieliśmy je z szefem jeszcze miesiąc temu i przygotowaliśmy znakomitą odpowiedź. Szef zabronił mi nawet napomknąć, mamy już gotowe urządzenie. Mogłoby to zaszkodzić obronie pracy. Wszyscy by się od razu poruszyli. Stawialiby pytania – co i jak. Z trudem namówiłem szefa, aby ukryte pod czarnym pokrowcem urządzenie umieścić jednak na sali, w której toczyła się obrona. Tak, na wszelki wypadek...

Gdy dziewczę zadało swoje pytanie, szef uśmiechnął się i kiwnąwszy głową w kierunku urządzenia przyłożył palec do warg. Mrugnąłem do niego porozumiewawczo: wiem. Czy jestem sam swoim wrogiem?

Wstałem, żeby odpowiedzieć na pytania i jeszcze raz błysnąć erudycją. Wypowiedziałem kilka ogólników, podziękowałem tym, którzy wystąpili, i przeszedłem do odpowiedzi na to pytanie. W gruncie rzeczy jedyne, na które warto było odpowiedzieć.

Nagle dostrzegłem oczy tej dziewczyny. Ciemnomiodowe, ze złotymi iskierkami, myślące i poważne. Sir Lancelot dosiadł konia, Don Kichot wbił lancę w skrzydło wiatraka.

Nie wiem, jak do tego doszło, ale zbliżyłem się do urządzenia, zerwałem z niego pokrowiec i powiedziałem:

– Oto!

W sali zapanowała cisza. Na szefa starałem się nie patrzeć. Uniesienie minęło i zrozumiałem, że zrobiłem głupstwo. Ale odwrotu już nie było. Rzuciłem się więc do ataku, jak w otchłań:

– Moc tego doświadczonego urządzenia jest bardzo niewielka. Dlatego będę mógł przenieść się w przeszłość zaledwie o kilka miesięcy. Zaraz to zrobię. Proszę, aby gdy zniknę, wszyscy pozostawali na swych miejscach. W każdym razie, by nikt nie próbował stanąć na tym miejscu, gdzie obecnie znajduje się urządzenie... Wkrótce powrócę.

Sala wstrzymała oddech. Podszedłem do tablicy rozdzielczej i włączyłem urządzenie. Jak we śnie włożyłem na czoło kryształową obręcz, zdjąłem marynarkę, podwinąłem rękawy i dotknąłem miedzianych kontaktów. Następnie nacisnąłem wyłącznik. Ostatnim, co zobaczyłem, były otwarte usta profesora Walentinowa. W ręce trzymał swój notes w ozdobnej skórzanej oprawie, który kupił w Ameryce Południowej.

* * *

Na sali było chłodno i ponuro. Zdjąłem obręcz, ustawiłem wskaźnik na zero i wyłączyłem urządzenie. Następnie rozejrzałem się wokół. Na ścianach majaczyły zmarznięte liście, jak z bajki. Mieniły się opałowym blaskiem. Niewyraźne błyski zastygały na pustych ławkach. Wysoki sufit tonął w mroku. Podszedłem do drzwi i pociągnąłem je do siebie. Były zamknięte. Co za pech! To mogło zepsuć wszystko. Wszczynanie alarmu jest zupełnie bezcelowe, a nawet niebezpieczne.

Wszystkie sale są na noc zamykane. Czekać do rana? Ale czy będą czekali na mnie ci, których zostawiłem ..w przyszłości?

Ciekawe, która może być godzina? Gdzieś wyżej, nad tablicą, powinien znajdować się zegar. Wydawało mi się, że widzę słaby blask jego okrągłego szkła. Zacząłem przypominać sobie, gdzie znajduje się wyłącznik.

Dziwne! Przecież tyle razy byłem w tej sali, i w dzień i wieczorem, a nigdy nie zwróciłem uwagi, gdzie znajduje się wyłącznik.

Zbliżyłem się do ściany, przyłgnałem do niej i wyciągnąwszy ręce zacząłem posuwać się po obwodzie sali. Wreszcie namacałem wyłącznik. Był tuż obok drzwi. Że też nie wpadło mi to do głowy?

Zabłyło światło. Zegar wskazywał dwadzieścia siedem minut po czwartej. Do rozpoczęcia zajęć pozostawało cztery godziny. Jeśli przypadkiem nie trafiłem na niedzielę. Postanowiłem poczekać. Wyłączyłem światło, przeszedłem w głąb sali i położyłem się na ostatniej ławce. Sprzątaczką, która przyjdzie tu wcześniej rano, nie zauważy mnie. Ile razy tu już spałem!

Ale wtedy wszystko było inaczej. Profesor rozwodził się nad czymś z katedry, a wokół byli studenci. Jedni notowali wykład, drudzy grali w osła, inni szeptem rozmawiali, a ja spałem.

Długo kręciłem się na twardej ławie. Jaka szkoda! Dlaczego właściwie nie wziąłem ze sobą marynarki? Miałem na sobie tylko nylonową koszulę z podwiniętymi rękawami. Opuściłem je, objąłem się rękami za ramiona i spróbowałem usnąć. Ale myśli płoszyły sen.

Jak tylko otworzą salę, będę musiał nie zauważony prześliznąć się do laboratorium. Zanim nadejdą koledzy, a zwłaszcza on. Postaram się przebrać w stary kostium narciarski, w którym zwykle przeprowadzam eksperymenty. Wisi w mojej szafce obok białego kitla. Dobrze, że portfel z pieniędzmi był w kieszeni spodni, a nie w marynarce! Jestem już głodny, a co będzie rano... Rzeczywiście, co będzie rano?

* * *

Wszystko odbyło się tak, jak przewidywałem. Przepętlizłem pod stołami, udało mi się zmylić czujność cioci Kati, która mrużąc coś pod nosem wysypywała na podłogę mokre opiłki, i wyśliznąłem się na korytarz. O urządzenie byłem spokojny. Naszych studentów nauczono, żeby niczego nie ruszali rękami, a pracownicy naukowcy nie będą manipulowali przy nieznanym przyrządzie. Zwłaszcza jeśli na jego korpusie widnieje ostrzeżenie.

Po przebraniu się, na łeb na szyję pobiegłem po schodach na dół. Chciałem przedostać się na wydział chemii. Tam mam mniej znajomych i spokojniej będę mógł przemyśleć swoją sytuację. Biegając korytarzem drugiego piętra zajrzałem przez uchylone drzwi do czytelnicy. Nie było nikogo. Po tłumiącym kroki dywanem podszedłem do parapetu okna zastawionego doniczkami z kaktusami i agawami. Za oknem żyło poranne miasto. Spowite dymami kominy, mosty z mknącymi po nich trolejbusami, spieszący do pracy ludzie. To była rzeczywistość, taka sama obiektywnie istniejąca rzeczywistość, jak ja sam.

W czytelnicy wszystkie stoły były zajęte. Profesorowie i aspiranci zostawili swoje teczki, zeszyty, notatki, wieczne pió-

ra. Za kilka chwil powrócą tutaj do przerwanej pracy. Na jednym z profesorskich stołów pewien przedmiot zwrócił moją uwagę. Był to notes profesora Walentinowa. Skórzana żółta oprawa ozdobiona kolorowymi hieroglifami starożytnych Azteków. W tym notesie profesor zapisuje wszystkie swoje zajęcia na dzień następny. Szybko przewertowałem zapisane kartki. Ostatni zapis był zrobiony 11 grudnia. „A więc dziś jest jedenasty grudnia, a zapis był zrobiony wczoraj” – pomyślałem. Pod tą datą figurowało:

1. Zatelefonować do Nik. Andr. w sprawie Astangowej.
2. 11.30 – 13.20 – wykład na III roku
3. O 14.00 – Rada Naukowa
4. O 17.00 – aspiranci.

Tak, dziś jest jedenasty grudnia... Ponad siedem miesięcy... I nagle przyszła mi do głowy wspaniała myśl. Obejrzałem się, czy nikogo nie ma w drzwiach, szybko schowałem notes do kieszeni i wybiegłem z czytelnia.

* * *

Na wydziale chemii panowała krzątanina towarzysząca sesji egzaminacyjnej. Wszyscy się spieszyli, byli przejęci i zdenerwowani. Ze schodów staczały się hordy roześmianych szczęśliwców. Nawet portierkom udzielił się ten nastrój.

– Ten zdaje, kto się uczy – mówiła jedna z nich, rozplątując kłębek wełny – moja nawet książki kładzie na noc pod poduszkę, i do pantofla monetę kładzie, a jeśli się nie nauczyła – to nic z tego...

Z sykiem otworzyły się przede mną drzwi windy, a ja ciągle jeszcze nie byłem zdecydowany, co robić. Drzwi z hałasem

zamknęły się. Sygnał – i winda posłuszna wezwaniu z góry odjechała beze mnie. Postanowiłem poczekać na rozpoczęcie zajęć i zatelefonować do niego. Później przecież może pójść na wydział chemii albo jeszcze gdzieś.

* * *

Moneta ze szczękiem wpadła w stalową gardziel automatu. Kokieteryjny głos kobiety zaśpiewał:

– Allo-u?

Ledwie przełknąłem zdanie, które mi się o mało nie wyrwało: „Dzieńdoberek, Rajeczka. To ja, Wiktor”.

– Allo-u?

– Poproszę Wiktora Arkadiewicza – powiedziałem, oblizując zaschłe wargi.

Słuchawkę odłożono na szkło biurka. Słyszałem charakterystyczny dźwięk. A w ogóle przecież wiem, gdzie oni kładą słuchawkę. Było cicho. Od czasu do czasu dochodziły przytłumione przez odległość odgłosy rozmów. Ale oto usłyszałem, że ktoś idzie. Mężczyzna szedł dużymi, pewnymi krokami. Było mi przyjemnie, że on właśnie ma taki chód. W duecie, trochę nie nadążając za mężczyzną, drobiły obcasiki-szpilki. Wyteżyłem słuch.

– Gdybym nie wiedziała, Wiktorze Arkadiewiczu, że jest pan w domu, to pomyślałabym, że ktoś sobie żarty ze mnie stroi – z daleka, z innej planety rozległ się sopran Rajeczki. – Zupełnie pana głos!

– Słucham – słuchawkę podniósł mężczyzna. A to historia!

Głos jego był mi obcy i nieprzyjemny. Przypomniałem sobie jednak brzmienie mego własnego głosu z taśmy magneto-

fonowej i uspokoiłem się. Trudno poznać swój głos. Trzeba się do niego długo przyzwyczajać.

– Wiktorze Arkadiewiczu – powiedziałem, starając się oddychać głęboko i spokojnie – proszę mi nie przerywać i postarać się odpowiadać jak najzwięźlejš... Najważniejsze – żeby się pan nie dziwił i nie oburzał... Mam do pana pewną ważną sprawę i nikt poza nami nie powinien o tym wiedzieć. Czy pan mnie rozumie?

– Nie. Kto mówi?

– Wiktorze Arkadiewiczu, zaplanował pan eksperyment przemieszczenia mikrosystemu w kierunku odwrotnym wektorowi czasu? – Zagrałem na całego.

– Kto mówi?!

– Niech się pan uspokoi. Musimy się spotkać i wtedy wszystko pan zrozumie. Wszystko panu wytłumaczę...

Uważał mnie chyba za szantażystę lub szpiega.

– Dlaczego nie chce pan się przedstawić? – w głosie jego wyraźnie zabrzmiało rozdrażnienie.

– Pan mnie nie zna. Zupełnie! Przypadkiem dowiedziałem się o pańskich planach... zupełnie przypadkowo. Pracuję nad tym samym problemem... Ale mam kłopoty. Nie powiodło mi się. Potrzebuję pańskiej pomocy.

Usłyszałem przyśpieszony oddech. Triumfowałem. Bierz, zdaje się! Zresztą, działałem na pewniaka. Przecież znałem go tak... jak zna się samego siebie.

– Czy sytuacja nie wydaje się panu nieco dziwna? – spytał wreszcie.

– Absolutnie. Wszystko jest zupełnie normalne. Proszę tylko o spotkanie z panem. O nic innego mi nie idzie. Gdyby był pan dziewczyną, nasza rozmowa byłaby naturalna: on prosi –

ona się droczy... Ale nie jest pan dziewczyną i nie może mi pan odmówić. Nie ma pan prawa, wreszcie!

– Dlaczego pan tak sądzi?

Takiego głupiego pytania od niego nie oczekiwałem.

– Dlaczego tak sądzę? – powtórzyłem pytanie. – A choćby dlatego, że „a ja ją przecież znałem tak, jak znamy tylko siebie samych. Umiałem czekać na nią tak, jak czeka tylko zakochany”*. – To ja o panu.

– Dobrze, możemy spotkać się, gdzie pan sobie życzy... Jak poznamy się nawzajem?

– O niech się pan nie niepokoje! Poznamy się w każdym tłumie w ciągu jednej sekundy.

Przerwałem. Po co przeginać pałkę? On tego nie lubi. Ale było już za późno.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – znów w głosie jego zabrzmiała nieufność.

Uciec w niepamięć nie pozwoli
Ten zmierzch błękitny,
Zmierzch przypomnień,
I jesteś niczym ów niewolnik
Skuty u skał w kamieniołomie*.

Zacytowałem zwrotkę wiersza, który napisał będąc jeszcze studentem i nigdy nikomu nie pokazywał. W słuchawce panowało milczenie.

– A więc gdzie i o której? – spytał wreszcie. Brawo, dzielnie! Wcale nie sądziłem, że jest taki dzielny... Wiem przecież, że denerwuje się w tej chwili, ale jaki spokojny ma głos! Jaki beznamiętny! – Ma pan wolny wieczór?

– Tylko do siódmej.

Ciekawe, dokąd się wybiera?... Pewnie coś ważnego. W przeciwnym wypadku rzuciłby dla mnie wszystkie swoje zajęcia. Kto jak kto, ale ja wiem o tym! Przecież jest nieprawdopodobnie ciekawski.

– Może zaraz po pracy! U pana w domu... Mama gdzieś wychodzi?

Miałem zamiar powiedzieć „pana mama”, ale nie mogłem i powiedziałem po prostu „mama”.

– Niech pan przyjdzie o piątej. Mam nadzieję, że zna pan mój adres?

– Tak, znam.

– Tak też mi się wydawało. Więc o piątej?

– Tak, o piątej. Dziękuję. Do widzenia! Jest pan dzielny!

* * *

Obaj, ja i on, nie możemy przyjść do siebie. Oglądam swoje mieszkanie, każdą rzecz. Wszystko mnie tutaj interesuje. Tapety i obrazy, które sam malowałem, moje książki i rzeźbę – dzieło mego przyjaciela. Jak na wielki cud patrzę na mamy maszynę do szycia, przykrytą koronkową serwetą, i na telewizor, na którym zasłoniwszy ekran swym puszystym ogonem wyleguje się mój stary rudy kot. Prawie nie widzę tu zmian. Może dlatego, że opuściłem to mieszkanie dopiero wczoraj? Ale przecież wczoraj było ono o siedem miesięcy starsze, aniżeli to, w którym znalazłem się dziś!

Moje mieszkanie zdumiało mnie najbardziej. Może dlatego, że on się w nim znajdował? On? Mówię „on”, jak gdyby to był inny człowiek... Zresztą, rzeczywiście jest inny i odrębny!

Kto z nas jest bardziej realny, bardziej na swoim miejscu: on czy ja?

– Obawiam się, że pan i ja myślimy w tej chwili o tym samym – powiedział z wymuszonym uśmiechem.

– Tak, prawdopodobnie... Właściwie, dlaczego mówimy sobie „pan”? Przecież jesteśmy... W każdym razie jesteśmy sobie bliżsi niż bliźniaki.

– Do diabła! Nie mogę tego sformułować! Mam to na końcu języka i nie mogę! Chwilkę... Ja i pan jesteśmy... Jesteśmy jedną i tą samą osobą pod warunkiem ruchu w czasie. Ale równocześnie możemy istnieć tylko oddzielnie! Łapiesz sens?

– I to ty mnie mówisz? Jajko chce uczyć kurę?

– Ta-ta-ta! Zdaje się, że jesteśmy nadęci. – W jego oczach skaczą wesołe diabliki. – Ideę o przenoszeniu się w przeszłość opracowałem ja, a ty tylko ją zrealizowałeś.

Aż usiadłem z wrażenia po takiej bezczelności. Dobrze się jednak zastanowiwszy znalazłem, że ta jego myśl ma jakiś sens. Więcej, obmyśliłem nawet, jak użyć przeciw niemu jego własnej broni. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale wyprzedziłem go.

– Stój, stary! Stój! Tak nie idzie. – Zgasilem zdanie, które miał już na ustach. – Strzela się po kolei... Przyjmuję pański wystrzał, poruczniku. Zakładamy, że kula strąciła mój epolet. Teraz moja kolej. Czy wiesz, pyszałkowaty i zakochany w sobie młodzieńcze, że idea nie należy do pana? Tak, tak. Może pan nie wymachiwać rękami! Przyjmuję pańskie zastrzeżenia bez dyskusji. Nie jest moja, zgoda, ale i nie pańska! Przyszła ona do głowy temu, kto jest młodszy ode mnie o 19 miesięcy... Co, dostałeś? Jeden zero na moją korzyść! Jest pan zabity, panie poruczniku.

Przyjmij, Boże, jego duszę, albowiem dobrym był człowiekiem.

Roześmiał się. Czy nie dzielny? Po prostu zakochałem się w nim. Gdybyśmy mogli na zawsze pozostać sobą. Tak marzyłem o bracie. Ale on nie jest moim gratem...

– Starość nie bardzo cię jeszcze nadgryzła. Bystry jesteś! – Poklepał mnie po ramieniu. – Znakomita myśl! Byłoby nieźle ją rozwinąć... Gdzie pozostało rządzenie?

– W sali, na wydziale. A o co chodzi?

– Planowałem je z kątem inwersji cztery setne sekundy. A jak ty zrobiłeś?

– W moich – to jest w twoich – obliczeniach był błąd. Niedokładnie rozwinięta została nieokreśloność – nieskończoność na nieskończoność.

– Dlaczego niedokładnie? Według prawa Lopitalla.

– Nie można go tu stosować. Posługiwałem się metodą Fersztmana. Wypadł kąt pięćdziesiąt dwie tysięczne.

– Wszystko jedno... to jest urządzenie na jednego człowieka. Szkoda!

– Czego ci szkoda?

– Gdybyśmy we dwójkę mogli przenieść się o rok wstecz... Trafilibyśmy akurat na moment, kiedy u mnie, to znaczy – u niego, właściwie – u nas wszystkich, zaświtała ta idea! Dobrze, co?

– Wspaniałe! Cudowny pomysł. Byłoby nas trzech! Trzech muszkieterów!

– Dokładniej: Bóg-ojciec, Bóg-syn i Bóg-duch święty! Trójca!

– Nieźle się z tobą pracuje! – Skwapliwie patrzyłem na niego i starałem się dostrzec te nieodwracalne zmiany, jakie czas pozostawił na mojej twarzy.

– Z tobą też nieźle. – W głosie jego zabrzmiały czułe tony. Również przyglądał mi się uważnie. Chyba! Miał przecież być taki za siedem miesięcy. Kto nie byłby ciekaw?

Umilkliśmy. Nie myślałem, że spotkanie wstrząśnie mną do tego stopnia. Wyobrażałem sobie wszystko zupełnie inaczej. Wydawało mi się, że będę świetlanym ambasadorem przyszłości, mądrym i błyskotliwym, jak Kobieta Fosforyczna. Że będę pouczał, radził. „On” będzie przewracał oczami i mdlał z wrażenia. A oto jaki on jest! I jedynie to jest naturalne, jedynie to. Rzeczywistość, jak zwykle, okazała się najprostsza i najbardziej oszałamiająca. Mądra jest starucha–natura, mądra! Nic sobie nie robi z naszych hipotez.

– Słuchaj, stary, może byśmy coś przegryźli? – przerwał milczenie.

– Po raz pierwszy słyszę od ciebie coś sensownego. Co masz dziś na obiad, Lukullusie?

– Zupa z fasolką, zaprawiona podsmażoną mąką z cebulką... Krwawy befsztyk, smażony własnoręcznie w gotującym się tłuszczu trzy minuty z jednej i trzy z drugiej strony. Twoje upodobania, sądzę, nie zmieniły się?

Umilkł i widać starał się sobie coś przypomnieć.

Przełknąłem ślinę. Ogromnie zachciało mi się jeść.

– Tak! – kontynuował. – Kompot z suchych owoców, a poza tym nabyłem puszkę morskiego grzebienia.

– Mięso morskiego grzebienia?! W jakim sosie?! – „krzyknąłem.

– W koperkowym – odpowiedział z pewnym zdziwieniem.

– Kupowałeś kiedyś już te konserwy?

– Nie, dziś po raz pierwszy kupiłem na uniwersytecie, żeby spróbować. A o co chodzi?

– Nie... O nic...

Przypomniałem sobie ten dzień, kiedy kupiłem tę puszkę. Przyniosłem ją do domu. Mama, tak jak teraz, wyszła dokądś. Spiesząc się na spotkanie, otwierałem puszkę w rękach, w powietrzu. Otwieracz ześliznął się i puszka spadła, a biały koperkowy sos znalazł się na moich spodniach.

Spode łba spojrzałem na jego spodnie – były jak nowiutkie. I kant był jak należy! Moje spodnie w ciągu tych siedmiu miesięcy już się trochę wyświechtały, a nad lewym kolaniem można było dostrzec ślad plamy. Po sosie.

„To nic, zaraz będzie miał taką samą – pomyślałem złośliwie. – Zdaje się, że on też ma zamiar otwierać puszkę w powietrzu”.

W tym momencie przyszło mi na myśl: a może warto aktywnie wtrącić się do historii ludzkości i choć trochę ją udoskonalić. Po głębszym zastanowieniu postanowiłem jednak, że nie należy tego czynić. Byłaby to zupełnie nieodpowiedzialna działalność, na miejscu tylko w powieści naukowo-fantastycznej. Nie wolno ingerować w tok historii, jeśli się nie zna skutków takiej ingerencji.

I dlatego – ma być plama na spodniach czyściocha!

– A! Psia mać! – szepnął łapiąc już na kolanach otwartą puszkę z delikatnym, o smaku krabów, mięsem morskiego grzebienia.

Zdaje się, że i ja naonczas kłąłem identycznie.

Kot otworzył lewe ślepie, ale nie widząc psa ponownie zwęził je w poziomą szczelinę.

A jednak spróbowaliśmy konserw. On swoją porcję zjadł przed zupą, a ja po zlikwidowaniu befsztyka. Następnie rozsunęliśmy amerykańkę i nie zdejmując obuwia, wyciągnęliśmy się na niej, aby pokurzyć ze smakiem. Mieliśmy zupełnie te same nawyki. Widać nie zmieniam się.

Z rozkoszą wypuszczałem kółka. Milczeliśmy. Zauważyłem, że on już kilka razy ukradkiem zerka na zegarek.

– Powiedziałaś, że masz czas tylko do siódmej, dokąd idziesz? Jeśli to nie tajemnica, oczywiście.

– Tajemnica? Przed tobą?

– Nie uwzględniasz czynnika pamięci. Człowiek zapomina. A zapomnieć to to samo, co nie wiedzieć. A więc, jeśli to tajemnica...

– Bzdura! Idę na spotkanie z Ireną. Na placu Kałuskim, koło automatu.

– Z Ireną?!

– Nie znasz jej? To byłoby oryginalne... Jaka ona jest tam, w tej przyszłości?... Nie zbrzydła? Może jesteście...

W tym wymuszonym żarcie dostrzegłem niepokój. I to wreszcie pomogło mi przypomnieć sobie ostatecznie, jaki dziś dzień.

Abstrakcyjna cyfra – jedenasty grudnia – ożyła dla mnie smutkiem pamiętnym sercu.

* * *

Czekałem wtedy na Irenę koło automatu. Ludzie wchodzili i wychodzili z kabin. Wyznaczali sobie spotkania, śmieli się,

namawiali, prosili. W świetle lamp para idąca z ust wydawała się ruda i troszkę tęczowa. Zegar wpijał się we mnie swym bursztynowym, nie mrugającym okiem cyferblatu. Spóźniała się o trzy minuty. Strzałka minutowa długo pozostawała na miejscu, a potem nagle przeskakiwała. Równocześnie coś przeskakiwało w sercu.

Spostrzegłem ją z daleka, jak przechodziła przez jezdnię. Spieszyła się. Wokół jej futrzanych botków powstawały zamiecie. W oczach miała iskierki. Ale nie wierzyłem im. Była zimna, jak szron na kołnierzu z lisa. Wysoka i bardzo piękna.

Była daleka, jakże daleka...

To właśnie podbechtało mnie, żeby wszystko jej powiedzieć. Czułem, że mnie nie kocha, ale nie chciałem, nie mogłem w to uwierzyć. Odrzucałem to. I przyśpieszałem wydarzenia. Podobałem się jej i nie nudziła się ze mną. Więc trzeba było poczekać. Dowcipkować, a nie blednąć z miłości. Gdybym wobec niej był bardziej oschły, nonszalancki, to – kto wie – co mogłoby z tego wyjść. Była przyzwyczajona do powszechnego uwielbienia i kroczyła od jednego zwycięstwa do drugiego. Ciekawska i nierozbudzona.

Sama zaś chciała nie panować, lecz odczuć czyjaś nad sobą władzę, własną tkliwą pokorę w obliczu czyjegoś spokoju i pewności siebie.

Rozumiałem to, ale nie mogłem nad sobą zapanować. Byłem zakochany i dlatego bezbronny. Nie mogła nie zwyciężyć. To był nierówny bój.

Ten dzień był moim Waterloo.

Powiedziałem jej wszystko.

Co mogła mi odpowiedzieć? Co zaproponować?

Przyjaźń?

Wiedziała, że nie jestem z tych, którzy poniżają się wobec zwycięzcy i stają się jego niewolnikami. Być może, chciała nawet zatrzymać mnie obok siebie w roli odrzuconego wielbiciela, ale rozumiała, że z tego nic nie wyjdzie.

Nie zaproponowała mi przyjaźni, nie powiedziała, że „nie wie”, jakie są jej uczucia względem mnie, że musi się „zastanowić”. Była dzielna. Wyzwanie zostało rzucone – trzeba było na nie odpowiedzieć. Być może żałowała, że się pośpieszyłem. Nie wiem. Tylko powiedziała:

– Nie.

Zawsze będę rada cię widzieć, zawsze – powiedziała jeszcze.

Zrozumiałem, że wszystko skończone. Więcej do niej nie przychodziłem i nie telefonowałem. I ona nie telefonowała. Rozstaliśmy się przy Moście Krymskim.

* * *

A teraz, za jakąś godzinę, wszystko to miał przeżyć on. Wszystko! Począwszy od spóźnienia o pięć minut do „nie” przy Moście Krymskim. Było mi go do bólu żal, aż do łez. Dopiero teraz poczułem, że on – to ja, tylko przed popełnieniem błędu, jeszcze czegoś nie wiedzący, czegoś nie rozumiejący. Ogromnie chciałem uchronić go od czekającego go bólu, przestrzec, uzbroić w moje doświadczenie. To było bardzo skomplikowane uczucie.

A poza tym bardzo chciałem zobaczyć ją, tamtą, tę, która jeszcze nie uświadomiła sobie, że to kres naszych spotkań. Teraz wygrałbym bitwę. Wszystko byłoby zupełnie inaczej. To

ona cierpiałaby z zazdrości i niepewności, to ona zarzucałaby mi obojętność. Zmusiłbym ją, żeby mnie pokochała.

Może jednak tak tylko mi się wydawało?

Może nie w mojej mocy było cokolwiek zmienić?

– Pójdę na to spotkanie zamiast ciebie!

– Po co? – Jego twarz stężała i stała się zimna.

– Ty przecież nie wiesz, co cię dziś czeka! Nie znasz ani jej, ani siebie! Pozwól mi! Tylko dziś... I zniknę. Będziesz mi wdzięczny. Niech z tobą będzie inaczej! Nie jak ze mną!

– Nie. Nie chcę wiedzieć, jak było z tobą.

– Przecież nie wiesz, nic nie wiesz! Po dzisiejszym spotkaniu niczego już nie da się odwrócić... Wiem to, i powiem ci.

– Nie, nie chcę!

– Nie rozumiałeś mnie! Nie pójdę zamiast ciebie, zgoda. Ale powinieneś zachować się inaczej, nie jak ja wtedy. Najlepiej nie chodź w ogóle. Poczekaj aż sama do ciebie zadzwoni. Zadzwoni.

– Nie chcę cię słuchać! Rozumiesz? Nie chcę!

– Dlaczego? Przecież chcę otworzyć ci oczy. Nie dla swojego, ale twojego dobra!

– Nie potrzebuję! – powiedział ponuro. Spojrzałem mu w oczy i zrozumiałem: natchniony kochającym sercem wiedział wszystko i wszystko rozumiał, jak i ja wtedy. Wiedział, ale nie chciał wierzyć, jak i ja wtedy. I niczego nie mógł zmienić, jak i ja wtedy. Kiedyś taki sam wewnętrzny dialog prowadziłem ja sam ze sobą... A on teraz o tym wszystkim rozmawia ze mną. Co za różnica?

Od kołyski człowiek wszystko chce robić sam. Działać i próbować, potykać się i wstawać obmacując swe guzy. I to dobrze.

– Chyba lepiej, jeśli ja już wrócę?

– Tak, chyba... Czy spotkamy się jeszcze? Uśmiechnąłem się.

– Zawsze będziesz we mnie. A ja... ja zawsze będę zniknął przed tobą. Twoje życie – to gonitwa za mną. Jesteśmy przemieszczeni w fazach.

– Czy zniknę po twoim powrocie do swojego czasu?

– Nie. My po prostu scalimy się w jakimś nieuchwytnym mgnieniu, któremu na imię współczesność. To przemieszczająca się punkt na prostej z przeszłości w przyszłość. Pożegnamy się?

– Odprowadzę cię. Do uniwersytetu.

– Dobrze.

* * *

Nie puszczam jego ręki i długo patrzę mu w oczy. Nasza przeszłość pomaga nam poznać się wzajemnie. To bardzo ważne.

– A więc, żegnaj? – mówię.

– Do zobaczenia – uśmiecha się – zawsze będziesz do mnie powracać. Spotkamy się z pewnością wtedy, kiedy jeszcze raz pokochasz.

– Do zobaczenia – zgadzam się.

Jest mi smutno. Nachylam się. Zbieram rękami miękkie śnieg, ugniatam go mocno palcami w twardą, lodowatą kulkę. Chcę rzucić śnieżką w niego. Ale nie wiem dlaczego oczy mi zachodzą mgłą i tylko macham ręką.

On uśmiecha się bez słowa.

Otwieram masywne drzwi.

* * *

Otwieram oczy i dotykam kryształowej obręczy. Wpatruję się w salę. Żadnych zmian. Profesor Walentinow nie zdążył nawet zamknąć ust. W bursztynowych oczach dziewczyny widzę strach i zachwyty. Szef jest blady i groźny. Niema scena. Za chwilę otworzą się drzwi i ktoś w strażackim hełmie powie: „Do was jedzie rewizor”.

– Więc? – wreszcie wyciska z siebie Walentinow.

Nic nie rozumiem i wpatruję się w niego.

– Czekamy... Prosimy... – powiada.

– Przepraszam, ale nie wiem, o co panu chodzi – jeszcze nie całkiem oprzytomniałem i naprawdę nie pojmuję, czego on ode mnie chce.

– Pan zapowiedział, że zniknie...

Uśmiech. Zmarszczki się wygładzają. Jest znów sobą i znów kawalerem Orderu Podwiązki.

– Czy ja... Czy nie zniknąłem stąd na kilka godzin?

– Ależ nie! – zdaje się, że to krzyczy dziewczyna. W jej głosie wyraźnie słychać ból. Ból z mojego powodu i jeszcze coś.

– Więc nie zniknąłem?

– Nie – uśmiecha się lord, a promienne zmarszczki otaczające jego oczy mówią: „Pożartowałeś, chłopie, i wystarczy. Ha-ha-ha! Młode-zielone!”

– Nie zniknąłem?... – Zdjąłem obręcz i wyłączyłem urządzenie.

Następnie podszedłem do Walentinowa i podałem mu żółty notes z azteckim ornamentem. Profesor miał w ręku identyczny.

– Panie profesorze, niech pan porówna te dwa notesy. Powinny być identyczne. Z jedną tylko różnicą: ostatni zapis w notesie, który ja trzymam w ręku, jest zrobiony jedenastego grudnia ubiegłego roku. A teraz jest lipiec – pokazałem ręką na okno, za którym w gęstym błękicie unosił się puch topól.

Wszyscy machinalnie też spojrzeli w okno, jakby nagle zwątpili, czy rzeczywiście jest lipiec, a nie grudzień.

– A poza tym, oto – Wyciągnąłem z kieszeni twardą, mocną śnieżkę i z satysfakcją rąbnąłem nią w tablicę od góry do dołu pokrytą formułami.

Śnieżka trafiła w sam środek i przylepiła się.

Przełożył Stanisław Ludkiewicz

Michaił Jemcew i Jeremi Parnow

OSTATNIE DRZWI

W nocy rozszalała się burza, nieprzerwane strugi deszczu lały jak z cebra. Czarne niebo raz po raz pękało błyskawicami, a Jegorowowi zdawało się, że z tych oślepiających blaskiem szczelin lada chwila tryśnie roztopiona stal. Ciężkie, lodowate kulki gradu, niby twarde uderzenia tysięcy ptasich dziobów, biły w okno. Krople nie nadążały spływać po szybach i zamarały na nich mętnymi strugami. W liliowym świetle błysków Jegorow co chwilę widział kłębiącą się mgłę, posiekaną grubymi strugami ulewy i smętny odbłask olbrzymich kałuż. Ich ruda, bombelkowata powierzchnia przypominała zastygłą lawę.

Jegorow pokiwał głową i odszedł od okna.

– To ci pech! – mruknął, kładąc się na niewygodnym hotelowym łóżku.

Przez chwilę przeglądał jakieś grube i wyczytane aż do dziur tomisko, pełne ilustrowanych przygód, krzywiąc się z obrzydzeniem na widok plam od tłuszczu i wina.

Doszedłszy do kolejnej brakującej strony, cisnął książkę i znów podszedł do okna. Błyskawice nadal wyrывały z mroków nocy rozbryzgujące się na szybach krople i lśniąca czarna rzekę asfaltu.

Nie doczekawszy się końca burzy, Jegorow wreszcie zasnął, a gdy się obudził, było już późne rano, po ścianach i suficie tańczyły złociste słoneczne zajączki, odbijając się w nieskończoność od wszystkich lakierowanych, polerowanych i niklowanych przedmiotów.

Jegorow przeciągnął się, wyskoczył z łóżka i sprężystym krokiem przeszedł się po przyjemnie chłodnym kawałku linoleum na podłodze. Czuł się dobrze, był wypoczęty, rzeński i bez żadnej specjalnej przyczyny w doskonałym humorze. Jakby nocna ulewa zmyła z niego zmęczenie, gorycz niepowodzeń, a także część dręczących i nękających go trosk.

Zaprzagnął zaraz coś zrobić, czuł potrzebę działania. Pomyślał, że w takim nastroju bez trudu mógłby nie tylko opracować plan badań akuańskiego płaskowyzu, ale nawet zorganizować tam roboty. Niestety, nie trzeba było przygotowywać projektu ani organizować tych prac. Projekt odrzucono jako nierealny. Już miesiąc temu w organizacyjne umiejętności Jegorowa nikt nie wierzył. A w ogóle, to Jegorow miał teraz właśnie tydzień urlopu i powinien był odpoczywać, a nie pracować. Nadmiar energii zużył więc na skrupulatne wyczyszczenie zębów, a dobry humor wyładował, śpiewając popularną

piosenkę: „Piszę do ciebie na księżyc...” Zaraz jednak drzwi otworzyły się i weszła numerowa. Zapytała, kto tu wzywał pomocy i dlaczego w tym celu nie posłużono się dzwonkiem? Jegorow poczerwieniał i próbował się wykręcać, ale kobieta upierała się przy swoim. Twierdziła, że słyszała wyraźnie żałosny, rozdzierający krzyk, który przeszedł w jęk konającego. Jegorow wyjaśnił, że takie są właśnie jego wokalne możliwości.

Numerowa popatrzyła na niego podejrzliwie i widać było, że nie wierzy ani jednemu jego słowu. Zajrzała pod łóżko i do otwartej ściennej szafy. Można by sądzić, że szukała trupa lub przynajmniej skrępowanej ofiary z zakneblowanymi ustami. W każdym razie tak się właśnie Jegorowowi wydało. Z niemałym trudem udało mu się wreszcie pozbyć z pokoju tego nie pierwszej młodości detektywa w spódnicy.

W kasie dworcowej promienny nastrój Jegorowa został poddany jeszcze jednej próbie: – Najbliższy śmigłowiec odchodzi dopiero po dwunastej, a autoloty... – kasjer na chwilę zawahał się. – To wszystko.

– Co wszystko? – zapytał Jegorow z rozdrażnieniem, patrząc na łysą jak kolano głowę tego stosunkowo młodego jeszcze człowieka.

Kasjer spojrział na niego spod rudych brwi. W jego zielonych oczkach zamigotała drwina.

– Wszystko, towarzyszu, znaczy wszystko – powiedział, przekrzywiając głowę na bok. – Wszystkie bilety są sprzedane, wszystkie miejsca zajęte, dla was nic nie ma.

Poczekajcie, po dwunastej będzie śmigłowiec, który zabierze spóźnionych.

– Czekam tu już od wczorajszego wieczora.

– Nie wy jeden czekacie. Inni też czekają.

– Ja nie daleko, najwyżej ze czterdzieści głupich kilometrów...

– Dalekich odległości w ogóle nie obsługujemy. U nas nikt dalej jak sto kilometrów nie jeździ.

Jegorow poczuł nieodpartą chęć plunąć na tę lśniącą łysinę. Przełknął ślinę i zacisnąwszy żęby odszedł od okienka. Humor miał popsuty.

Smętym wzrokiem obrzucił czekających pasażerów. Jaskrawe, przenikające poprzez szklane ściany słońce przyjaźnie oświetlało zatroskane, opalone i ogorzałe od wiatrów twarze mężczyzn i ich duże, silne dłonie; kobiety o gęstych brwiach i pełnych policzkach, w nasuniętych na czoło aż po same oczy chusteczkach, i dzieci, baraszkuje u kolan spokojnie siedzących rodziców.

Przytłumiony, melodyjny gwar dźwięcznej ukraińskiej mowy wypełniał poczekalnię.

Jegorow siadł i zamyślił się. Nie powinien marnować już ani minuty więcej, a musi siedzieć i czekać na ten przeklęty śmigłowiec.

Wśród czekających powstało nagle jakieś ożywienie. Jakby w poczekalni włączono prąd, który przebiegł po krzesłach, zmuszając ludzi do zwrócenia głów w jednym kierunku. Łagodnie, nie dowierzające „ta co tam!”, „ta co wy!” ucichły, kobiety i mężczyźni wpatrzyli się w jakąś postać, która ukazała się w oszklonych obrotowych drzwiach; tylko dzieci wciąż były pochłonięte jakimiś swoimi niezliczonymi sprawami i na nic więcej nie zwracały uwagi.

Jegorow także spojrział w stronę drzwi i ujrzał dziwnego człowieka. Pierwsze wrażenie było jakieś nieokreślone. Ogarnęła go trwoga i przeczucie niebezpieczeństwa.

Człowiek był nieziemsko piękny. Jego uroda była jak wyzwanie czy smagnięcie biczem.

Wszystko w nim było skończenie doskonałe, idealnie piękne, a jednocześnie wprost nieprawdopodobnie niezwykle.

Piękno – to najwyższa harmonia, waga o wielu szalach, z których każdą natura jak najdokładniej wyważyła. Niezwykłość zaś to umiejętnie odchylenie od owej równowagi. I właśnie w nieznanym był ów ułamek szpetoty, dzięki któremu jego uroda stawała się olśniewająca.

Człowiek ten przywykł widocznie do tego, że budzi powszechne zainteresowanie.

Nie zwracając na nikogo najmniejszej uwagi, przeszedł przez poczekalnię i podszedł do okienka kasy. Zajrzał do środka, gdzie poruszała się łysa makówka zielonookiego kasjera i zapytał z lekkim cudzoziemskim akcentem: – Czy miał pan przed chwilą telefon w mojej sprawie?

Makówka zakiwała się żywo jak pływak u wędki w wietrzny dzień, gdy ryba źle bierze, a po sinoszarej wodzie biegnie nieprzerwana drobna fala. Jegorow widział tłustą, piegowaną rękę i rude włoski odcinające się od białego mankietu, ściśle oblegającego przegub dłoni. Ręka uniosła się skwapliwie i miękko położyła bilety na parapecie okienka.

Piękny interesant kiwnął głową i schowawszy bilety do kieszeni ruszył ku wyjściu. Kasjer uniósł się ze swego krzesła i zawołał w ślad za nim: – Pański autolot jest w trzecim garażu! Zaraz na prawo, jak pan stąd wyjdzie...

Nieznajomy nawet się nie obejrzał, znów tylko kiwnął głową. Jegorow podszedł do kasy.

– A więc mieliście jednak wolny autolot? – spytał, umyślnie bardzo spokojnie.

Łysy przez chwilę pisał coś w swych papierach, po czym powoli podniósł głowę.

Patrzył na Jegorowa ze zdziwieniem, nie rozumiejąc o co chodzi. Oczywiście, wcale go nawet nie poznał.

– Jaki autolot? – spytał cichym, zmęczonym głosem.

– Ten, który przed chwilą oddaliście temu cudzoziemcowi?

– Aa – powiedział kasjer przeciągle i jeszcze się na dodatek uśmiechnął.

Jegorow poczuł, że żółć wycieka mu z wątroby, mija kamienie, znajdujące się w żółciowym woreczku, podchodzi do głowy i zaćmiewa wzrok brązową gęstą mgłą.

– Mówię do was! – wrzasnął, waląc pięścią w parapet okienka.

Frachty i kwity nabite na lśniące biurowe szpikulce, słoik z klejem, kałamarz z lapis lazuli – wszystko to razem podskoczyło, zabrzęczało, zadzwoniło i opadło z powrotem na stolik. Słoik się przewrócił i wyciekła z niego przezroczysta kiełbaska żółtawego kleju.

Kasjer zbladł i zawołał.

– Odpowiedcie za to! – i nacisnął guziczek dzwonka.

Jegorow długo jeszcze musiał krzyczeć, wymachiwać rękami, tłumaczyć, wyjaśniać, przekonywać, zaklinać, grozić i schlebiać, nim wreszcie o dziewiątej wyjechał wozem naczelnika stacji. Zamiast do szybkiego, potężnego autolotu musiał wsiąść do przedpotopowego samochodu, który nie wiadomo

jakim cudem znalazł się w garażu kierownika miejscowej służby ruchu.

Ustaliwszy w myśli genetyczny związek między stacją i naczelnikiem z jednej strony, a zwierzętami, przede wszystkim psiego gatunku, z drugiej – Jegorow uspokoił się i zaczął przyglądać się krajobrazowi.

– Jakże dawno już tu nie byłem – szeptał wzruszony, patrząc na znajome pola, na czarne wstęgi dróg, wijących się wzdłuż gęstych pasm lasów.

– Do Muzykowki? – spytał kierowca.

– Aha.

– Do Nieczyporenki?

Jegorow spojrzał na szofera. Czarnowłosa, wesoły chłopak. Nazywał się Renik.

– Tak. A ty skąd wiesz?

– Co tu nie wiedzieć! Do niego teraz wszyscy jeżdżą... Nie wiecie, prędko poleci z powrotem?

– Poleci, poleci. Dajcie mu odsapnąć, przecież dopiero co wrócił.

Wołga, lekko tocząc się po betonowej szosie, zwolniła biegu.

– Co tam takiego? – spytał Jegorow.

– Musimy zjechać z betonu. Tu się skręca do Muzykowki.

– No więc?... Jedź!

– Kiedy drogi u nas, że nie daj Boże! Jeszcze jak sucho, to pół biedy, ale po takim deszczu...

Kierowca urwał i zjechał w prawo. Wóz, skręciwszy z rozmachem pod mostem, wyskoczył na czarną wstęgę polnej drogi. Jegorow spojrzał na nią niepewnie. Wiedział dobrze, co to jest polna droga po deszczu.

Droga zryta była głębokimi koleinami. Bruzdy przypominały okopy. Ziemia pod kołami Wołgi rozłaziła się coraz bardziej, aż wreszcie wóz utknął na dobre, bezradnie rozbryzgując spod kół wielkie grudy błota.

– Gotowe – powiedział Renik i zgasił motor. Wygramolili się z samochodu.

Jegorow od razu ugrzązł po kostki w tłustej, lepkiej mazi. Klnąc na czym świat stoi, wyciągnął nogę z rozmiękłej ziemi. Jego lekkie letnie pantofle, oblepione całymi pudami czarnej ziemi, ciążyły, jakby obuł walonki. Teraz już nie czuł pod nogami nic, prócz śliskiej i osuwającej się masy.

Obleciał go nawet strach – a nuż ziemia zacznie się nagle rozstępować pod nogami i wessie go w głęboką, czarną rozpadlinę? Nim wreszcie udało mu się wydobyć z błota, Renik, dziarsko machając szuflą, oczyścił i utorował drogę.

Ruszyli dalej. Jegorow, klnąc pod nosem, oskrobywał z butów żyzny czarnoziem.

Skręcili na inną drogę, wiodącą prosto do Muzykowki. Tu nie było wprawdzie głębokich wyboi, ale za to nawierzchnia zamieniła się w coś, co przypominało trochę rozmiękłe masło.

Wołga buksowała co trzy kroki. Motor, włączony teraz na pierwszy bieg, ryczał żałośnie, a z wydechowych rur walił czarny dym. Renik wylazł z wozu i obejrzawszy chłodnicę, machnął ręką.

– Poczekamy – powiedział – niech ostygnie. Jegorow oparł się o bagażnik i wypuszczał w górę, ku urągliwie pogodnemu niebu, dym z papierosa.

– A bodaj to cholera – rozległ się tuż obok głos Renika. – Księżyc zdobyli, Marsa zdobyli, na Wenus wylądowali, a drogi u nas jak były, tak i są diabła warte.

– Jak to? – oburzył się Jegorow. – Są przecież wspaniałe magistrale, właśnie przed chwilą jechaliśmy po jednej z nich.

– Pewnie że są. Ale do takiej Muzykownki trudniej się dostać niż na Marsa.

– Cała bieda, mój drogi – pouczającym tonem zaczął Jegorow – polega na tym, że żyjemy w okresie przejściowym. Autoloty jeszcze się nie upowszechniły, a samochody wychodzą już z użycia. Gdy zorganizują wreszcie masową produkcję autolotów, drogi, jako takie, przestaną być w ogóle potrzebne. Pozostaną tylko wielkie autostrady. A cała taka drobnica, jak ta, będzie zaorana i zasiana. Zachowają się tylko małe lądowiska dla autolotów. I to tylko raczej na pamiątkę, bo przecież autolot może lądować, gdzie mu się podoba – na lądzie, na wodzie, w lesie, na bagnach...

– Kiedy to tam będzie! – z niedowierzaniem mruknął Renik i włączył do wozu.

Długo biegał się ze starterem, zmieniał biegi, aż wreszcie powiedział zdecydowanie: – Spróbujemy na ściernisku.

Wołga skręciła z drogi prosto na pole pokryte rzadką rudawą szczotką, pozostała po ostatnich żniwach. Tutaj dopiero zaczęło się! Wóz szedł to prawym, to lewym bokiem, niósł zaskakująco lekko we wszystkich możliwych kierunkach. Pole było nieco spadziste i samochód ześlizgiwał się po nim, jak krążek po lodzie. Renik dawno wyłączył motor i z całych sił naciskał hamulec. Z przerażeniem patrzył, jak przecinający pole głęboki rów z wolna jest coraz bliżej. Jakies sto metrów od niego Wołga wykręciła się tyłem na przód i stanęła.

– Niech i tak będzie – powiedział Renik, ocierając pot z pobladłej twarzy. – Poczekamy do wieczora, może podeschnie.

Wysiedli obaj z auta.

– O, tam jest Muzykowska – powiedział Renik, machnąwszy ręką w stronę parowu.

Po jego drugiej stronie, na zielonym, zalanym słońcem wzgórzu, stały jedno- i dwupiętrowe domki. Gąszcz wiśniowych drzew i topoli rzucał na białe ściany przejrzyste fioletowe cienie.

Jegorow pożegnał Renika i poszedł wzdłuż parowu ku drewnianemu mostkowi, przez który droga wiodła do Muzykowskiej. Jego stopy wciąż obrastały błockiem i wkrótce szedł jak na szczydłach, chwiejąc się i zataczając nie gorzej niż przedtem Wołga. Wreszcie machnął ręką na elegancję, zdjął buty, zakasał nogawki i, ściskając w jednym ręku obłocone obuwie, a w drugim plastikową teczkę z papierami, wesoło poczłapał na bosaka. Tłuste kielbaski czarnoziemowi przeciskały mu się pomiędzy palcami.

– Czy zastałem Wasylę? – pytał w pół godziny później, stając przed domem, na którym powiewała czerwona flaga.

Starsza kobieta bystrym wzrokiem obrzuciła gościa.

– A wy kto taki?

– Powiedźcie, że Jegorow, Sasza Jegorow przyjechał.

Kobieta zawołała coś do okna i za chwilę na ganeczek wybiegł młody, wysoki mężczyzna w sportowej koszulce, krótkich spodenkach i sandałach na bosych stopach. Czarny czub wesoło wił mu się nad wysokim czołem. Pivne oczy błyszczały przyjaźnie i łagodnie.

– Saszka! Jak się masz, kochany! Chodźże, bądź łaskaw. Ale wyglądasz! A co, posmakowałeś naszego czarnoziemiu?

Uściskali się.

– Witaj, Marsjaninie, witaj! – uśmiechając się, mówił Jegorow. – Nie wytrzymała dusza, uciekłeś do domu?

– Nie wytrzymałem, daj spokój, nie wypominaj. Prosto z kosmodromu pojechałem do akademii, zdałem papiery i – bywajcie zdrowi! Co prawda, mieli zamiar wyprawić mnie do jakiegoś sanatorium, ale przekonałem ich, że w domu mam i sanatorium, i profilaktorium, i...

– Dziewczynę z brwiami jak krucze skrzydła?

– Jednym słowem, stuprocentowy, wieloskładnikowy, ekologiczny system, zapewniający kosmonaucie najwyższy poziom moralny i fizyczny. Proszę bardzo, wejdź do domu.

Podczas gdy Jegorow pluskał się pod prysznicem, Wasyl z dziesięć razy zachodził do łazienki, to przynosząc mu ręcznik, to specjalne mydło „Neptun”, które przydzielano tylko kosmonautom, to wreszcie ot, tak sobie, by coś powiedzieć i poklepać Jegorowa po chudych plecach.

– Uważam – mówił Jegorow, patrząc na spływające z jego nóg czarne strużki wody – że ukraińskie błoto nie zostało odpowiednio opisane i uwiecznione przez klasyków literatury...

– I nauki – dokończył Wasyl.

– Właśnie. Opiewano przecież ukraińską noc, potężny, szeroki Dniepr, ukraińskie dziewczęta, a nawet jawory. Dlaczegoż nie ma dokładnych badań i pięknych poematów o zaklętych mocach królestwa czarnoziemiu, występujących tak agresywnie po każdym deszczu?

– Co gorsza, nie ma o tym nawet odpowiednio wyczerpujących naukowych monografii.

Marnuje się wdzięczny temat, na który można by napisać z dziesięć rozpraw kandydackich i co najmniej ze trzy prace doktorskie!

– Pewnie! – podchwycił Jegorow. – Błoto można by klasyfikować według czasu jego powstania. Zastarzałe błoto...

– Albo według siły ciągliwości, którą należałoby mierzyć w praktyce, próbując oderwać nogę od gruntu.

– Lekkie błoto – kilogram, ciężkie – pół tony...

– Cyfry dysertanta, przedstawione w części charakterystyki ciężkiego błota, wydają się nieco zawyżone – huczał Wasyl, schylając się we dwoje nad domniemanymi kartkami opinii oficjalnego oponenta. – Nasze własne obserwacje dają poszczególne liczby mniejsze, co, oczywiście, w niczym nie umniejsza wartości dokonanej pracy i dysertant, bez wątpienia...

– ...zasługuje na przyznanie mu prawa do tytułu kandydata nauk błotnych! – zakończył Jegorow. Wasyl uroczyście uściśnął mu dłoń.

– Zamieszkasz razem ze mną na mansardzie, dobrze? – zapytał Nieczyporenko. – Dałbym ci osobny pokój, ale mam właśnie gościa. Dzisiaj przyleciał.

– Kto taki? – spytał Jegorow.

– Należał do ekipy braci Disneyów, pracujemy razem z nim na Marsie.

– Ach, tak! A skąd on pochodzi?

– Z Południowej Ameryki.

Jegorow uniósł brwi.

– I kiego licha on chce od ciebie?

– Potem ci opowiem – odparł Wasyl. – Na razie chodźmy, przedstawię ci domownikom.

Domowników, jak się okazało, było dwoje: matka, ta sama starsza kobieta o nieufnym spojrzeniu, i siostra Wasyla, młoda dziewczyna o swawolnych piwnych oczach, bardzo do brata podobna. Ściskając na powitanie dłoń Jegorowa, uśmiechnęła się i powiedziała: – Wasia dużo o was opowiadał.

– No i co? – zalotnie zapytał Jegorow.

– Ano nic – przekornie uśmiechnęła się dziewczyna.

– Oksano, nie zawracaj Saszy głowy, lepiej skocz no do sklepu – przerwał Wasyl.

– A gdzież ten twój cudzoziemiec? – spytał Jegorow, gdy poszli na górę do pokoju Wasyla.

– Śpi – odparł kosmonauta, przeciągając się. – Od razu, jak tylko przyjechał, zasnął jak suseł.

Jegorow z zazdrością spojrział na junacką postać Wasyla. Ten wspaniale zbudowany chłopak tryskał po prostu siłą i zdrowiem.

– Pogadamy? – zapytał Jegorow.

– Po śniadaniu. Muszę teraz matce pomóc w gospodarstwie. Zawsze przecież muszą sobie radzić same z Oksaną. Ciężko im bez mężczyzny.

– No to idź, pomóż. A zawołaj, gdybym i ja mógł się przydać.

Wasyl zszedł na dół. Jegorow został sam i rozejrzał się dokoła. Pokój był duży, ale sprawiał dziwne wrażenie. Sądząc po meblach i sprzętach – ktoś bardzo odważnie połączył tu laboratorium, bibliotekę, muzeum kosmiczne, salon i sypialnię. Zresztą, sypialnię reprezentowało tylko wąskie łóżko, przykryte zwykłym, wełnianym kocem. Nad łóżkiem wisiały cztery fotografie Wasyla: jedna jako ucznia – mały łobuziak o kędzierzawej czuprynie z napięciem wpatrywał się w obiektyw i trzy zdjęcia kosmonauty, wszystkie dłaczegoś zrobione na Księżycu.

„To dziwne, ani jednego zdjęcia z Marsa, a przecież był tam z pięć razy” – pomyślał Jegorow.

Pogładził bogato oprawne książki o kosmonautyce, zajmujące całą ścianę, przytknął w przycisk z lapis łazuli, przypominający zakrzepły grzebień fali, uśmiechnął się do modelu pulpitu nawigacyjnego kosmicznego statku. Jegorow dobrze znał ten model. Wasyl zrobił go, gdy jeszcze razem studiowali w Instytucie Kosmicznej Geologii. Potem podszedł do szerokich, czteroskrzydłowych, oszklonych drzwi. Otworzył je na oścież i znalazł się na dużym, otwartym z trzech stron balkonie. Z góry, dla ochrony przed prostopadłymi promieniami słońca, naciągnięta była pasiasta markiza.

Wśród soczystej, ciemnej zieleni drzew Jegorow zobaczył wioskę, milutkie domki o śnieżnobiałych ścianach, wieżyczki z platformami, na których stały, błyszcząc w słońcu żółtymi i purpurowymi bokami, autoloty. Gdzieś piał kogut, ryczała krowa. Nad Muzykawką unosiła się niebieska mgła zapowiadając upalny dzień.

Jegorow wdychał głęboko rześkie powietrze, przesycone zapachem traw i kwiatów.

Trochę kręciło mu się w głowie od jaskrawego blasku i światła. Pomyślał sobie, że w Moskwie siedziałby teraz w dusznym pokoju pełnym papierosowego dymu i podtykał „Wielkiej BeTe” nie kończące się szeregi cyfr otrzymanych z danych badań Księżyca i Marsa. I czekałby, i denerwował się, póki mądra maszyna nie dałaby odpowiedzi potwierdzającej, lub obalającej jego przypuszczenia, jego zdolność przewidywania. Wieczorem, na pływalni lub przy bufecie w „Kraterze”, starałby się wygnać zmęczenie z ciała, z komórek mózgu, odprężyć nerwy napięte do granic wytrzymałości. A następnego dnia od rana wszystko zaczęłoby się na nowo.

Wysuszająca duszę praca, zawstydzające niepowodzenia, omyłki w obliczeniach i zwycięstwa, które stały się obowiązującą normą. Zwycięstwa, które nie cieszą, których się nie zauważa... A jednocześnie, podczas gdy jego życie mija przy pulpicie maszyny do liczenia, gdzieś świeci takie oto cudowne, radosne słońce i szmerze łagodny wietrzyk, pozdrawiając nadchodzący dzień.

Posłyszał kroki. Ktoś wszedł do pokoju. Jegorow zobaczył go w szybie.

– Wasylu! – rozległo się niezbyt głośno.

Coś powstrzymało Jegorowa, wcale się nie odezwał. Poznał stojącego w progu człowieka. Był to ten sam piękny mężczyzna, który na stacji sprzątnął mu sprzed nosa autolot.

Jegorow wyraźnie widział twarz nieznanego. Miała wyraz napięty i pełen czujności. Nie otrzymawszy odpowiedzi, nieznanomy ostrożnie wszedł do pokoju. Raczej wsączył się, tak miękkie i bezgłośne były jego ruchy. Zamknął za sobą drzwi, przystanął pośrodku pokoju i rozejrzał się, penetrując wzrokiem ściany.

– Wasylu!

Jegorow zamierzał już wyjść ze swego ukrycia, ale właśnie nadszedł Nieczyporenko.

– A, Anheło! – powiedział. – Odpocząłeś?

– Bardzo dobrze. Bardzo.

– No, to świetnie. Chodźmy na dół. Wyszli.

„Ten goguś jest bardzo niesympatyczny” – pomyślał Jegorow. Postanowił, że przy pierwszej sposobności wypyta Wąsyla, kto to taki, ale przed śniadaniem nie udało się tego zrobić.

Nieczyporenko zaglądał z zafrasowaną miną do pokoju i natychmiast zniknął. W domu rozlegało się to skrzekliwe zrzęczenie matki, to dziewczęcy głosik Oksany.

– Wasylu, chodź no tu! Wasylu! Gdzież ty jesteś?

Wasyl posłusznie przybiegał na wołanie, tupiąc po lśniącej, wywoskowanej jak bursztyn posadzce.

Przy śniadaniu zjawił się nowy gość, sąsiad Pawicz. Wąsaty staruszek promieniał zadowoleniem z siebie, był uroczysty i puszył się bez przerwy.

– Za naszego kochanego ziomka, zasłużonego, sławnego kosmonautę, Nieczyporenkę!

– powiedział Pawicz, podnosząc kieliszek. Wypił, odkrząknął i otarł wąsy.

Potem stary swoimi słowami objaśniał obecnym zasługi Wasyla wobec ojczyzny i ludzkości.

Wasyl krzywił się, ale staruszkowi nie przerywał.

– Ta przestańże już, dziadu – wtrąciła wreszcie matka Wasyla, Olga Pantelejewa.

– My też czytamy gazety.

– Nie szkodzi, Olgo, nie szkodzi. W całym naszym okręgu mamy tylko jednego kosmonautę.

I to skąd! Właśnie z naszego kołchozu. Trzeba to uczcić.

– No, to czcij sobie, na zdrowie! Ale nie opowiadaj nam tego, co już wszyscy dawno wiemy.

Jegorow spod oka obserwował Amerykanina. Anhelu Tend z nieobecny wyrazem twarzy łykał przyrumienione kartofelki. Uroda jego wydawała się jeszcze bardziej oślepiająca niż z rana na stacji. Na matowo-białej twarzy znaczyły się rumieńce o najdelikatniejszym brzoskwiniowym odcieniu. Wielkie czarne oczy patrzyły surowo, niemal smutnie. Oksana

była nim wyraźnie oczarowana. Siedziała z oczami wbitymi w talerz. Gdy ktoś coś do niej mówił, wzdrygała się cała. Jej przekorny uśmieszek znikł gdzieś bez śladu... Jegorow z pewnym żalem zauważył to napięcie dziewczyny i nawet pomyślał sobie coś w rodzaju: „Wszystkieście jednakowe...”

– Co tam komu po sławie – gniewnie powiedziała Olga Pantelejewa, twarz jej wyrażała teraz nie ukrywany smutek i troskę – najważniejsze to zdrowie. Ot, Grisza Rogożyn, kolega Wasi...

– Mamo!

– Przecie nic nie mówię. Jedno ci tylko powiem, Wasia, jak ty lecisz w ten twój kosmop, to we mnie serce zamiera.

– Wiadomo przecie, matka to matka – powiedział Pawicz, gładząc zrudziałe końce wąsów i pałaszując smażonego leszcza.

– Gdyby ojciec żył, to i jemu przybyłoby siwizny przez te loty Wasi.

– Nie ma rady, matko, tak trzeba – twardo powiedział Wasyl.

– A czy ja co mówię? Jak trzeba, to trzeba. Ale dlaczego nie mógłbyś sobie odpocząć krzyne? Pojechałbyś za granicę, świat zobaczył.

– Co tam mu zagranica! – chytrze mrugnął Pawicz. – On sobie w Muzykowce stałą kotwicę zarzucił.

– Dobra mi kotwica – powiedziała Olga Pantelejewa i zebrawszy naczynie, niby groźna kwoka wypłynęła z jadalni.

– Co, Wasylu Iwanowiczu, mama nie pochwała waszego wyboru? – Pawicz roześmiał się na cały głos i zanurzył rumiany kartofel w śmietanie.

Jegorow widział, że Wasylowi nie w smak była ta rozmowa. Zagadnął więc Oksanę: – No, a pani, Oksano, nie wybiera się na Marsa?

– Akurat mi pilno! – wybuchnęła dziewczyna. – Do tych waszych mrówek!

– Te mrówki więcej wiedzą od nas wszystkich razem – powiedział Wasyl.

– A choćby nawet. Ale przecież i tak wszystkie już wyginęły.

– Słyszysz, Wasia? – wesoło wtrącił Pawicz. – Zamiast latać po nie na Marsa, pogrzebałbyś w naszym mrowisku...

– I to racja – dobrodusznie zauważyła Olga Pantelejewa, wchodząc znów do pokoju. – Zdechłych mrówek na Ziemi nie brak.

Anhelo Tend odłożył widelec.

– Marsjanin tak jest podobny do mrówki, jak człowiek do kota. Na Marsie powstała wysoka cywilizacja, ludzie na Ziemi nie osiągną jej i za dziesięć tysięcy lat. I Marsjanie wcale nie wymarli.

Srogo spojrział na Oksanę. W oczach gorzał mu szaleńczy płomień jakiejś posępnej wiary.

– A cóż się z nimi stało? – spytała Oksana.

– Odeszli do Aiu.

Przez chwilę wszyscy milczeli.

– A to co takiego? – z kpinką w głosie spytał Pawicz.

– Nie wiemy – odparł zamiast Anhela Wasyl. – Wielu rzeczy nie rozumiemy jeszcze w cywilizacji Marsjan. Nie używali mowy, a zasady logiki ich myśli całkowicie różnią się od naszych, gdyż ewolucja przebiegała u nich zupełnie inaczej. Ani

środki produkcji, ani drogi rozboju ich społeczeństwa nie są dla nas na razie zrozumiałe.

– Jeśli kiedykolwiek zdołamy rozeznaczyć się w tym wszystkim., co odkryliście na Marsie, będzie to dla naszego społeczeństwa olbrzymi krok naprzód – zauważył Jegorow.

Anhelo po raz pierwszy spojrział prosto w twarz Jegorowa.

„Jakie okropne uczucie, zupełnie, jakby coś ze mnie wysysał” – pomyślał geolog, mimo woli opuszczając oczy.

– Tak, ma pan zupełną słuszność – powiedział Tend. Jego głos brzmiał jakoś metalicznie.

„Brak mu półtonów” – pomyślał znów Jegorow.

– Ale to wszystko dla Akademii Nauk – powiedział Pawicz. – A tak dla zwykłych ludzi nic tam nie ma takiego, co by można wziąć w rękę, takiego, żeby... – stary poruszył grubymi, pokręconymi palcami, chcąc jakoś wyrazić swą myśl.

– Żeby schować za pazuchę i do domu, co? – uśmiechnął się Wasyl.

– O, właśnie... ale co znowu... co ty tam, chłopcze! No, coś takiego jak ruda czy jakiś metal na ten przykład.

– Jak to, jak to – roześmiała się Olga Pantelejewa – przecież Wasyl ma cały pokój pełen kamieni.

Wasyl zaśmiał się.

– Zapomniałaś, mamó, o lustrze – filuternie wtrąciła Okšana.

– Jakie lustro? – spytał Jegorow.

– Wasia przywiózł mi w prezencie lustro z Marsa.

– Z marsjańskiej toaletki – z kpią powiedziała matka. – Nawet powiesić nie ma za co.

– Za to nie kurzy się – zauważył Wasyl.

Anhelo popatrzył na Oksanę. Zdawało się, jakby dopiero teraz ją spostrzegł.

– A jak ono t ani służy? – zapytał.

– Bardzo dobrze – odparła z uśmiechem.

– A teraz wypijemy zdrowie mamy-Ziemi – uroczyście przemówił Pawicz – ona nas zrodziła, wykarmiła i wyprawiła w kosmos.

Po śniadaniu Wasyl powiedział do Jegorowa: – Chodź, zaniesiemy twoje łożo na górę.

– A gdzie ono jest?

– W pokoju Oksany.

Zwrócił się do siostry, która z ożywieniem rozmawiała z Anhelem: – Oksano, chcemy wziąć tapczan z twego pokoju, można?

– Proszę bardzo, weź – odpowiedziała, nawet nie odwracając głowy.

Pokój Oksany był schludny i przestronny. Delikatna woń polnych kwiatów unosiła się w powietrzu.

– To ten pod oknem – powiedziała Oksana, wchodząc za nimi. – Ale nie zazdroszczę panu. Twardy jak zaschła glina.

– Nie szkodzi. Geolog nie powinien się rozpieszczać.

Nagle Jegorow spostrzegł lustro z Marsa. Stało na krześle. Z góry Oksana narzuciła na nie ręcznik.

– To? – spytał Jegorow, podchodząc.

Płaszczyna półmetrowej elipsy, oprawionej w grubą, złocistoszarą ramkę, odbiła w swej ciemnej głębi bystre, szare oczy młodego mężczyzny. Zwierciadło nie zniekształcało ani jednego rysu jego twarzy, nadając odbiciu lekko niebieskawy odcień. Jegorowowi wydało się, że patrzy poprzez grubą warstwę błękitnej wody.

Wasył, który także spoglądał w lustro, powiedział nagle: – Oksano, wiesz co? Pożycz nam je na parę dni, dobrze? Rano musimy się golić, a został mi tylko maleńki skrawek lusterka.

– A weźcie sobie. Ono jest nawet dwustronne. Zawieście sobie pośrodku pokoju i możecie się golić jednocześnie obaj.

– Właśnie tak zrobimy.

Zataszczyli tapczan na górę, zabierając od razu i lustro.

– Będę spał na balkonie – powiedział Jegorow.

– Dobra – zgodził się Wasył.

Ustawili tapczan pod markizą. Leżąc na nim, Jegorow mógł widzieć jak na dłoni całą Muzykawkę i siną dal stepu, który rozciągał się za wsią. Lustro powiesili obok, owinąwszy brzegi złocistej ramki taśmą izolacyjną. Końce taśmy przywiązali do listwy, na której rozpięta była markiza. Lustro kołysało się z lekka i błyskało w słońcu jak reflektor.

– Ale ciężkie – zauważył Jegorow, przyglądając się dokonanemu dziełu.

– Bardzo. I nie wiadomo dlaczego. Co prawda, nie wiadomo też, z czego właściwie jest...

– A nie przedstawia przypadkiem jakiejś niezwyklej wartości dla nauki?

– Coś ty! – machnął ręką Wasył. – Przekazaliśmy już około dwóch tysięcy takich lusterek do Akademii Nauk. Chemiccy całego świata głowią się, żeby poznać ich skład.

Na balkonie zaczynało przygrzewać, poszli więc do gabinetu Wasyla.

– Marsjanie w ogóle mieli dziwne upodobanie do elipsoidalnego kształtu – powiedział Nieczyporenko, gdy zasiedli w głębokich, chłodnych fotelach. – Takich lusterek jest tam dzie-

siątki tysięcy, w miastach służą do odbijania światła... Wiele budowli na Marsie ma kształt elipsy...

Wasył umilkł. Przed oczami jak żywy stanął mu obraz Wielkiej Stolicy Marsjan.

Potrząsnął głową.

– No, dobrze – powiedział. – Potem pogadamy o mnie. Zresztą pewnie i tak wszystko już wiesz ze sprawozdań, jakie są przesyłana do waszego instytutu. Jak ci się tam pracuje?

Jegorow zamyślił się.

– Jakby ci tu powiedzieć? Prawdę mówiąc, nie bardzo. Gdy po skończeniu studiów nie mogłem lecieć w kosmos przez tę moją wątrobę... Zresztą, pamiętasz przecież.

Oczywiście, to jeszcze szczęście, że jestem geologiem, a nie nawigatorem, jak ty. Inaczej w ogóle marny byłby mój los. Ale i tak nie mogłem wyrzec się całkiem kosmosu. Wstąpiłem więc do tego Instytutu.

Pracowałem. Badałem dane zbierane na Marsie i, wyobraż sobie, odkryłem płaskowyż Akuan.

Teraz łudzę się nadzieją, że uda się przeprowadzić tam pewne badania.

– Oficjalnie? To się nie łudź – powiedział Wasył. – Warunki tam są straszne. W sześciu odkopywaliśmy Wielką Stolicę. Wyobrażasz to sobie? Mieszkało tam kiedyś około miliona Marsjan, budowana jest w głąb na jakieś trzysta-cztery metry, a jaki zajmuje obszar, dotychczas nie wiadomo. Przez dwa miesiące, nie zdejmując skafandrów, łaziliśmy po tych przeklętych mrówczych korytarzach. Po przepracowanej zmianie ledwo człek ma siłę, by doczołgać się do „Moskwy”. Tak, tak, bracie. Opowiedz mi lepiej o swoim płaskowyżu.

Jegorow podrapał się w brodę. Wpatrując się w sufit, zaczął opowiadać: – Pamiętasz, jaką sensację wywołało odkrycie na Marsie pierwiastków nie znanych dotąd na Ziemi? Mimo wszelkich wysiłków, nie udało się otrzymać ich drogą laboratoryjną.

Na Marsie są one skupione w jednym miejscu, w dodatku w ogromnych ilościach. Nazwałem to miejsce „wyżyną akuańską”. Potem udało się dowieść, że nie są to pierwiastki naturalne.

Jak myślisz, co to może znaczyć?

– No, cóż. Jakieś odpadki termojądrowych reakcji... – z niedowierzaniem powiedział Wasyl.

– Słusznie. Odpadki. To bardzo ważne. Marsjanie całą swą cywilizację zbudowali w głębi planety, pod powierzchnią. Powierzchnia była dla nich tylko śmietniskiem na odpadki, jak dla nas w swoim czasie górne warstwy atmosfery lub dna oceanów. Właśnie dzięki tym odpadkom udało cię nam odkryć Wielką Podziemną Stolicę i całą rozgałęzioną sieć ich miast.

– Czyli, że pod płaskowyżem akuańskim znajduje się termojądrowe centrum energetyczne, którego dotąd nikt nie może odnaleźć?

– Nie inaczej. I jeśli to centrum zostanie odkryte, to, sądzę, i dla naszej ziemskiej energetyki będzie tam można coś niecoś sobie pożyczyć. Zwłaszcza biorąc pod uwagę poziom techniki Marsjan. Rozumiesz?

– Zagadnienie ważne i ciekawe. Co prawda, znaleźć, to jeszcze nie wszystko.

Trzeba zrozumieć, jak oni to robili. Ot, odkryliśmy przecież pierwszą pozaziemską cywilizację. I co z tego... No, mniejsza... A co mówi na to twoja władza?

– Po pierwsze, że wyżyna jest ogromna, po drugie, że centrum może okazać się wcale nie pod nią, a zupełnie gdzie indziej, na uboczu. Pociągnęłoby to zbyt wielkie koszty. A po trzecie, łatwiej badać i wywozić obiekty już odkryte, niż poszukiwać nowych. W ogóle to sprawa raczej przyszłości, do licha!

– Tak, sytuacja niełatwa – w zamyśleniu powiedział Wasyl. – Warto by tam poszperać.

Ale sam rozumiesz, że bez oficjalnego pozwolenia... Za duże ryzyko. Teraz mamy, zgodnie z zarządzeniem, czterokrotne ubezpieczenie... A i to...

Umilkł, a po chwili, z wysiłkiem, ciągnął dalej: – Rozumiesz, Sasza, Mars to bardzo dziwna planeta. Nasz Księżyc znam dobrze, brałem udział w lądowaniu na Wenus, nałykałem się tam gazu. Ale to zupełnie co innego.

Na Księżycu, na Wenus przyroda jest groźna, żywioły są dzikie i tak dalej. Ale tam nie jest strasznie. A na Marsie bywa bardzo strasznie. Rozumiesz?

Jegorow patrzył na niego zdumiony.

– Tak, tak. O tym się nie pisze i nawet mówić o tym się nie lubi, niemniej jednak tak to właśnie jest – powiedział Wasyl wzburzony, po czym znów zamilkł.

– Mars jest planetą nienaturalnie spokojną. Mało urozmaicona rzeźba terenu. W głębi planety kryją się gigantyczne miasta. Miasta martwe. Nie pozostał ani jeden Marsjanin.

Znaleziono jedynie miliardy dziwnych, zeschłych skoruppek. Ni to chitynowa otoczka owadów, ni to jakieś ubranie. Przed wyruszeniem do Aiu albo zrzucili te łupinki, albo... i tu właśnie zaczynają niezliczone domysły. Jak dotąd, niczego właściwie nie udało się ustalić na pewno. Maleńcy Marsjanie

wznosili cyklopiczne budowle, wobec których człowiek czuje się jak liliput. Tam jest bardzo trudno pracować, Sasza. Człowieka wciąż dręczy przeświadczenie, że na tej wymarłej planecie ktoś jednak jest...

– Eh, daj temu spokój... – powiedział Jegorow.

– Tak, tak, właśnie, nie uśmiechaj się. Bez przerwy zdaje się, że za plecami stoi ktoś żywy, że przygląda ci się, ocenia cię. I... czeka. Nie wyobrażam sobie nic straszniejszego od tego marsjańskiego wyczekiwania. Tam wciąż ktoś na ciebie czeka. To bardzo nieprzyjemne uczucie.

– No chyba!

– A teraz weź choćby nasze nieszczęsne wysiłki rozwikłania niezrozumiałej, wzrokowo-dotykowej informacji, zapisanej na kryształach Czerwonej Kopuły. Jedyny interesujący wniosek, do którego doszliśmy, to ten, że Marsjanie mają zamiar odejść do Aiu. A co to jest ten Ai? Jak się tam dostanie dwa biliony Marsjan? Nikt nic nie wie. A kto wyjaśni, dlaczego wszystko, co wiemy, dotyczy tylko ostatniego dziesięciolecia ich cywilizacji? Gdzie są ich archiwa? Czy mieli jakieś biblioteki? Jednym słowem, same zagadki.

– Nie rozumiem, czyni się trapisz. Po prostu trzeba nieco czasu na zbadanie tego złożonego i bardzo do nas niepodobnego społeczeństwa.

– Tu nie chodzi o czas, Sasza. Ja podejrzewam, że wielu rzeczy w ogóle nigdy nie zrozumiemy.

– Pewnych szczegółów może i nie zrozumiemy. Ale ogólny zarys zrozumieć możemy na pewno.

– I ogólnie też nie zrozumiemy. Słyszałem, że bracia Disneyowie, którzy zajmowali się badaniem kryształów

Wschodniego Sektora Czerwonej Kopuły, doszli do ciekawego wniosku.

Twierdzą, że sposób myślenia Marsjan jest jakby odwrotnością naszego. U nas ruch jest stanem materii, u nich zaś materia jest przejawem i funkcją ruchu.

– Sam sobie przeczysz – powiedział Jegorow. – Przecież po to, by dojść do podobnego wniosku o sposobie myślenia Marsjan, Disneyowie musieli mieć o ich życiu bardzo dużo szczegółowych wiadomości. W przeciwnym razie takie twierdzenie byłoby ogromnym uproszczeniem.

– Nie. Disneyowie rozporządzali tymi samymi środkami co i my. I z tego właśnie powodu trudno nam odkryć coś nowego. Tylko, że... oni mieli większe szczęście. Wiesz, Sasza, mam takie wrażenie...

Wasył zamyślił się. A w myślach widział wąski, głęboki szyb, którym kosmogeolodzy zjeżdżają do Wielkiej Stolicy, tego labiryntu niezliczonych korytarzy, w których poruszać się można tylko pełzając na brzuchu. Widział Czerwoną Kopułę – olbrzymią sztuczną grootę, całą zalaną purpurowym światłem. I znów ogarnęło go znajome uczucie pełnego trwogi, napiętego oczekiwania.

– Mam takie wrażenie, Sasza – ciągnął dalej Wasył – że na Marsie ktoś kieruje naszymi odkryciami i poszukiwaniami.

– Oczywiście. Akademia Nauk. Rada...

– Nie – przerwał Wasył – nie Akademia... Ja nie mówię o ludziach...

Jegorow zrobił minę, jakby nie rozumiał, o co przyjacielowi chodzi, odwrócił się i zaczął patrzeć na balkon.

– Tak – powiedział Wasył. – Ktoś nami kieruje. Jedne rzeczy podsuwa, inne chowa do pewnego czasu, jednym słowem,

reguluje. Ale osądź sam, Marsjanie wyemigrowali do Aiu około pięć milionów lat temu. Na Ziemi wtedy nawet ludzi jeszcze nie było. A miasta na Marsie zachowały się nie naruszone, wszystko w nich lśni i błyszczą ładem. To nie jest naturalne, rozumiesz? Istnieje drugie prawo termodynamiki, jest entropia, która wzrasta...

Przecież po pięciu milionach lat powinien tam panować chaos! A chaosu tam nie ma. Jest nieskazitelny porządek.

– Do czegoś ty prowadzisz?

Wasył w milczeniu pochylił się ku Jegorowi. A Jegorow z lękiem patrzył w jego poważne piwne oczy. „Może mu się tam na Marsie rozum pomieszał?” – przemknęło mu przez myśl błyskawicą.

– Oni wrócą.

Jegorow roześmiał się z przymusem.

– Coś takiego! Niby gospodarz wyszedł na chwilę i prosi, by goście poczekali?

– Wcale nie. Po prostu gospodarz nie może albo nie chce wracać.

– A może oni opuścili system słoneczny i udali się do tego Aiu?

– A diabli wiedzą, co to takiego ten Ai – w zamyśleniu powiedział Wasył. – Chwilami nawet gotów jestem zgodzić się z Pierowem z Akademii Nauk. On badał te skorupki i uważa, że świadczą o czysto fizjologicznym procesie. Że przejście do Aiu – to śmierć. A może coś w rodzaju „tamtego świata”. Przechodząc do Aiu zdobywa się możliwość nieśmiertelności...

– Ale to już twój osobisty pogląd?

– Nie. Tak właśnie uważali bracia Disney. Zresztą, ten Anhelo Tend, trzeba przyznać chłopak całkiem do rzeczy, pracował razem z nimi aż do czasu, gdy myśmy przylecieli.

Disneyowie już szykowali się do odlotu, gdy nagle spostrzegli, że Tend gdzieś znikł. Szukają, szukają, a Tenda nie ma. Więc odlecieli. A w miesiąc później znaleźliśmy Tenda w jednym z podziemnych korytarzy Czerwonej Kopuły. Był żywy i zdrowy, ale nie mógł odpowiedzieć ani na jedno pytanie. Co się z nim stało, gdzie był, co jadł i pił – nie pamięta.

Trzeba było uczyć go wszystkiego od nowa, opowiadać mu, kim jest, gdzie mieszka i co to takiego Ziemia i ludzie.

Trwało to długo. Ale wreszcie przypomniał sobie... prawie wszystko.

Słowa Nieczyporenki przerwał ostry, przenikliwy dźwięk. Przeszywające wycie wzbijało się prosto ku niebu. Obaj przyjaciele wybiegli na balkon. Wysoko w górze, na tle niepokalanego błękitu nieba samolot odrzutowy kreślił śnieżnobiałą, przerywaną smugę.

– Jakiś nowy model – powiedział Jegorow, osłaniając oczy dłonią.

Ogłuszający dźwięk urwał się równie nagle, jak się przedtem zaczął. Samolot utonął w głębi niebieskiego sklepienia.

– Ależ ryk! – pokiwał głową Wasyl. – A do nas dociera przecież już osłabiony.

Wyobrazasz sobie, jak się tam czuje pilot?

– Pilot ma izolację.

– O czym to ja mówiłem? – spytał Wasyl.

– O Anhelo.

– Ach, tak! No więc, to właściwie wszystko. Powróciliśmy z Marsa, Anhelo pojechał do domu, ale coś mu się tam nie po-

dobało. To przecież kreol z Wenezueli... Teraz postanowił, że zostanie u nas... A to – ciągnął Wasyl – to jest właśnie zwierciadło, które przytaszczyłem dla Oksany. To pamiątka, pośmiertny prezent od Griszki Rogożyna.

– Co? – wykrzyknął Jegorow. – Grigorij nie żyje?

– Nie żyje. Dziwna była ta jego śmierć. Pracował w jednym z „pokoików”, jakich tam, w Czerwonej Kopule, jest bez liku. A piętro wyżej pracowali nasi minerzy. Wybuch przeprowadzili słabiutki, ale zawsze wstrząs jakiś był. Słyszymy krzyk. Pobiegliśmy do Griszy.

Leży z rozbitą głową. Skafander ma zdjęty, twarz zmiażdżona. Ale „pokój”, w którym Grisza pracował, pozostał nie naruszony. Owszem, z sufitu osypało się nieco pyłu, ale okrucy nie były większe niż pół mego paznokcia. Co mogło spowodować tak straszliwy cios, nie dowiedzieliśmy się, oczywiście. Mówiono coś o zwielokrotnionej sile uderzenia podmuchu, o działaniu uderzenia kierunkowego, ale to wszystko zawracanie głowy. I co za pech! Akurat tego dnia Grisza dokonał właśnie wspaniałego odkrycia. Znalazł trupa Marsjanina. Było to odkrycie wręcz wstrząsające.

Przecież przez pięć lat pobytu na Marsie znajdowaliśmy tylko puste skorupki!

Miliardy pustych raczych skorupki, na widok których już się niedobrze robiło! Jak naprawdę wygląda Marsjanin mogliśmy się tylko domyślać. Griszę na rękach nosiliśmy, gdy przyniósł pod pachą ten wspaniale zasuszony okaz. Umieściliśmy go w olbrzymiej puszczy i wysłaliśmy na górę, a w cztery godziny później wyprawiliśmy na górę zwłoki Griszy. Zwierciadło zaś zabrałem sobie.

– Jakie zwierciadło? – spytał Jegorow.

– No, to właśnie – Wasyl wskazał na lustro z Marsa. Ciepłe podmuchy wiatru kołysały nim lekko. – Wisiąło o dwa kroki od trupa Marsjanina i Grigorij zdjął je, a potem ja wziąłem sobie na pamiątkę.

Jegorow uważnie i z żalem popatrzył na kołyszący się owal.

– Przecież to także zagadka – ciągnął Wasyl. – Po co Marsjanom tyle zupełnie jednakowych luster... W każdym mieście jest ich tam setki.

Nagle twarz Wasyla zmieniła się. Wspierając się o poręczę, uniósł się nieco z fotela.

Wzrokiem wpił się w zwierciadło.

– Nie odbija! – wyszeptał.

Jegorow spojrział na lustro. Na pierwszy rzut oka rzeczywiście wydawało się, że niczego nie odbija. Jego powierzchnia była gładka i matowa. Miała taki sam złocistoszary kolor jak jego oprawa. Obaj jednocześnie doskoczyli do zwierciadła i ujrzeli w nim swe własne wzburzone twarze.

– Tfu, co za bzdura – powiedział Jegorow. – Po prostu anizotropowe odbicie¹.

Takiego mi napędziłeś stracha tymi swoimi opowiadaniemiami o Marsie, że teraz będę brał nogi za pan na widok byle jakiego kamyka z Marsa.

– I będziesz miał rację – w zamyśleniu powiedział Wasyl – bowiem ani jedno z marsjańskich zwierciadeł, z którymi mia-

¹ Anizotropia – tutaj zjawisko polegająca na tym, że ciało wykazuje różne właściwości optyczne w różnych kierunkach.

łem do czynienia, nie ma takich właściwości. I to także ich nie miało... póki trzymałem je w walizce.

– Widocznie mój przyjazd podziałał na nie tak korzystnie.

– Możliwe... No, dobra – rzekł Wasyl – reasumując, można by stwierdzić, że choć Mars jest planetą niebezpieczną, to jednak płaskowyz akuański zbadać trzeba.

– Ech, gdybym lak mógł polecieć w kosmos! – machnął ręką Jegorow.

– Nie trap się, bracie – powiedział Wasyl – jak zbudują antygravitator, to polecisz i ty razem ze swoją chorą wątrobą... A nie polecisz, to też niewielkie zmartwienie, pojedziesz sobie do Truskawca pić Naftusię.

Wasyl wyszedł, a Jegorow zbliżył się do zwierciadła. Pomyślał o tych tysiącach Marsjan, którzy się w nim przeglądali i zrobiło mu się nieswojo. Zwierciadło obojętnie odbijało niezbyt urodziwe oblicze Jegorowa, czerwone dachy domów i elektryczny traktor, który warczał w oddali na skraju dużego, zielonego pola. Jegorowi wydało się, że jakiś ledwo dostrzegalny biały nalot pojawił się na lśniącej powierzchni. Dotknął jej dłonią – i aż drgnął ze zdumienia.

Powierzchnia lustra była miękka! Wziął zapalkę i próbował zeskrobać biały nalot.

Zapalka wyryła na zwierciadle niegłęboką zieloną bruzdkę. Jegorow nie mógł się nadziwić.

Obejrzał koniec zapalki. Z wolna rysa na lustrze zaczęła się zaciągać i po kilku minutach znikła bez śladu.

– Ciekawe – mruknął Jegorow przez zęby i przysunął sobie krzesło bliżej lustra.

– Sasza! Sasza! – usłyszał głośne wołanie Nieczyporenki.

Spojrzał na dół i zobaczył, że Wasyl stoi w bramie i wymachuje gazetą. Twarz wykrzywiła mu się bólem.

– Skacz no tu, prędko! – zawołał Wasyl. Jegorow skoczył na wilgotną, miękką ziemię.

Twarz Wasyla, na którą padały złociste promienie letniego słońca, była skupiona i zasepiona.

– Czytaj – powiedział, wskazując mu drugą stronę pisma.

– „Donoszą nam... – zmrużywszy oczy czytał półgłosem Jegorow – ...wczoraj w Bostonie znaleziono ciała... czterech braci kosmologów: Alfreda, Wiliama, Caldera i Jamesa Disneyów...

na ślad mordercy na razie nie natrafiono... zagadkowa śmierć, bez żadnych oznak toksycznego lub fizycznego działania... naukowci eksperci nie mogą dojść przyczyny...” Cóż to znaczy? – spytał Jegorow.

– Czytaj do końca – poważnie powiedział Nieczyporenko.

„Śmierć tych znakomitych badaczy Marsa pozostaje w związku z podanym przez nich przed paru dniami oświadczeniem, że w Wielkiej Stolicy Marsa zostało jakoby odkryte archiwum i klucz do jego odczytania, dzięki czemu zaistniała możliwość odtworzenia sławetnych drzwi do Aiu. Korespondent» Timesa«, Calder Disney, twierdził, że odkrycie to niesłychanie wzbogaci ludzkie możliwości...”

W milczeniu spojrzeli na siebie.

– Masz, to jest Mars! – ze wzburzeniem powiedział kosmonauta. – Na Ziemię wyciągają łapy. Nie chcą ujawnić swych tajemnic.

Jegorow nic nie mówił, a wyczytana wiadomość i jego napełniła lękiem. Dziwna myśl, że Anhelu dopiero co powrócił z

Ameryki, przemknęła mu przez głowę. Zapewne wie o śmierci braci Disney.

– Nie wykluczone, że pewnego pięknego dnia zostanie znaleziony trup Wasyla Nieczyporenki bez żadnych oznak chemicznego, fizycznego czy psychicznego działania – niespodziewanie powiedział kosmonauta, przyglądając się narcyzom, którymi obsadzony był naokoło klomb przed domem.

A Jegorow, patrząc na ślad swojej stopy na brzegu tego klombu, zapytał: – A co o tym wszystkim mówi twój Anheło?

– Jeszcze nie wie o niczym. Zaraz go zawołam. Wasyl poszedł do domu i po chwili ukazał się z powrotem wraz z Tendem.

Piękna twarz Anhela nie wyrażała nic – ani wzburzenia, ani współczucia, ani zmartwienia.

„Obmyśla sobie, jak się ma zachować” – pomyślał nagle Jegorow.

– Cóż za okropna wiadomość. Miałem dla nich wielkie uznanie – powiedział Tend.

Ale twarz jego pozostała niewzruszona. „Może po prostu taki już ma wyraz twarzy lub raczej twarz jego pozbawiona jest wszelkiego wyrazu” – pomyślał Jegorow.

Siedli na ławeczce przy bramie. Oksana ścinała narcyzy.

– Najciekawsze, że giną wyłącznie ci, co pracują w Czerwonej Kopule. Rogożyn, bracia Disney... Kto następny?

– Ja – niespodziewanie powiedział Anheło i uśmiechnął się.

Po raz pierwszy ujrzał Jegorow, jak Tend się uśmiecha: kamienna obojętność jego spojrzenia pozostała niewzruszona, tylko usta wykrzywiał skurcz śmiechu.

– Dlaczego tak myślisz? – spytał Wasyl.

– Bo jeśli opierać się na twojej teorii, że Marsjanie kryją przed nami swe tajemnice, to teraz moja kolej. Bracia Disney rozszyfrowali ich archiwum – i zginęli. Grisza znalazł mumię – i zginął. A ja... Przedtem gdy ja... gdy nastąpił u mnie ten zanik pamięci... Widziałem przecież pokój, w którym znaleziono Griszę. Był tam i zasuszony Marsjanin, i zwierciadło, a także cała masa maleńkich krzyżyków na ścianach, na suficie...

– Jakich krzyżyków?

– A bo ja wiem? Wszedłem tam z latarnią, ale latarnia mi zgasła. Wziąłem więc dwa końce baterii i za pomocą uchwytu do grafitu spowodowałem maleńki łuk wolty. Ujrzałem na podłodze tego Marsjanina, zwierciadło, a na ścianie i suficie jakieś iskierki, podobne do krzyżyków. I w tej właśnie chwili mój łuk zaświecił niezwykle jasno, zapewne zbyt zbliżyłem do siebie elektrody.

Anhelo mówił jakoś niechętnie, zupełnie jakby go coś powstrzymywało.

– No i co? – z zaciekawieniem spytał Jegorow.

– Rozległ się hałas. Ogłuszający hałas, taki, jaki wydaje startujący samolot.

Łuk wolty zgasł i zrobiło się cicho. Wydostałem się z tego pomieszczenia i trochę błądziłem po korytarzach.

Według mnie, nie trwało to dłużej niż dwie godziny. A gdy spotkałem twoich ludzi, Wasia, powiedzieli mi, że miesiąc już minął, jak zaginałem, że grupa Caldera ukończyła już swe prace i odleciała na Ziemię.

Milczeli długą chwilę. Oksana, przechodząc koło nich, rzuciła każdemu po kwiatku na kolana.

– A pana dane?... Czy był pan potem jeszcze raz w tym pokoju? – spytał Jegorow.

– Oczywiście. Ale nie widziałem tam już żadnych krzyżyków.

– No, dobra, chłopcy – powiedział wstając Wasyl. – Muszę już iść. Sprawami Marsa nie warto zbyt się zajmować i przejmować na Ziemi. Umówiłem się z kimś.

Jegorow wrócił na balkon. Oksana i Anhelu pozostali w ogrodzie i rozmawiali o czymś półgłosem. Jegorow położył się na tapczanie, a nachyliwszy odpowiednio zwierciadło, zaczął przyglądać się Oksanie. Wydało mu się, że Anhelu jakoś już zbyt blisko przysuwa się do ramienia dziewczyny. Jegorow rzucił w lustro narcyzem. Sam zresztą nie wiedział, dlaczego to zrobił.

Z tyłu rozległ się krzyk. Osłupiały Jegorow wypuścił zwierciadło z rąk i obejrzał się. Anhelu i Oksana spadli z ławeczki i leżeli na wznak na kwiatkach klombu. Usiłowali się podnieść, ale jakoś im to nie szło i tylko kręcili się dość nieporadnie. Jegorow zeskoczył z balkonu.

„Drugi skok jednego ranka, to zaczyna być czymś naturalnym” – pomyślał, pomagając wstać dziewczynie i Tendowi.

– Co się stało? – spytał Jegorow.

Oksana była zmieszana i roztargniona. Na policzku czerwienił się ślad draśnięcia. Jegorow poczuł w powietrzu ostry, nieprzyjemny zapach.

– Coś nas popchnęło – odparł po chwili namysłu Anhelu. – Jakby obłok spadł na nas.

Obłok zapachu. I natychmiast gdzieś znikł.

– Nie, nie obłok, a sufit. Jakby gliniany sufit spadł na nas i... ten dziwny zapach... podobny do zapachu śmieci, jakiejś zgnilizny – powiedziała Oksana.

– Nie potłukłaś się? – zatroszczył się Jegorow.

Pokręciła głową przecząco. Jegorow rozglądał się wokoło. Ale prócz pogniecionych kwiatów na klombie nic specjalnego nie zobaczył.

Zapach z wolna rozwiewał się. Z początku ostry, ohydny aż do mdłości, stawał się coraz słabszy, coraz łagodniejszy. „Zmniejsza się nasilenie” – pomyślał Jegorow.

Wiedział przecież, że zapach nawet najpiękniejszych perfum, gdy jest zbyt silny, staje się przykry.

Wdychając delikatną, ledwie już teraz wyczuwalną woń, usiłował uświadomić sobie, co tak pachnie. I nagle zrozumiał: „Narcyzy!”

Spojrzał na balkon. Niejasne przypuszczenie przemknęło mu przez myśl. Spojrzał na Anhelę i zobaczył, że on także patrzy na balkon, na niezwykle zwierciadło. Jegorowa uderzył wyraz twarzy młodego uczonego: tak patrzy się na przedmiot długiego, starannie skrywanego pożądania.

– Więc pani nie ma już tego zwierciadła? – zapytał Oksanę wzburzony Tend.

– Zwierciadła? Jakiego zwierciadła? Ach, tego! Pożyczyłam je na dziś chłopcom – spokojnie odpowiedziała zdziwiona dziewczyna. Ona również zauważyła niepokój Tenda.

„Co to wszystko znaczy?” – pomyślał Jegorow. Ale uwagę jego odwrócił hałas, który rozległ się za bramą.

Na podwórko weszła Olga Pantelejewa z Pawiczem. Była w gumowych butach i skórzanej kurtce. Gniewnie mówiła do Pawicza.

– A ja ci powiadam, że on był pijany, rozumiesz, pijany!

W jednym ręku Pawicz trzymał starą wytartą teczkę z metalowym zamkiem pośrodku, w drugiej drewnianą, metrowej długości pałkę.

– Ta przecież to dowód rzeczowy, Olu – powiedział Pawicz, potrząsając pałką.

– Co się stało, mamó? – spytała Oksana, podchodząc ku nim.

Z całej masy wykrzykników i szczegółów niezupełnie na temat Oksana i Jegorow z trudem wyłuskali wreszcie, o co chodzi. Otóż, obchodząc pola, Olga Pantelejewa i Pawicz natknęli się na głęboką bruzdę, biegnącą na przełaj przez ozimą pszenicę. Idąc śladem połamanych kłosów i zrytej ziemi dotarli aż do traktorzysty Kociubenki, który siedząc obok swego traktora, z osłupieniem wpatrywał się w tę, przerywnąjącą niby szeroka miedza zielone pole, bruzdę. Na pytanie Olgi Pantelejewny i Pawicza Kociubenko zaczął pleść duby smalone.

Twierdził, że z nieba spadła wielka dębowa pała i sama przeszła przez pole, pozostawiając po sobie tę szramę.

Kij, który Pawicz właśnie trzymał, to kawałeczek owej pały.

Z początku – opowiadał Kociubenko – wryty rów był głęboki, chyba na trzy metry.

Potem jednak stawał się coraz płytszy, jakby zarastał, kłosa pszenicy prostowały się i w chwili gdy nadeszła Olga Pantelejewa i Pawicz, pole przecinała już tylko niewielka bruzda, którą oni wzięli za ślad po traktorze. Ten czyn pijanego traktorzysty – a Kociubenko naprawdę był pijany – wywołał pełne goryczy oburzenie Olgi Pantelejewny.

Jegorow zamyślił się. Po chwili spostrzegł, że Anhela nie ma razem z nimi.

Najwidoczniej musiał odejść niepostrzeżenie.

Otwierając drzwi do gabinetu Wasyla, Jegorow był przekonany, że zastanie tam Tenda. Ale w pokoju nie było nikogo.

Jegorow wyszedł na balkon. Kreol stał plecami, zwrócony do Jegorowa i dotykał złocistoszarej oprawy lustra cienką, czarną pałeczką. Drugi koniec przyłożył sobie do ucha. Miało się wrażenie, że osłuchuje chorego. W majowym powietrzu unosiło się głuchoe buczenie.

– Anhelo! – zawołał Jegorow.

Tend odskoczył od zwierciadła jak oparzony. Spojrzał prosto w oczy Jegorowa. Był to wzrok straszny, bezlitosny...

Gdy Oksana weszła do gabinetu brata, posłyszała słaby, żalospny jęk. Dochodził spoza oszklonych drzwi balkonu. Dziewczyna przybiegła i zobaczyła Jegorowa, leżącego na podłodze za stertą skrzynek do kwiatów i sadzonek. Pomogła mu dobrnąć do tapczanu. Po paru chwilach Jegorow otworzył oczy.

– Poszedł?

– Kto?

Jegorow nie odpowiedział. Zmęczonym i nieobecny w wzrokiem patrzył na dziewczynę.

– Co panu jest? – spytała zaniepokojona Oksana. – Może wezwać lekarza?

– Lekarza? – powtórzył Jegorow. – Nie, nie potrzeba lekarza. Jestem zupełnie zdrow. To od słońca. Już dawno nie przebywałem tyle czasu na słońcu. Z uwagą przyglądał się swej dłoni.

– Oksano, więcej niż inni, może oprócz Wasyla, rozmawiałaś z Anhelo. Co o nim sądzisz?

Dziewczyna zarumieniła się leciutko.

– Nie wiem, jest bardzo piękny...

– Tylko tyle?

– Według mnie, to bardzo chłodny i dziwny człowiek.

Jegorow nieoczekiwanie uśmiechnął się i usiadł na tapczanie.

– Masz rację, Oksano... No, muszę natychmiast zobaczyć się z Wasylem. Gdzie on jest?

– Wozi Walę swoim autolotem. Gdyby wam dziś rano przyszło do głowy zatelefonować do nas ze stacji, nie musielibyście brnąć Wołgą po błocie.

– Skądże mogłem wiedzieć, że Wasyl ma własny autolot! A nie ma tam przypadkiem telefonu?

– Jest. Ale czy warto im przeszkadzać? I tak im ciężko. Mama nie lubi Wali.

Uważa, że Wasia powinien mieć inną żonę.

– Jaką? Marsjankę?

– No nie, ale coś w tym rodzaju – zaśmiała się Oksana.

Jegorow zamyślił się na chwilę.

– Oksano, moja droga, muszę zobaczyć się z Wasylem natychmiast, w tej chwili.

Jak się do niego telefonuje?

– O, przecież to oni! – Oksana wskazała ręką horyzont.

– Gdzie? Gdzie? – Jegorow starał się dostrzec błyszczący punkcik nad polami.

– Pewnie słońce razi was w oczy – powiedziała Oksana i ująwszy Jegorowa za ramiona obróciła go i powiedziała: – Patrzcie więc w lustro. Tu też ich widać. Ot, ten błyszczący punkcik.

– Gdzie?

– Święty Panie, no przecież tu! – i Oksana tknęła palcem w zwierciadło.

– Ostrożnie! – krzyknął Jegorow, chwytając rękę dziewczyny.

Ale było już za późno. Opalony palec lekko musnął zwierciadło w tym miejscu, gdzie widać było kropkę autolotu. Oksana pobladła i szybko cofnęła palec.

– Aj! – zawołała, trzepiąc ręką. Na palcu pojawiła się kropka krwi, skóra na poduszeczce palca była lekko zdarta.

– Prędzej, prędzej samochód! – krzyknął Jegorow. – Tam katastrofa!

Podbiegł do poręczy balkonu i przesadził ją jednym sussem. „Narcyzy dostały dziś szkołę! – pomyślał przelotnie. – Trzeci raz” ...

– Oksano! – zawołał z dołu. – Zakryj czymś zwierciadło i niech się nikt niczym do niego nie dotyka!

Dziewczyna, ssąc oparzony palec, ze zdumieniem patrzyła na Jegorowa, który z niezwykłym pośpiechem wskoczył na motocykl. Jej również udzielił się niepokój geologa.

Spojrzała na widnokrąg. Autolotu Wasyla nie było.

Gdy Jegorow, podskakując na nierównościach, przybył na miejsce katastrofy, stał już tam jakiś samochód. Upadek autolotu zauważył miejscowy agronom. Właśnie przed chwilą wysiadł ze swego wozu i zamaszystymi krokami szedł przez pole. Jegorow dopędził go i pośpiesznie poszli razem.

Po kilku krokach zatrzymali się. Autolot leżał na świeżo zoranej ziemi.

Chłodnicę i przezroczystą pokrywę nadwozia oblepiały pasma jakiejś brudnożółtej materii, na której zasychały ciemnoczerwone plamy krwi. Boki i szyby autolotu zbryzgane były drobnymi czerwonymi kroplami. Przewyciężając przerażenie, Jegorow przyskoczył do maszyny i otworzył jej drzwiczki.

Wasył, który siedział przy sterach, wypadł mu wprost pod nogi. Razem z agronomem dźwignęli kosmonautę, który był jakiś niezwykle ciężki, i położyli na ziemi.

Wynieśli też z autolotu wysoką, pobladłą dziewczynę, o wpół przymkniętych niebieskich oczach.

Agronom rozpiął kołnierzyk i przyłożył ucho do piersi Nieczyporenki. „Miałeś rację, Wasia – myślał Jegorow, patrząc w sinobladą twarz przyjaciela – Mars ma długie ręce...”

– Bije! – zawołał ucieszony agronom.

Ukląkł przy głowie Wasyla i wykonał kilka rytmicznych ruchów sztucznego oddychania.

Jegorow zajął się dziewczyną.

„Ale skąd tyle krwi? – myślał z napięciem. – Wcale przecież nie są ranni”.

Nagle przypomniał sobie amarantową kroplę na palcu Oksany i gniewnie potrząsnął głową, odganiając zwariowaną, niedorzeczną myśl. Wala westchnęła ledwo dosłyszalnie.

– Wala! Wala! – zawołał Jegorow.

– Patrzcie! – wykrzyknął agronom.

Jegorow popatrzył przede wszystkim na niego. Zobaczył czerwoną jak burak twarz, niebieskie wytrzeszczone ze zdumienia oczy w siatce zmarszczek i ogorzałą rękę, wyciągniętą w stronę autolotu.

Nie było już ani krwawych bryzgów na szkle, ani dymiącej kałuży krwi pod maszyną.

Wszystko znikło. Na masce niewyraźnie widać było skraweczek owej materii, która przed chwilą pokrywała cały autolot.

– Ki diabeł! – wykrzyknął Jegorow i podbiegłszy schował ów kawałeczek do kieszeni.

W tej chwili Wasyl otworzył oczy i jęknął.

– Wału! – wyszeptał.

Kłopoty z kosmonautą i jego narzeczoną, wezwanie doktora, długie wyjaśnienia i debaty z bliskimi – zajęły całą resztę dnia. Wreszcie, nie zważając na jego głośne protesty, ułożono Wasyla do łóżka i dano mu herbaty z konfiturami. Obłożony poduszkami, wściekle błyskał oczami i na świadków, że jest zdrow, cały i w ogóle leżeć ani myśli, wzywał wszystkie konstelacje gwiazdne całego wszechświata. Ale Oksana i matka, które siedziały po obu stronach przy jego łóżku, były nieubłagane.

– Ależ zrozumcie, przecież nic strasznego się nie stało! Autolot leciał nad polem na wysokości paru metrów. Potem coś nas stuknęło i straciliśmy przytomność. Ot i wszystko. I nie ma najmniejszego sensu aplikować mi teraz porcję łóżka według ostatnich przepisów kosmonautycznej profilaktyki!

– Powiedziałam, że po moim trupie – powtarzała Olga Pantelejewa, przytrzymując wyschniętą dłonią ramię syna.

Oksana i Jegorow popatrzyli na siebie i roześmieli się. Jegorow poszedł na górę, na balkon.

Czuł się potwornie zmęczony. Słońce już zaszło, ale niebo było jasne i płonące.

Wieś okrywały głębokie, wieczorne cienie.

Jegorow wyjął skrawek nieznannej materii, który zdjął był z autolotu. Był to teraz całkiem malusieńki kawałek. Jegorow wyrównał go i spojrzał pod światło. Skrawek był z lekka przejrzysty.

– Skóra! Ludzka skóra! Skóra z palca Oksany! – powiedział półgłosem do siebie.

Wasył już słodko drzemał na swych poduszkach, gdy ktoś pociągnął go za rękę. W srebrzystej poświacie księżyca zobaczył postać przyjaciela. Jegorow stał z palcem na ustach.

– Cśś... – powiedział. – Możesz chodzić?

– Mogę. A co się stało? – spytał zrywając się Wasył. – Czy coś z Wałą?

– Z Wałą wszystko w porządku. Chodź ze mną.

Jegorow poszedł naprzód, stąpając ostrożnie. W domu panowała cisza. Szpara pod drzwiami pokoju Olgi Pantelejewny świeciła pomarańczową smugą światła.

Jegorow zaprowadził przyjaciela do jego gabinetu na drugim piętrze. W niezbyt jasnym świetle stojącej lampy siedział tam jakiś nieznajomy.

– Kapitan Samojlenko – przedstawił się, wstając.

Wasył uścisnął wyciągniętą dłoń.

– Towarzysz kapitan przyjechał, by aresztować Tenda – powiedział Jegorow. – Anheło zamordował braci Disney, przywłaszczył sobie ich materiały i zbiegł.

– Co? – Wasył wyprostował się cały. – Czy ty rozumiesz, co mówisz?

– Rozumiem. Nie ma ani chwili do stracenia. Towarzysz kapitan miał szczęście, że przybywszy tutaj od razu natknął się na mnie. Tend to niebezpieczny przestępca.

– Amerykanie zwrócili się do nas z prośbą o zatrzymanie mordercy czterech znakomitych badaczy Marsa – powiedział Samojlenko.

– Ale dlaczego on to zrobił? – zawołał Wasył.

– Władza nad ludźmi, złoto... a zresztą, diabli go wiedzą, po co – powiedział Jegorow.

– Muszę przeprowadzić rewizję. Czy chcecie być przy niej obecni?

Wasył, wciąż jeszcze nie rozumiejąc, o co chodzi, skinął twierdząco głową. – A gdzie jest Tend?

– Poszedł z Oksaną do kina – powiedział Jegorow.

Wasył w milczeniu spuścił głowę i zagryzł wargi. – Idźcie wy obaj. Ja tu zostanę – powiedział. W jakieś dziesięć minut później Jegorow i Samojlenko wtaszczyli do gabinetu dużą żółtą walizę.

– Tu są wszystkie notatki Caldera – powiedział Jegorow.

Twarz poczerwieniała mu z wysiłku.

– To wszystko trzeba będzie skonfiskować – poważnie powiedział Samojlenko.

Wyjął ze swej teczki arkusz papieru i ze skupionym wyrazem twarzy, zagryzając nieco usta, przystąpił do sporządzania protokołu. Potem wziął do ręki fotograficzny mikroaparat.

Na wszystko, co się działo, Wasył patrzył jak we śnie. Zdawało się, że znaczenie słów nie docierało do niego.

– Po co mu to było potrzebne? – szeptał. – Po co?

– Jak to, po co? – niecierpliwie powiedział Jegorow, podtykając przyjacielowi pod nos cały plik fotografii. – Oto są owe krzyżyki, dzięki którym Calder odczytał zapis ostatniego Marsjanina. Patrz, widzisz te niezliczone wzory? Właśnie według nich Calder ustalił, gdzie znajdują się ostatnie otwarte drzwi do Aiu. Rozumiesz?

– No dobrze, przypuśćmy, że takie drzwi rzeczywiście są na Marsie i działają – powiedział Wasył, przyglądając się uważnie, jak Samojlenko wyjmuje i fotografuje ciężkie czerwone kryształy. Wasył znał je doskonale: całymi tysiącami wyłuskiwali je ze sklepienia i ścian Czerwonej Kopyły.

– Nie! Wcale nie! – krzyknął Jegorow. – Przecież te drzwi mogą być granicą antyprzestrzeni. Mogą posiadać zupełnie niezwykle właściwości...

– No, dobrze – przerwał mu Nieczyporenko – powiedzmy, że to jest właśnie tak.

Ale przecież Disney nie miał tych drzwi ze sobą, wiedział tylko o nich. Drzwi zostały na Marsie, trzeba je dopiero znaleźć. Po cóż więc Anhelu miałby zabijać...

– Cóż za głupiec ze mnie! – powiedział gwałtownie Jegorow. – Nie wiesz przecież najważniejszego.

Zerwał się z krzesła.

– Chodź, niech on sobie tu dalej fotografuje, ma jeszcze sporo roboty! – powiedział Jegorow, wskazując na Samojlenkę który fotografował wszystko, co znajdowało się w walizce.

Wasył niechętnie wyszedł na balkon. Jegorow podprowadził go do tapczanu, nad którym wisiało zwierciadło z Marsa. Jego złocista ramka świeciła chłodnym, iskrzącym się blaskiem.

– Dotknij – szepnął Jegorow.

Wasył dotknął oprawy i szybko cofnął rękę.

– A co, gorące? – zaśmiał się Jegorow. Wyglądał na bardzo zadowolonego ze wszystkiego, co się wydarzyło.

– Nie, nie gorące, tylko...

– Parzy? Tak, tak – Jegorow bardzo był przejęty.

Chciał jak najprędzej podzielić się posiadaną tajemnicą. – Ale to jeszcze nie wszystko – powiedział. – Popatrz w lustro, co tam widzisz?

– Cóż mam widzieć? Noc, sierp księżycy, chaty – niepewnie wyliczał Wasył.

– Tak. A ot, tu? Takie ciemne, podłużne. Co to jest?

Nieczyporenko uważnie spojrział w lustro.

– Sterta słomy.

– Sterta? Doskonale, znakomicie!

Jegorow wyszedł i po chwili wrócił, niosąc szklanę wody. Postawił ją na tapczanie i wyjął z kieszeni zapalniczkę. Trzask! – i kopący języczek ognia słabo zaświecił w ciemnościach nocy.

Zapachniała benzyna. Jegorow przytknął płomyczek do zwierciadła w tym miejscu, gdzie ciemniała podobna do gąsienicy sterta słomy, po czym odjął zapalniczkę.

Wasył krzyknął. Nie mógł oderwać oczu od zwierciadła. Odbicie sterty słomy paliło się.

Jegorow ujął Wasyla delikatnie za ramiona i obrócił twarzą ku wsi.

Na widnokręgu buchały w niebo płomienie. Jaskrawopomarańczowe języki ognia były widoczne wyraźnie nawet z tej odległości. Nad nimi, rozplywając się z wolna w mrokach nocy, unosiły się sine kłęby dymu. Czerwone pasma kładły się na ziemi.

– Coś ty narobił?!

– Spokojnie! – powiedział Jegorow. Nabrał w usta wody ze szklanki i cienką stróżką prysnął na lustro.

Wasył usłyszał daleki syk, płomienie na widnokręgu buchnęły raz, drugi i zgasły.

Oświecone księżycowym blaskiem kłęby pary uniosły się w górę.

– Wystarczy, bo można by spowodować powódź – dobrodusznie powiedział Jegorow.

– To ono? – cicho spytał Wasył, wskazując na zwierciadło.

– Tak, bracie, to ono – skwapliwie potwierdził Jegorow. – Jedyne nie zamknięte jeszcze drzwi do Aiu. Na Marsie były nieczynne, a w Muzykowce, jak widzisz, zaczęły działać.

Znaleziony przez Rogożyna Marsjanin nie zdążył ich zatrzasnąć. I w ten sposób, przez pięć milionów lat pozostały na wpół uchylone. A może nie milionów? Anhelu postanowił wykorzystać je dla swych własnych ciemnych celów. Teraz rozumiesz, dlaczego po zabiciu braci Disney, zawitał do ciebie? Widziałeś ten pożar? A wiesz, że to palec Oksany z siłą tysięcy mechanicznych koni uderzył w twój autolot i strącił was na ziemię? Niechcący, oczywiście.

Zdajesz sobie sprawę, co to za siła, co za potęga?

Wasył zrozumiał wszystko. Łańcuch poszczególnych wydarzeń zamykał się w logiczne koło.

– Ależ to odkrycie! – szepnął, klepnąwszy Jegorowa po ramieniu. – Udało się uchwycić wreszcie marsjańskiego diabła za ogon!

– No, to teraz prędzej go chrzczijmy, chrzczijmy, tego wrażego syna! – zawołał Jegorow.

Obaj przyjaciele powrócili do gabinetu.

– Dużo jeszcze macie do roboty? – zapytał Jegorow kapitana.

– Zaraz kończę.

Wasył siedział posępny.

– Co ci jest? – zawołał Jegorow. – Powinieneś się cieszyć! Takie odkrycie!

– Nie wiem. W żaden sposób nie mogę zrozumieć, jak kosmonauta mógł zrobić coś podobnego. Przecież Tend nie pierwszy rok lata na planety.

– Nareszcie! – z ulgą westchnął Samojlenko i usiadł na krześle, nastawiając aparat fotograficzny na Jegorowa i Nieczyporenkę. – Jeszcze ostatni dowód rzeczowy. Dla mnie oświadczenie na pamiątkę.

– Nie, nie! – zamachali rękoma. – Po co, na co!

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do pokoju wszedł Tend. Spojrzał na siedzących, na otwartą walizkę, na skórzane pasy z błyszczącymi klamrami, które przypominały wyschnięte skórki żmij, na kryształ, na aparat fotograficzny, na notatki – i wszystko zrozumiał.

Wasył patrzył na Anhelę przeciągle, wzrokiem pełnym głębokiego smutku. Jegorow spojrzał porozumiewawczo na Samojlenkę. Kapitan z tęsknym wyrazem twarzy wyjął czerwoną książeczkę i położył ją sobie na kolanie. Ale nie wstał z krzesła.

Tend na nikogo więcej nie raczył już spojrzeć. Wyszedł na balkon. Pozostali w gabinecie wymienili spojrzenia. Zdawało się, że to, co miało teraz nastąpić, bawiło ich.

Anhelo wrócił, niosąc zwierciadło z Marsa. Ustawił je, z lekką skośnię, na podłodze. Następnie wyjął czarną pałeczkę i powiódł nią po złocistej ramie lustra. Rozłogi się oddalony, brzęczący odgłos, jakby gdzieś wysoko w niebie leciał odrzutowy samolot. Tend wziął ze stołu paczkę fotografii i z rozmachem cisnął ją w zwierciadło. Fotografie znikły. W ślad za nimi poleciały kryształy z Czerwonej Kopyły, notatki, szpule z magnetofonową taśmą, dziennik braci Disney i cała żółta walizka ze swymi podobnymi do żmij rzemieniami. Wszystko znikło bezgłośnie.

„Dlaczego siedzimy beczynnienie?” – z przerażeniem pomyślał Jegorow.

Tend podszedł do lustra i obejrzał się poza siebie.

Jegorow poczuł, że świadomość wymyka mu się jak śliska pestka arbuza. Straszliwy ciężar zwałił mu się na głowę, pochylając ją na piersi. „Zaraz mi pęknie” – pomyślał ze strachem.

Najdłużej opierał się Samojlenko. W ostatniej chwili, gdy Tend zaczął już rozwiewać się w powietrzu, tracąc normalne kształty, kapitan usiłował zerwać się z krzesła. Ale Tend obejrzał się i Samojlenko opadł ciężko z powrotem. Cichutko szcękniętą jego fotograficzny aparat.

– Nie zabijałem braci Disney... Oni... – głos Anhela osiągnął najwyższe tony i urwał się.

Kapitan Samojlenko słusznie był bardzo dumny: było to jedyne zdjęcie żywego Marsjanina.

Troje oczu umieszczonych na wierzchołkach równobocznego trójkąta patrzyło z nieziemską, namiętną siłą. Były bardzo głębokie i nieskończenie mądre.

Jegorow wziął w rękę połyskujący szary owal. Lustro obojętnie odbijało otaczające przedmioty. Ostatnie drzwi do Aiu zostały zatrzaśnięte. Ale – czy na długo?

Przełożyła Katarzyna Witwicka

Michał Jemcew i Jeremi Parnow

CZCICIEL SŁOŃCA

I

Frank zatrzymał się przed masywnymi drzwiami, obitymi czarną skórą. Skromna i surowa miedziana tabliczka z napisem „J.E. Hughes, Redaktor Naczelny Daily Express” pociemniała od starości. Frank spojrzął na zegarek – była za trzy minuty dziesiąta.

Szef umówił się z nim równo na dziesiątą. Frank usiadł w skórzanym fotelu: – Dobrze, posiedzę trzy minuty w poczekalni.

Frank, czyli Francis O’Neuilly, był zastępcą kierownika działu naukowego. W redakcji uważano Franka za dziwaka, ale odnoszono się do niego z szacunkiem. Nie istniały dla niego żadne inne sensacje prócz naukowych. Gotów był poświęcić całą kolumnę na artykuł o badaniach właściwości DNK, czy na komunikat o odkryciu antyhyperonu. W ciągu dziesięcioletniej pracy w gazecie Frank poznał wielu sławnych uczonych. Byli wśród nich młodzi fizycy, którzy niedawno zostali członkami Akademii i laureaci Nobla okryci już siwizną. Ale za każdym razem, gdy czekało go spotkanie z człowiekiem nauki, ogarniało Franka uczucie pokornej nieśmiałości i radosnego oczekiwania.

Frank śledził wszystko, co miało jakiś związek z zagadnieniami mikroświata, czy paralaksami czaso przestrzeni, projektami zmiany klimatu Ziemi, czy też tajemnicami genetyki. Był przy tym doskonałym popularyzatorem. Nie rozrabiał materiału, jak manną kaszkę na talerzu, nie oblewał go soczkiem

malinowym. Nienawidził wulgaryzacji i nie cierpiał krzykliwego dyletantyzmu naukowych terminów. Artystyczny obraz, kontakt z czytelnikami i wiara, że właśnie jego artykuł jest najważniejszy ze wszystkich trzydziestu dwóch szpalt gazety – to był główny oręż Franka.

Jednak wielu uważało go za dziwaka. Gdy rosyjski kosmonauta po raz pierwszy w dziejach świata pomyślnie poleciał w kosmos, Frank był w Moskwie. Inne dzienniki drukowały wywiady z bohaterem, jego biografię, fotografie żony i matki, opisywały dokładnie powierzchowność i wstydlivy uśmiech kosmonauty. A Frank posyłał do „Daily Expressu” telefonogramy o znaczeniu lotu dla przyszłości, o niezwyklej precyzji oddzielania się stopni rakiety, o teletrycznej aparaturze.

Szef ciskał gromy.

Ale o dziwo, „Daily Express” rozprzedano i to bardzo szybko. Przecież w tym czasie wszystkie gazety były do siebie podobne: te same fotografie, takie same artykuły, a tylko artykuły Franka dostarczały czytelnikowi nowych szczegółów, na które z taką niecierpliwością czekał.

Szef uśmiechał się i ssał cukierki.

– Macie dziwaka – mówili koledzy i z wieloznaczącym uśmiechem zaciskali usta.

Frank spojrział na zegarek, wstał i otworzył drzwi.

– O! Frank, mój drogi, czekam na pana. Proszę, niech pan siada.

Ten różowolicy, zupełnie łysy tłuścioch wygląda jak wielkie niemowlę – takie porównanie przychodziło Frankowi na myśl za każdym razem, kiedy siedział w gabinecie szefa.

– Nie chce pan? – Hughes podał Frankowi otwartą puszkę cukierków.

– Dziękuję panu – Frank ostrożnie podchwycił bursztynową, przylepiającą się do palców rybkę i włożył ją do ust. Hughes wpakował sobie do paszczy całą garść.

– Oczekuję od pana sensacji, Frank, prawdziwej sensacji. Może pan się domyśla, jakiej?

– Mam akurat doskonały materiał o doktorze Madawarze. On...

– Kto to taki?

– Biolog, laureat Nobla.

– Nie pójdzie. To żadna sensacja. Trzeba mi czegoś takiego – Hughes usiłował strzelić swoimi pulchnymi, jak różowe kiełbaski, palcami – jakby to panu powiedzieć...

Trzeba, żeby gazeta wyszła minimum w potrójnym nakładzie!

– Niedawno tak właśnie było.

– Zupełnie słusznie, ale to zawdzięczałem rosyjskiemu lotnikowi, a teraz chcę to zawdzięczać swojemu współpracownikowi – na twarzy Hughesa ukazały się grube fałdy.

Frank odpowiedział mu chłodnym, grzecznym uśmiechem. Hughes wstał i komicznie kołysząc się na krótkich nóżkach przeszedł przez cały gabinet – do mapy.

– Olśniła mnie pewna idea, Frank. W swoim czasie „New York Herald” wysłała Stanleya do dżungli afrykańskiej. Gazeta potroiła nakład, a Belgia otrzymała Kongo. Niedawno „Daily Mail”

posłała Ralfa Issarda na poszukiwania śnieżnego człowieka. Naprztykali fotoaparatami komunistyczne Chiny. Yeti

oczywiście nie znaleźli, ale gazeta wychodziła w zdwojonym nakładzie.

– Nie mówiąc już o tym, że chłopcy z satyrycznych pism mieli okazję zarobić...

– Tak, tak, Frank, właśnie tak. Ale jeśli pan pozwoli, będę mówił dalej. A więc...

no co tu dużo mówić! Jednym słowem, Frank, pojedzie pan na Saharę.

– Gdzie?

– Na Saharę. Zaraz panu wszystko wytłumaczę. Nie chcę, żeby pan tam coś odkrywał, wcale nie. Ważne, że pan pojedzie... Pojedzie pan jeepem we dwójkę z szoferem. On jest jednocześnie radiotelegrafistą. A my tu będziemy z niepokojem śledzili wasz los – plecy szefa zatrzęsły się od śmiechu, zupełnie jak stężona galareta.

– Ale dlaczego właśnie tam, dlaczego na pustynię?

– Przypominam sobie, że pan niedawno dał materiał o hipotezie pewnego naukowca.

Zdaje się, że to było o tektytach?

– Tak jest.

– No właśnie. On twierdzi, że jeszcze przed Adamem istniał kosmodrom, czy coś w tym rodzaju. No więc pojedzie pan sprawdzić tę hipotezę. Dobrze?

– Nie wiem, jak to tam będzie z nakładem, ale nawet jeśli wzrośnie, będzie pan to znów zawdzięczał Rosjanom. Oni dużo pracowali nad pochodzeniem tektytów.

– Nie tylko im. Nie tylko. Panu także, Frank. Przecież będziemy z niepokojem śledzili pański los.

– Wątpię, czy nawet najlepsza ekspedycja potrafi potwierdzić lub obalić tę hipotezę...

Bardzo wątpię.

– Wcale nie o to chodzi. Yeti też nie znaleźli. Nawet poszukiwania Livingstona były tylko pretekstem.

– Pretekstem do czego?

– Do businessu, Frank. Mogą to być nowe kolonie, lub prestiż gazety.

– No tak, ale teraz...

– Teraz jeden warunek. Żadnych wrażeń z podróży, żadnego miejscowego kolorytu.

Materiał zacznie pan nadawać po przybyciu na pustynię. Tylko tektyty, tylko starożytne znaleziska i wszelkie szaleńcze hipotezy.

– Sir!

– Żartuję, Frank. Materiał będzie odpowiednio opłacany. Po powrocie dwumiesięczny urlop.

A teraz niech pan idzie do Patricka. On załatwi wszystkie formalności. Aha... kiedy wszystko będzie gotowe, niech pan wpadnie pożegnać się.

II

Jeszcze parę godzin temu termometr wskazywał sześćdziesiąt. Lecz słońce zaszło i nad pustynią zapanowała straszna, zimna noc. Bez wiatru, bez szmeru. I tylko nieruchomo błyszczą gwiazdy, odbite równą lśniąca powierzchnią, pokrytą kryształkami gipsu. Czasem zaszeleści skorpion lub zaświszczy jaszczurka.

Frank stał przed wejściem do namiotu i pykał swoją nieodłączną fajeczkę ze szkockiego wrzosu. Jego wysoka, szczu-

pła postać rzucała czarny cień, zniekształcony przez zastygłą, zmarszczoną powierzchnię piasku.

Wszędzie piasek – myślał Frank – natrętny, dokuczliwy piasek, wpadający w oczy, zgrzytający w zębach. A przecież nie jest bez pożytku. – Myśli Franka powędrowały na południe. Tam, gdzie toczy swoje wody szeroka i spławna rzeka Kongo.

Gdyby tam, gdzie kończą się gorące tropikalne bagna, gdzie zamiast wilgotnych tropikalnych lasów, rzekę otaczają wysokie skaliste brzegi, gdyby tam, w wąskiej szczelinie Stanley Hill, zbudować wysoką tamę? Jak szeroko rozlałoby się Kongo! Już nie rzeka, lecz ogromne słodko wodne morze ukryłoby pod swoją powierzchnią cały ten rozsądnik malarii. Potem, gdyby cała ta nizina została zatopiona, woda skierowałaby się w jeden z dopływów wielkiej rzeki.

Frank widział, jak burzliwy potok zmusił rzekę do zawrócenia wstecz, do kanału.

Białą pianą burzy się woda koloru kawy, kłębi się w odmętach fal; jak ślicznotka zaplata warkocze, tak rzeka przeplata się ciemnymi falami. I leci, leci, by szumnym wodospadem spłynąć do kotliny jeziora Czad.

Czad też przemieni się w słodkowodne wewnętrzne morze – myśli Frank i majaczy mu się lustrzana toń wody. Dokoła niego, jak przed tysiącami lat, kiedy żyli jeszcze starożytni rybacy – alassarasi, szumią zielone sawanny. Z odrodzonego morza Czad – jak to pięknie brzmi – morze Czad! – woda skieruje się do łożysk dawno nie istniejących rzek, niezliczonych wadi. W ten sposób powstanie wielka rzeka – drugi Nil, który uniesie wody Konga do morza Śródziemnego. Sahara wtedy przeobrazi się! A ten suchy i straszliwy piasek o szarej barwie za-

mieni się w najbardziej urodzajną glebę na świecie! I zaszumią ogrody nad nową Afryką!

Frank wzdrygnął się od zimna i przykucnąwszy, zapalił maszynkę spirytusową.

– Halo, Mike! – Z namiotu dało się słyszeć senne mruczenie.

– Pan śpi?

Odpowiedzią było równomierne, jak przypływ, chrapanie.

– A czy to się kiedykolwiek urzeczywistni? – pomyślał Frank, nalewając wodę na kawę do imbryczka. – Na pewno. Przecież Rosjanie budują tamy w Egipcie. U nich wszystko inaczej, u tych Rosjan... Niedawno jeszcze byli naszymi sojusznikami, dlaczego by teraz nie można było zawiązać nowego sojuszu i połączyć siły w walce z pustynią, z kosmosem?

W namiocie zadzwonił budzik.

Trzeba rozbudzić chłopaka, inaczej nie wstanie – zdecydował Frank i na czworakach wlaźł do namiotu.

– No, wstańże pan, Mike! Poia pańskiego dyżuru. Zaparzęłam kawę.

W upiornym niebieskawym świetle maszynki spirytusowej, załamującym się tysiącrotnie w krystalicznym piaskowcu, można było ujrzeć, jak z namiotu wysunęła się spuchnięta i zmięta, dobrodusznna i klasycznie leniwa twarz szofera.

III

Gdy się patrzy wstecz, można zobaczyć, jak do samego horyzontu biegną zwięzające się stopniowo wzorzyste ślady opon. Gdy się patrzy naprzód, nie widzi się nawet i tego. Tylko

piasek, nieruchomy okropny piasek, piasek do samego horyzontu.

– A przecież tu dawniej żyli ludzie, Mike.

– Żartuje pan – jedną rękę szofer trzymał na kierownicy, a drugą właśnie podnosił, żeby wytrzeć pot z twarzy.

– Ani myślę. Trzy tysiące lat temu rozlegał się tu gwar na bazarach wielkich miast. Po ulicach pędziły lekkie rydwany, końskie grzywy były zwinięte w drobne kółka i pomalowane ochrą.

Szofer z niedowierzaniem wzruszył ramionami.

– To prawda, Mike. Może pan nie wątpić. Mówią o tym wizerunki niezwykłej piękności, wyryte na skałach.

– Zobaczymy je?

– Zobaczymy coś innego. Pamięta pan? Dwa tygodnie temu spotkaliśmy staruszka z plemienia Tahitok?

– Tego oberwańca, z którym pan rozmawiał po francusku?

– To nie oberwaniec. To potomek starodawnej rasy. Kiedy nasi przodkowie chodzili jeszcze w skórach, jego praszczurowie żyli już w dużych miastach, spali na puszystych dywanach i jedli z cyzelowanych srebrnych naczyń.

Frank zdjął ciemne okulary, przeciągnął mokrą od potu chusteczką po czole i nosie i znowu je włożył. Nie chciało mu się palić, nie chciało mu się również pić ciepłego „pepsi”. Och, gdyby tak można było odpocząć w chłodnym cieniu, zdjąć buty, wypić szklankę musującej, pełnej srebrzystych pęcherzyków gazu, mineralnej wody z lodem!

– A propos, ten staruszek to książkę czy coś w tym rodzaju.

– Naprawdę? – Mike nieuważnie dotknął palcem jakiejś metalowej części i natychmiast wsadził palec do ust.

– Oparzył się pan? Niech pan włoży rękawiczki.

Trzeba będzie. Wszystko nagrzane jak w piekle, mówi pan, że ten dziadyga jest tak samo znakomity, jak książę Lancasteru?

– W każdym razie jego ród jest starszy. On jest ichchagere-nem. Dokładnie nie wiem, co to znaczy, ale myślę, że to coś w rodzaju tytułu. Zresztą to nie ma znaczenia.

Interesująca jest inna rzecz – pokazałem mu tektyty i spy-tałem, czy nie napotykał czegoś w tym rodzaju.

Pan wie, co to są tektyty?

– Jakieś tam kamyczki?

– Są to kawałki naturalnego szkła. Naturalnego, ponieważ ich wiek oblicza się na dziesiątki tysięcy lat. Jeden tylko Bóg, a może diabeł, wiedzą, skąd się wzięły. Niektóre z nich są radio-aktywne. Teraz w ich składzie wykryto takie izotopy, które wytwarza się tylko w sposób sztuczny.

– Reaktor atomowy sprzed potopu?

– Coś w tym rodzaju. Była hipoteza, że to ślady lądowania nieznanego astrolotu.

– Z atomowym napędem?

– No oczywiście! Piasek pod jego dyszami roztopił się i zamienił w radioaktywne szkło.

– Ciekawe...

– Moim zdaniem nie bardzo. Hipoteza na jeden dzień. Zrodziła się na fali zainteresowania kosmosem. O, rosyjski sta-tek – sputnik – to rzeczywiście ciekawe. Niech pan sobie tylko wyobrazi... Błękitne pasemko, potem coraz bardziej i bardziej niebieskie, dalej coraz intensywniejszy fioletowy odcień, prze-chodzący w czerń kosmosu. Pomyśleć tylko, on widział to, cze-go jeszcze żaden człowiek na świecie nie widział!

– Amerykanie też wkrótce polecą.

– Polecą, na pewno. Ale on był pierwszy! A to ma wielkie znaczenie.

– No dobrze, ale pan przecież zaczął o tym, jak go tam, księżciu? On coś wie o tektytach? – Tak. One są rozrzucone po całej pustyni. Biedne kobiety robią sobie z nich paciorki. Szczególnie dużo jest ich tu, w krainie Tanesruft.

– Dlaczego pan tak usilnie pragnie dostać się do tych przeklętych skał? Przecież tektyty są i tu?

– One są prawie wszędzie. W Australii, w Czechosłowacji.

– A co będziemy robić przy tych skałach? Siedzielibyśmy sobie w hotelu i posyłali listy do redakcji, zamiast jeździć ciągle po tym piekle!

– Nic pan nie rozumie – oczy Franka stały się głębokie i zagadkowe. – Nigdy pan nie zrozumie, jak szczęśliwy może być człowiek, jeżdżąc po tych piaskach, które pamiętają starożytne miasta, skacząc po skałach, gdzie starożytni rzeźbiarze osiągnęli nieśmiertelność. Tyle tu tajemnic, tyle strasznych i nie wyjaśnionych zagadek! Czasem wydaje mi się, że nad pustynią unoszą się duchy. Tylko nie wiem jakie – dobre czy złe.

Mike nie odpowiedział. Ślina lepiała mu się w ustach. W karku uciskało i kłuło jak od gorczycy.

W głowie mu się kręciło, a blaszane niebo zdawało się spadać mu na plecy. Nagle ujrzał gdzieś w oddali jezioro. Strzeliste palmy przeglądały się w przezroczystej wodzie. W stronę jeziora podążała karawana. Dzwoneczki na wielbłądach podzwaniały smętnie. Mike wiedział, że na pustyni istnieje zjawisko „fatamorgany”, ale nigdy nie sądził że piasek może śpiewać.

A Frankowi chwilami naprawdę się zdawało, że nad nimi unoszą się niewidzialne duchy żyjących tu niegdyś ludzi.

IV

Królestwo słońca, kraina wiatrów.

Skały nagrzewały się skwarem południa i jak roztopiony metal w wodzie pogrążały się w chłodzie nocy. Z szybkością błyskawicy powstawały w nich szczeliny, z armatnim łoskotem obrywały się kamienie.

Potem do dzieła przystępował wiatr. Porywał lawiny piasku, wznosił ich kłęby i zwałął rozwiane ziarenka na skały. Piasek wyłabiał w nich fantastyczne przejścia, wytłaczał nisze i groty, szlifował kamienie.

Słońce z góry przyglądało się tej pracy. Ono jakby wytafiało ukryty w kamieniach tajemniczy tłuszcz i pokrywało je czarnym połyskiem – pigmentem pustyni. Kamienie stawały się podobne do żelaza.

Skały Atakora! Tajemnicza kraina dziwacznych zastygłych cieni. Na wieki zamarli tu wojownicy i starcy, fantastyczne dziwolągi i żałobne zakonnice – osobliwe twory słońca i wiatru. Z czego powstała ta skalista kraina wśród piasków? Jaki potężny dzinn stworzył ten fantastyczny świat wśród bezbrzeżnych piasków?

Rozpalone kamienie zamierały w rozżarzonym powietrzu. Lotna mgiełka zniekształcała kontury i zdawało się, że skały cicho kłaniają się, milczącym tańcem witając przybyszów.

Nie można patrzeć bez ciemnych okularów, w przeciwnym razie uroją się wśród skał głębokie niebieskie źródła, jak

gdyby napełnione płynnym mgławicowym tlenem. Zakołyszą się skały, popłyną, rozpryskując sine krople wody. W uszach zabrzmie przedziwnie smętna muzyka, niepokojąca i wspaniała.

To muzyka śmierci. Wywoła zawrót głowy, puści skały w szalony taniec. Niebo się przewróci i połączy z sinymi jeziorami.

Pustynia wielu zgubiła. Nie jeden raz Mike dostrzegał zbielełe od słońca kości wielbłądów, wyschnięte szerniałe mumie ludzkie. Przed jedną taką ciemną postacią zatrzymał auto.

– W co on jest zawinięty, sir?

– To burnus z wielbłądziej sierści. Chroni człowieka zarówno od tajemniczej „śliny drakona”, której tak się boją Tau-regowie, jak i od ukąszenia falangi. Ale temu biedakowi nie pomógł. Niech go pan odwróci.

Mike pociągnął za koniec koca – mumia zakręciła się jak szpulka, gdy się ją pociągnie za nitkę.

– Ale długi, jak...

Wreszcie koc się odwinął i Frank ujrzał brązowy szkielet obciążony suchą skórą.

Ciekawe, ile ma lat – pomyślał Frank i nachylił się. Coś błysnęło – była to złota bransoletka z pięknym szwajcarskim zegarkiem.

– Europejczyk?

– Tak, Mike, zdaje się.

Frank ostrożnie ujął wyschniętą kiść dłoni. Była ściśnięta w kułak, jakby chciała coś unieść ze sobą w wieczność. Frank puścił ją, upadła i rozsypała się.

– Tak, tak... słońce porządnie się napracowało – powiedział Frank, idąc w stronę jeepa.

– Niech pan poczeka, tu coś jest.

Frank odwrócił się i zobaczył, że Mike czyta jakiś papiererek.

– Atryment zupełnie wyblakł.

– Nic strasznego. Przeczytamy to przy świetle mineralogicznej ultrafioletowej lampy, kiedy się ściemni.

V

30 września 1903 roku. Ekspedycja profesora Reyera. Dla kogoś, kto znajdzie ten list. Proszę przekazać mojej żonie, Adeli Reyer, Rue des Tulipes 48, Lion, lub na adres Francuskiej Akademii Nauk.

Było nas czterech. Mój asystent France Crousel, dwóch robotników – Arabów i ja, profesor David Reyer. Szukaliśmy ruin starożytnego miasta. 21 września 1903 roku France odkrył przeprowadzoną wśród skał drogę. Była ułożona z ogromnych płyt kamiennych.

Każda płyta była oszlifowana z nadzwyczajną starannością, a ważyła z pewnością nie mniej niż tysiąc ton!

Kto i kiedy zbudował tę „cyklopową” drogę można się tylko domyślać. Podobnie do spiralnych schodów droga szła wciąż wyżej i wyżej. Wiła się wśród skał, odsłaniając nam na każdym kroku zupełnie nieprawdopodobne rzeczy. Napotykaliliśmy ogromne zbiorniki wodne, wybite wprost w skałach i nie wiadomo dokąd prowadzące otwory; zadziwiająco okrągłe i szerokie, patrzyły na nas z wysoka.

Droga skończyła się zupełnie niespodzianie, tak samo jak się zaczęła – między dwiema najwyższymi skałami. Urywała się nad samą przepaścią. Nie można nawet było marzyć o tym, żeby zejść po niej! Ściana była zupełnie stroma. Tylko wąziutkie schodki prowadziły gdzieś w dół. Wstęp na te schodki znajdował się w wyłomie skały. Ale wyłom był strzeżony przez kratę z brązu, nad którą wyrte były egipskie hieroglify: – ZAMKNIJ OCZY I ODEJDŹ.

TU KRYJE SIĘ TAJEMNICA, ZA KTÓRĄ MOŻESZ ZAPŁACIĆ ŻYCIEM.

Moich robotników ogarnęło przerażenie. Upadli na kolana i za nic na świecie nie chcieli iść dalej. Żeby ich zachęcić, France postanowił iść naprzód. Podszedł do samego wyłomu. Ale gdy tylko dotknął jednego z prętów kraty, krzyknął, twarz mu się wykrzywiła i upadł martwy. Robotnicy rzucili się do ucieczki. Jaskrawe słońce i wzruszenia strasznie na mnie podziały – na pół oślepiłem. Prawie po omacku zdołałem jednak odnaleźć drogę powrotną. Na próżno wołałem, na próżno krzyczałem – nikt się nie odezwał. Robotnicy albo uciekli wraz z moimi wielbładami, albo też runęli w przepaść. Minuty moje są policzone. Śmierć będzie okropna.

Szkoda, że nie mam rewolweru.

Wędrowcze, kimkolwiek jesteś, błagam cię, oddaj ten list pod wskazany adres.

David Reyer.

P.S. Droga zaczyna się między skałą podobną do rycerza a skałą przypominającą kota. Bądź ostrożny. Niech cię Bóg ma w swej opiece.

Oto ostatnia gigantyczna płyta. Dalej nie ma drogi. Skały stromą ścianą urywają się nad przepaścią. Tylko wąziutkie, wykute w czarnym bazalcie schodki, prowadzą gdzieś w dół.

– Niech pan uważa, Mike – Frank odwrócił się w stronę szofera i gestem wskazał mu, żeby szedł za nim – czeka nas wiele niespodzianek: od kruszących się stopni schodków do zatrutych krat.

– Sądzi pan, że krata była zatruta?

– Na pewno. Mogły na niej być drobniutkie szczyrby powleczone trucizną.

Starożytni byli mistrzami od wszelkich trucizn, nawet od takich, które z wiekami nie tracą swej diabelskiej siły... Inaczej, czym można by to wszystko wytłumaczyć?

– Różnie mogło być – wymijająco odparł Mike.

Ale tajemniczej kraty nie było. Czego nie mogły dokonać tysiąclecia, dokonały sekundy. Kto wie, kiedy to się stało; na-
zajutrz po śmierci Davida Rejera, czy może dopiero wczoraj, ale runięcie ściany zniweczyło także kratę z brązu i skałę z wrytą pogróżką. Droga była wolna.

...Wszystko się kończy. Skończyły się też schody. Skończyły się przed idealnie okrągłym otworem. Ziejąca czeluść wabiła i groziła jednocześnie. Mike zajrzał do otworu.

Wydało mu się, że w ciemnościach coś się świeci delikatnym różowoliliowym światłem.

– Pozwoli pan, że pójde pierwszy, sir – i nie czekając na odpowiedź, szofer zapalił latarkę i wszedł do tunelu.

Frank poszedł za nim.

W twarz wionęła wilgoć i zapach stęchlizny. Frank zapalił latarkę. Żółty promień wydobył z mroków krępa postać szofe-

ra, który lekko pochylony naprzód posuwał się pewnie korytarzem.

Na ściankach migotały maleńkie gwiazdeczki – to zapalały się i gasły kryształki kwarcu. Pod nogami gniewnie skrzypiał drobny żwir, budząc śpiące echo, które jak leniwy, senny zwierz niechętnie odgryzało się i milkło.

Nagle Mike zatrzymał się, zgasił latarkę, przykucnął i sapiąc, nachylił się nad czymś.

– Co tam się stało, Mike?

– Niech pan zgasi swoją latarkę. Tu jest jakaś diabelska sztuczka, coś się świeci. – Mike wyprostował się, przywarł do ściany, żeby przepuścić Franka: – Tylko ostrożnie, tu urwisko.

Tunel, opierając się o samotną skałę, pionowym korytarzem spadał w dół. Frank i Mike pochylili się nad studnią i aż do bólu w oczach wpatrywali się w czarną jamę, gdzie szofer zauważył jakieś jarzenie. Może tam rzeczywiście coś się jarzyło, a może po prostu przed oczami migają błękitne kręgi i skakały czerwone kule.

– Tak, coś tam jest – niepewnie bąknął Frank i zapalił latarkę.

Studnia okazała się niegłęboka, można było po prostu w nią skoczyć.

Frank skoczył pierwszy i od razu spostrzegł wąski kanał, który świecił zdradliwym lilioworóżowym światłem. Odwróciwszy się bokiem, ostrożnie przyparł do szczeliny. W tym momencie ciężko i niezgrabnie zeskoczył Mike.

– Ostrożnie, sir! Tu mogą być żmije albo jeszcze coś innego...

Ale Frank już nic nie słyszał, urzeczony dziwnym i wspinałym zjawiskiem. Nowy tunel był dość krótki i z daleka już

przenikało dzienne światło – widocznie na końcu tunelu był zakręt, który prowadził ku wyjściu. Ale Franka zdumiało coś innego. Torując sobie drogę przez żwir, wychylając się z najmniejszych szczelin, oplatając pułap – wszędzie... rosły żywe rurki jarzeniowe. Rozciągały się cieniutkimi wstęgami, zginały się w wąskie spirale, przeplatały się i zwisały pętlami, gorejąc czystym błękitnym światłem. Wśród tego złudnego przepychu, przywodzącego na pamięć najwspanialsze lampy jarzeniowe, płonęły malinowe, różowe, purpurowe, pomarańczowe i liliowe kule. Wydawało się, że samo powietrze płonie jak szeroka rzeka, spleciona z różnobarwnych ognistych strumieni.

– Przysięgam na Boga, to grzyby! Niewiarygodne, niezwykłe grzyby. – Mike aż przysiadł.

– Grzyby?!

– Tak, sir, grzyby. Czytałem gdzieś, że grzyby świecą. U jednych – tylko ogonki lub kapelusze, u innych zarodniki. Nawet gnijące drzewa świecą się, bo na nich rosną grzyby!

Frank patrzył na swego szofera i nie poznawał go. Ten wulgarny, trochę ślamazarny chłopak przeobraził się zupełnie. Może to niezwykle światło żywych jarzeniowych lamp, przy którym można nawet czytać, tak zmieniło oblicze, a zwłaszcza oczy Mike'a, ale płonął w nich tak czysty, tak jasny ogień zachwyty, że Frank mu pozazdrościł.

Przypomniął sobie Paryż, Luwr. Pewnie wtedy on sam płonął takim właśnie ogniem, stojąc przed Renoir'em, czy zamierając w niemym zachwycie przed bezrękim posągiem, wcielającym w sobie całe piękno i cierpienie sztuki.

– Może pan ma rację, Mike.

Tunel kończył się wąską kotliną, otoczoną ze wszystkich stron skałami. Ziemia była blisko – w odległości trzydziestu stóp. Wbity w skałę hak i sznur rozwiązywały sprawę.

Frank szybko ześliznął się w dół i gdy był o dwie stopy od ziemi, skoczył. Żwir zaszeleścił i wszystko ucichło. Frank odwrócił się i zamarł z wrażenia. Nie słyszał nawet, jak w ślad za nim zeskoczył i Mike. Wprost przed sobą ujrzał gigantyczny wizerunek, wykuty w gładkiej skale. Nie odrywając się, patrzyły na niego – zuchwałego przybysza – przejmujące zgrozą żywe oczy.

Wizerunek był prastary, a jednocześnie dziwnie kojarzył się ze sztuką współczesną.

Niezwykłej siły dodawało mu połączenie jak najbardziej ostrej i ponurej groteskowości z realizmem. Wszystko było zdumiewające w tej postaci wykutej w skale. Swobodne i wyraziste linie tułowia i dziwny kołpak, otaczający głowę. Od kołpaka ciągnęła się jakaś wygięta rurka, przypominająca żmiję, stojącą na ogonie.

W jednej ręce postać trzymała coś, co przypominało „granat cytrynkę, a drugą wskazywała na idealnie okrągłą tarczę, od której ciągnęła się po prostej poziomej linii, uosabiającej Ziemię – nic, kończąca się dziwnym wrzecionowatym przedmiotem. Wyglądało to, jakby wrzeczono od tysięcy lat podążało ku linii Ziemi z rosnącymi na niej stylizowanymi drzewami, tylko w żaden sposób nie mogło dolecieć.

– Ależ to kosmonauta!!! – okrzyk Mike’a rozbudził duchy kotliny. Powtarzały one jego krzyk tysiącrotnie gardłowymi głosami tak długo, dopóki Frank nie otrząsnął się z odrętwienia.

Gdy echo zamilkło i Frank trochę oprzytomniał, chwycił swoje fotoaparaty i jak szalony zaczął biegać przed zagadkowym wizerunkiem. Po dziesięć razy fotografował z obu kamer samego kosmonautę i oddzielnie jego głowę w okrągłym kołpaku. Utrwalił na taśmie również – tajemniczą planetę i wrzecionowaty kosmolot, uparcie zmierzający ku Ziemi. W rozmaitych skrótach perspektywicznych, przy pomocy wszelkich możliwych filtrów świetlnych!

Gdy Frank trochę ochłonął, zaczął szukać choćby najdrobniejszego napisu. Ale bezowocnie – nic nie znalazł.

Czyja ręka wykuła wizerunek? Cóż to za tajemnicza tarcza? Jaka siła porusza astrolot? Gdzie przepadli kosmonauci?

Jednym słowem głowę Franka obieży w tłumnym nieporządku wszystkie te pytania, które zrodziłyby się w głowie każdego innego człowieka w podobnych okolicznościach.

Jednak ani napisów, ani żadnych odpowiedzi nie znalazł. Jak w strasznej gorączce męczyły go natarczywe pragnienia. Chciałby tu zostać na długo, a jednocześnie – jak najszybciej wrócić, jak najszybciej poinformować ludzi, wtajemniczyć, opowiedzieć, obmyśleć, objaśnić, napisać!

– Mike, wracamy – powiedział i, podskoczywszy, zawisnął na linie – szybko do jeepa!

Musimy natychmiast nadać radiogram.

Frank siedział na piasku w samych spodenkach, ukrywający się w cieniu jeepa.

Zwilżył namydlonym pędzelkiem policzki, ale mydło momentalnie wysychało od gorącego powietrza pustyni.

Mike również siedział na piasku i nastrojał radiostację, oparłszy się łokciami na rowkowanej oponie koła zapasowego, wykonanej z ogniotrwałego organicznokrzemowego polimeru.

Od czasu do czasu podnosił do ust blaszaną puszkę z ciepłym sokiem ananasowym.

– Jedno jest dla mnie niepojęte – przerwał milczenie Mike, nie odrywając się od radiostacji – co stało się z asystentem profesora Reyera? Dlaczego tak nagle zginął? Pan twierdzi, że szczyrby kraty mogły być pokryte trucizną, ale czy istnieją takie trucizny, które momentalnie uśmiercają? Mnie osobiście wydaje się, że biedny Reyer po prostu dostał pomieszania zmysłów od słońca i że wszystko mu się przywidziało...

– Nie sądzę. Istnieją straszne trucizny, uczeni nazywają je „białkami szatanami”. Wystarczy kilka miligramów tej substancji, żeby’ zniszczyć wszystko, co na Ziemi. Żaden urojony diabeł, żadna bomba tytoniowa nie potrafią tego. Oczywiście, hipoteza: o szczyrbach – to po prostu pierwsze rozsądne rozwiązanie zagadki, które mi przyszło do głowy... W każdym razie tajemnicza śmierć Crouseła zostaje w ten sposób wyjaśniona prosto i racjonalnie.

Przypominam sobie pewne zdarzenie podobne trochę do naszego wypadku. Jeśli pan chce, opowiem.

– Oczywiście.

– Miało to miejsce mniej więcej czterdzieści lat temu. Zresztą niedaleko stąd, w słynnej Dolinie Królów, na skraju pustyni Libijskiej. Podczas badań archeologicznych nasz współziomek Howard Carter odkrył wejście do grobowca faraona egipskiego Tut ench Amona.

Odkrycie nastąpiło zupełnie niespodzianie: pod ruinami jednej z chat, w których przed tysiącami lat mieszkali robotnicy budujący grobowce, nagle ukazał się wykuty w skale schodek.

Po odgarnięciu ziemi wokoło ujrzano schody prowadzące do podziemia. Archeologowie z wielkim trudem odkopywali stopień za stopniem, aż wreszcie schody przywiodły ich do zamurowanych drzwi grobowca, zabezpieczonych dziwnymi pieczęciami, wyobrażającymi szakala i dziewięciu związanych niewolników. Pieczęcie były nietknięte, co świadczyło o tym, że bogate sarkofagi, w których spoczywała mumia faraona, nie zostały naruszone przez złodziei. I rzeczywiście, w grobowcu znaleziono niezliczone bogactwa. Sama trumna ze szczerego złota ważyła 300 funtów!

– Oho!

– Tak, Mike, złota było mnóstwo, ale zapłacono za nie drogo. Wielu archeologów i robotników, którzy dotarli do mrocznego grobowca, zginęło. Ugodziła w nich jakaś męcząca i tajemnicza choroba.

Pierwszy zachorował nasz znany uczonego lord Car – narvon. Dostał gorączki i silnych boli mięśniowych. Lekarze bezsilnie rozkładali ręce. Lord umarł po dwudziestu dniach w straszliwych mękach. Następnie zaczęli umierać inni członkowie archeologicznej ekspedycji.

Przeważnie umierali ci, którzy pierwsi weszli do grobowca. Przez trzydzieści lat nauka nie potrafiła wyjaśnić tej straszliwej zagadki. W 1955 roku grobowiec nawet poddano badaniom dozometrycznym: chodziło o stwierdzenie, czy nie jest radioaktywny.

– No i co?

– Oczywiście bez żadnych rezultatów. Czyż faraonowie mogli coś wiedzieć o promieniotwórczości i zabezpieczać swoje grobowce za pomocą radioaktywnego kobaltu czy strontu? Nonsens. Bóg skarał kopaczy grobów! – Oto jedyne wyjaśnienie.

nie, jakie dali robotnicy arabscy i w które uwierzyli nawet niektórzy uczeni w Europie.

Możliwe że i po dziś dzień musielibyśmy się zadowolić taką hipotezą, gdyby w 1956 roku nie zachorował południowoafrykański biolog John Wills. Pisałem nawet wówczas o tym w naszej gazecie. Wills badał pomiot nietoperzy w jaskiniach Środkowej Afryki.

Wkrótce po tym zachorował. Symptomy choroby były dokładnie takie same, jak u archeologów. Uczeni zaczęli sobie przypominać, czy nie było jeszcze jakichś „- podobnych przypadków. Okazało się, że tą samą chorobą zostali „ukarani” i inni kopacze grobów, badacze południowoamerykańskich grobowców Inków. To „białko szatan” – wirus histoplasmosis, znajdujący się w pomociu nietoperzy. Znaleźli ten wirus także w grobowcu Tut ench Amona.

Proste, co?

– Tak, niczego sobie. A może i w naszym tunelu żyją nietoperze?

– To właśnie jest zastanawiające, że tu nie ma nic żywego oprócz grzybów. Ach! – Frank zerwał się na nogi. – Oczywiście, grzyby! Tylko jakim cudem potrafiły przetrwać?

Przecież w tunelu nie ma żadnych produktów rozkładu. Czym się więc żywiły?

– O czym pan mówi? – Mike rozłożył ręce ze zdumienia.

Ale Frank już nie zwracał uwagi na szofera. Chodził wokół auta, wymachując rękami, i mówił: – Te grzyby żywią się powietrzem, zachodzi w nich synteza tlenu z azotem. Może kiedyś te grzyby staną się dla ludzi prototypem chemicznych fabryk przyszłości. A jarzenie – to rezultat reakcji chemicznej.

– A co to ma wspólnego z trucizną? – Mike zrozumiał, co ma na myśli dziennikarz.

– Przypuszczalnie w pewnych okresach grzyby jednakże potrzebują obcego białka.

Dlatego właśnie wytworzyła się w nich zdolność zabijania żywego. Możliwe, że wydzielają substancje trujące albo wypuszczają na ofiarę obłoczki zarodników – nie wiem. Ale wszędzie jest życie.

Nawet na pustyni. Napotykalismy na jaszczurki, węże, skorpiony, falangi, nawet na jakieś żuczki. Istnieje ono także w jaskiniach. Zaś w tunelu nie ma nawet wyschniętej muchy. A śmierć Crouse'a? Podszedł do samego wejścia, dotknął kraty, to znaczy spowodował jakieś drganie, wywołał ruch. Wtedy grzyby zareagowały jak rosiczka na muchę.

– A dlaczego nie zareagowały na nas? Czy jesteśmy duchami? – uśmiechając się sarkastycznie, zapytał szofer.

– Mogę odpowiedzieć na to pytanie. Mike. Czekałem na nie. Przypomina pan sobie list Rejera? Tam nigdzie nie ma mowy o świeceniu przy wejściu do tunelu. Jednak pan je od razu zauważył mimo światła latarki. To znaczy, że cykl życiowy grzybów dzieli się na fazy. Kiedy się świecą – nie są groźne. Kiedy zaś nagromadzona energia zostaje wyczerpana i grzyby gasną, przemieniają się w milczących niewidocznych drapieżyków, które w mroku nocy czyhają na swoje ofiary. Przystosowały się do takiego życia w ciągu tysięcy, a może nawet milionów lat ewolucji... Może zresztą te grzyby też są kosmicznymi przybyszami. Może kosmonauci przypadkowo przynieśli tu zarodniki. Znalazłszy sprzyjające warunki, spory puściły kiełki.

– Możliwe, że wszystko jest tak, jak pan mówi. Ale przecież grzyby rosną nie przy samym wejściu do tunelu, tylko w głębi. Więc w jaki sposób mogły zabić tego Francuza?

A może wtedy, jeszcze przed oberwaniem się skały, rosły tuż obok kraty?

Ale Frank nie zdążył odpowiedzieć. Niecierpliwie terkotał brzęczyk.

– Londyn!

– Dobrze, już idę. – Frank dokładnie wytarł brzytwę, włożył ją do pudełka, bez pośpiechu wstał i podszedł do radiostacji. Przykucnął i nałożył słuchawki.

Pięć minut spędził na melancholijnych rozmyślaniach, i tak że trudno było skonstatować, czy coś słyszy, czy też ciągle jeszcze czeka. Następnie na jego twarzy pojawił się ledwo uchwytny wyraz niezadowolenia, przekręcił wyłącznik przerzutowy i powiedział obojętnym głosem: – Dziękuję, sir. Dobrze. Czekamy.

Frank zdjął słuchawki i nie mówiąc ani słowa, wrócił na poprzednie miejsce. Znow próbował namydląć twarz i tylko dlatego, że z większym niż zwykle rozdrażnieniem otrząsał pędzelek, Mike odgadł jego nastrój i nie rzekł ani słowa.

A Frank myślał z natężeniem i męką. Szczerze mówiąc, nie uraziły go czarujące i radosne frazesy szefa, sprawiły mu nawet przyjemność. W końcu wiedział, że tak będzie. A to, że szef już rozpoczął szeroką kampanię prasową, było zupełnie zrozumiałe, nic ponadto. Frank usilnie szperał w swoim sercu, chcąc dotrzeć do gruntu, na którym wyrosła ta szara i mętna mgławica smutku. I nagle zrozumiał. Tak, to właśnie było tak. W tym momencie, kiedy ujrzał oczy przybysza z kosmosu, przestał być dziennikarzem. Stał się naukowcem. Stał się tym,

kim powinien być zostać po ukończeniu studiów. Zrobił odkrycie i nie chciał, żeby wokół niego rozgorzały dziennikarskie boje na słowa. Instynktownie czuł, że wszystko, czego się dotknie mętna fala sensacji, przestaje być wielkie i wzruszające, natomiast staje się troszeczkę brudne.

Wiedział to zawsze, ale dopiero teraz odczuł całą swoją istotą. Jego umysł nareszcie usłuchał głosu serca. Serce wyraziło wszystko, co nagromadziło się w nim przez te wszystkie lata, a rozum nie mógł mu odmówić racji.

W uszach jeszcze brzmiały mu słowa szefa: – Tę sprawę trzeba rozwinąć szeroko: wykorzystać wszystko – radio, film, telewizję.

Jednym słowem za dwie godziny wsiadamy do samolotu, za jedenaście godzin przesiadka na helikoptery i pojutrze koło południa oczekujcie nas.

Frank sobie żywo wyobraził, co może potem nastąpić. Po tych starodawnych świętych kamieniach zaczną się snuć zręczni, obrotni młodzieńcy. Jedni, jak z armaty, zaczną strzelać obiektywami aparatów filmowych i fotograficznych. Inni z magnetofonami na plecach zaczną mu wtykać swoje mikrofony aż po samo gardło. I każdy z pewnością pomaca obraz rękami.

Szczególnie nieprzyjemnie było sobie wyobrazić, jak to zrobi szef. Frank aż się wzdrygnął z obrzydzenia, jak od dotknięcia żaby. Był przekonany, że wizerunek pociemnieje i zgaśnie od tych wszystkich rąk.

A wyobraźnia podsuwała mu ciągle nowe i nowo szczegóły. Wyraźnie widział, jak jeden, maskując się niezręcznie, zaczyna odłupywać kawałek świętego kamienia. Czemu nie! Taką pamiątka!

Dlaczego właśnie ci plugawi i niepoważni ludzie mają pierwsi zobaczyć to, o czym marzyli najlepsi synowie ludzkości? I nie tylko zobaczyć, ale otrzymać wyłączny monopol.

Monopol na sensację. Specjalność gazety „Daily Express”!

W piersi Franka zrodził się taki protest, taka burza jeszcze nigdy dotąd niedoznanych uczuć, że sam się przeląkł swego krzyku.

– Mike, Mike!

Szofer poderwał się z miejsca i zaskoczony ze zdziwieniem spojrzął na Franka.

Ale Frank już powziął decyzję.

– Posłuchaj, Mike. Pojutrze zwali się tu szef z całą swoją szajką. Ale gazeta nie może tak długo czekać. Chcę im zrobić małą niespodziankę. Wsiądziesz zaraz do jeepa i pojedziesz do domu. Wstąpisz do Instytutu Archeologicznego. Dam ci adres. Oddasz im rolki z fonograficzną taśmą... i list. Zanim się zapakujesz, napiszę. A ja już sam przywitam tu szefa.

Będzie zadowolony z naszej pracy.

– Dobrze, sir – milcząc chwilę, odpowiedział szofer – ma pan zupełną słuszość.

– To – wskazał nieokreślonym ruchem na skały – to jest własnością całej ludzkości. Niech więc pierwsza dowie się o tym nauka.

Frank wstał. Niepojęte uczucie ścisnęło mu gardło. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale wyciągnął tylko rękę do szofera i mocno ją uściśnął.

VII

Minęły dwa tygodnie. Frank spokojnie drzemał w wygodnej dziesięcioosobowej salonce helikoptera. Chwilami zwracał głowę w stronę małego okrągłego okienka i spoglądał w dół.

Ziemia nie była podobna do mapy – helikopter leciał dość nisko. Wyglądała raczej na makietę. Frank przypomniał sobie skrzynię z piaskiem, na której jeszcze w czasie studiów uczono ich taktyki.

Bezkrzesne szaro czerwono bure obszary piasku, ostro zarysowane zielone ubarwienie oaz.

Między tą zielenią i piaskami toczy się ani na chwilę nie ustająca walka.

Pustynia gwałtownie atakuje wydymami piaszczystymi i, jak dzinny z butelek, wypuszcza gorące, wszystko zamieniające w popiół, wiatry.

– Cudownie, wspaniale, Frank. Zawsze spodziewałem się po panu czegoś takiego.

– Hughes bezskutecznie usiłował strzelić grubymi palcami.

Frank drgnął. Znow doznał uczucia wstrętu.

A szef bezustannie gadał: – Pan bezwzględnie musi zostać kierownikiem działu, a Nicka przeniosę do kroniki, on nie ma nic wspólnego z nauką. Ech, Frank, mój chłopcze, znam pańską bezinteresowność, ale pieniądz to zawsze pieniądz. I wie pan, co postanowiłem? Podwyższę panu pensję.

– Hughes poufale szturchnął Franka pięścią w plecy.

Frank prawie go nie słuchał. Odpoczywał po tych wszystkich szaleńczych dniach, które teraz wydały mu się odległymi i nierealnymi. Czy rzeczywiście to wszystko było faktem: list profesora Rejera, skały Atakora, wykuty w skale wizerunek? Może przywidziało mu się, może to miraż, który przyczął się

tylko w błękitnych jeziorach powietrznych, płynących wśród czarnych skał?

Jednak obleśne gruchanie Hughesa ciągle mu uprzytomniało, że to nie miraż.

Trudno nawet przewidzieć, jakimi krzykliwymi nagłówkami i oszałamiającymi tytułami Hughes zacznie się posługiwać, by wbić czytelnikowi do głowy ten „miraż” – Wielki Boże! To dopiero będzie diabelski taniec, rozpasanie, dzikie wybryki najnieprawdopodobniejszych domniemań i hipotez tak samo dalekich od nauki, jak Ziemia od tarczy na tych skałach! Gazeta dosłownie będzie pękać od sensacji. „Na tysiące lat przed Rosjanami”, „Kto to – Atlantyda czy Marsjanin?”, „Nasi przodkowie – kosmonautami”, „Sahara – muzeum kosmosu”.

I Frank pojął, że nie zostanie kierownikiem działu, jak to dopiero przed chwilą obiecał mu szef Hughes. W ogóle nie będzie więcej pracował w prasie. To nie jest miejsce dla uczciwych ludzi.

A gdzie jest miejsce dla uczciwych ludzi? – sam siebie zapytał. Masz już przeszło trzydzieści lat, a ciągle jeszcze żyjesz w urojonym świecie marzeń. Teraz mówi się o wojnie, o bazach i bombach, a ty marzysz o tamach, o ujarzmieniu pustyni, o pokonaniu zimna. Zbudź się, Frank.

Spojrzał na szefa. Jego twarz była uosobieniem zadowolenia. Hughes powoli pił mocną słodką kawę, delektując się jej aromatem i z lubością przyglądał się maleńkiej porcelanowej filiżance.

Frank postanowił, że jakkolwiek się wszystko dalej ułoży, jednego na pewno nie zrobi. Nie będzie brał udziału w tej całej profanacji. Ostatecznie jako odkrywca wizerunku może chyba liczyć na skromny urząd archeologa. A dalej zobaczy się.

Frank nie wiedział, że w Algierze, w hotelu, czeka na niego duża szara koperta.

Mr Francis O'Neuilly.

Bloomsbery. Londyn. 17 sierpnia 19.. roku.

Szanowny panie! Byliśmy bardzo radzi z przysłanej przez Pana taśmy. Zupełnie zrozumiała jest Pańska niecierpliwość, żeby jak najszybciej zawiadomić świat o dokonanych przez Pana odkryciach. Jednakże byłoby lepiej, gdyby Pan sam taśmę wywołał i zrobił odbitki.

Primo, reprezentowana przez Pana gazeta uniknęłaby pewnych nieprzyjemności, które ją czekają, a secundo, nie musiałby Pan zajmować się bezpodstawnymi hipotezami. Poza tym o mały włos nie wyrzuciliśmy kasety po zapoznaniu się z treścią załączonego listu, w którym jest mowa o kosmonautach w starożytności i temu podobnych fantazjach podnieconego umysłu.

Ulegając zupełnie zrozumiałej ciekawości, zrobiliśmy jednak kilka odbitek. I jakież było nasze zdumienie i radość, kiedy na zdjęciu odnaleźliśmy stelę Amenhotepa IV, znanego także pod imieniem Echnatona.

Dokonał Pan wspaniałego odkrycia, mister O'Neuilly, odnalazł Pan legendarny grobowiec Echnatona.

Panowanie jego – to najbardziej niezwykła i prawie nieznaną przez naukę epoką w historii starożytnego Egiptu. Faraon ten był zrodzony przez kobietę niekrólewskiej krwi, tancerkę imieniem Teje. Ojciec Echnatona, faraon Amenhotep III, nie tylko podniósł do godności pierwszej małżonki uwielbianą przez siebie niewolnicę, ale przedkładał jej towarzystwo nad towarzystwo kapłanów. Rzecz prosta, że pojawienie się potomka Amenhotepa i Teji zostało powitane przez kapłanów i

arystokrację niechęcią i rosnącą wrogością. Niechęć przemieniła się w jawną nienawiść, kiedy Amenhotep III przekazał synowi, jeszcze naówczas małemu chłopcu, prawie całą władzę. Tak rozpoczęła się walka, która trwała, w takiej czy innej formie, przez całe dzieje państwa Kemt. Faraon dążył do władzy absolutnej. Ale na jego drodze stali kapłani i namiestnicy prowincji – nomarchowie. Każdy nomarcha był jeszcze prócz tego kapłanem miejscowego boga. W królestwie Kemt była wielka ilość bogów. Oprócz bogów, których czczono w całym kraju, byli jeszcze miejscowi bogowie, którym bito pokłony w jakiejś jednej prowincji.

Żeby osłabić wrogów, musiał faraon usunąć im grunt spod nóg. Młody syn Teji – Amenhotep IV postanowił w ogóle znieść wiarę w bogów albo przynajmniej sprowadzić wielobóstwo do wiary w jedyne boga. Przecież Egipt był imperium światowym, a mógł się stać zjednoczonym i silnym, mając tylko jedyne boga.

Gdy stary faraon umarł, Amenhotep IV wprowadził kult nowego boga – Atona.

Atona wyobrażano pod postacią tarczy słonecznej. Pan pewnie wie, że jeszcze na długo przed tą reformą słońce było w Egipcie obiektem czci. Jego wcieleniem byli bogowie: Ra, Atum, Horus.

W niektórych domach Amon Ra uważany był za największego boga. Ale król – reformator, a nawet heretyk i bezbożnik, postanowił na początek znieść wszystkich bogów, prócz swego Atona. Zaczął to wprowadzać w czyn stopniowo i ostrożnie. Początkowo Atonowi składano hołd na równi ze starymi bogami. Potem zaś, kiedy faraon stał się najwyższym

kapłanem Atona, zaczęto gnębić starych bogów. Reformy młodego władcy nie kończyły się na tym.

Coraz częściej przy nominacjach na ważne stanowiska państwowe Amenhotep IV omijał młodzież pochodzenia arystokratycznego, oddając pierwszeństwo ludziom nie wysokiego rodu, lecz doświadczonym i oddanym sprawie.

Wreszcie w szóstym roku swego panowania młody faraon ogłosił Atona jedynym bogiem.

Pozostałych bogów unicestwił. Zamknął ich świątynie, a kapłanów przepędził.

Kazał usunąć imiona bogów ze świątyń i grobowców. Heretycki faraon wyrzekł się nawet swego imienia (bo przecież Amenhotep znaczy „Amon jest zadowolony”, a Amon był największym bogiem w Tebach). Odtąd mianował się Echnatonem. Znaczący to oddany Atonowi.

Echnaton wraz ze swoimi zwolennikami opuścił Teby i założył nową stolicę Achetaton – „Horyzont Atona”. Obecnie z tego miasta zostały tylko ruiny, które noszą nazwę Tell El Amarna. Ale za panowania Echnatona było to wspaniałe, pełne przepychu miasto. Im wspanialsza stawała się nowa stolica, tym silniej rosła niechęć do Atona.

Koczownicy grabili okoliczne miasta, prowincje podległe Egiptowi zaczęły się buntować, kraj opanowała groźba wojny. Minęło kilka lat i Hetyci zabrali Atonowi prawie wszystkie miasta azjatyckie.

Faraon miał coraz mniej przyjaciół, a coraz więcej wrogów. Ostatnie lata życia spędził Aton prawie w zupełnej samotności.

Umarł buntowniczy faraon również z dala od przyjaciół i bliskich. Po jego śmierci kapłani, nomarchowie i spadkobiercy

zrobili wszystko, co było w ich mocy, żeby wymazać z pamięci ludu imię faraona buntownika. Niszczyli grobowce, rozbijali sarkofagi i portrety. Wszystko, na czym było wyryte imię Echnatona, podlegało zniszczeniu, dokładnie zeskrobywano wszelkie napisy, przypominające o jego czynach.

Obecnie archeologowie nie są nawet przekonani, czy Echnaton został pochowany w grobowcu, na którym znaleziono jego imię. Pod koniec ubiegłego stulecia co prawda znaleziono w grobowcu mumię mężczyzny, ale z mumifikowane zwłoki były pochowane zupełnie inaczej, niż przyjęto chować faraonów.

Istniała także legenda – która dzięki Panu przestała być legendą – że Echnaton nie umarł wcale w swojej stolicy, natomiast, że razem z tysiącami wiernych uciekł na Saharę, która wtedy bynajmniej nie była pustynią. Tam Echnaton założył nowe miasto, którego nikomu później nie udało się odnaleźć.

A teraz pozwoli Pan wyjaśnić sobie nasze zdanie na temat złudzenia optycznego, którego ofiarą stał się Pan mimo woli.

Reforma religijna, podjęta przez Echnatona, musiała wywrzeć wpływ na inne dziedziny kultury. Szczególnie wyraźne jest to w sztukach plastycznych. Jeśli przedtem sztuka była podporządkowana religii, to właśnie Echnaton wyzwolił ją. Nareszcie egipscy rzeźbiarze i malarze mogli uwolnić się od raz na zawsze utartych kanonów. Sztuka stała się bardziej realistyczna, bardziej życiowa i dynamiczna.

Wrogość Echnatona do starej religii przekreśliła także normy estetyczne, ustalone przez kapłanów. Rzeźbiarze i malarze przestali idealizować obraz faraona, zaczęli poszukiwać nowych form wyrazu, które niekiedy przechodziły w groteskę. Wszystko to miało ten skutek, że wykuty przez najgorliwszych

zwolenników Echnatona wizerunek w skale okazał się zupełnie niepodobny do tego wszystkiego, co Pan kojarzył w swoich pojęciach ze sztuką dawnego Egiptu.

Poza tym nieznany mistrz, widocznie obawiając się o dalszy los grobowca, postanowił ukryć imię zbuntowanego faraona przed wrogami. Z tego powodu hieroglify z jego imieniem wyciął tak, że można je zauważyć wyłącznie o pewnej określonej porze dnia. Ale aparat fotograficzny – to nie oko ludzkie: utrwalił to, co wymknęło się Panu. Dokładnie z powodu tego samego optycznego efektu przyjął Pan obraz Słońca za tajemniczą planetę. Również z bardzo wielu promieni słonecznych spostrzegł Pan tylko jeden i wziął go za trasę astrolotu.

Ponieważ Echnaton był arcykapłanem boga Słońca – Atona, jego koronę ozdabia również stylizowany obraz tarczy słonecznej, którą Pan lekkomyślnie nazwał hełmem skafandra.

Wykaz Pańskich omyłek można by mnożyć w nieskończoność, ale chyba to nie ma żadnego sensu. Jednym słowem – wizerunek Echnatona, wznoszącego modlitwę do boga Atona, wziął Pan za kosmonautę.

Wszystko to jednak wcale nie pomniejsza znaczenia dokonanego przez Pana odkrycia.

Po powrocie do Anglii uprzejmie zapraszamy do odwiedzenia nas.

Szczerze zobowiązany Edwin H. Higginsbottom Sekretarz Naukowy Instytutu Archeologicznego P.S.

Przysłane przez Pana próbki zarodników oddane zostały na badanie do Instytutu Biochemii im. Jej Królewskiej Mości. Wstępna analiza, dokonana przez pana Hammsbella, wykazała wysoki procent białka o dużej toksyczności, znajdującego się

w stanie okresowej, czyli sezonowej anabiozy. Winszuję Panu niezwykłego archeologicznego odkrycia.

E. H.

Przełożyła Olga Ford

Michał Jemcew i Jeremi Parnow

STAN PRZEDATOMOWY

I. Relacja czabana Chamrakuła

Już od czterech lat zabieram wiosną stada owiec na wysokogórskie pastwiska.

Muszę przyznać, że moja praca jest śmiesznie łatwa. Wilki zagłądały tu ostatnio w czasach, kiedy mój dziadek dopiero marzył o tym, aby po raz pierwszy w życiu ogolić sobie brodę.

Wprawdzie gospodarstwo mam spore, ale kierować nim nietrudno. Jedna osoba daje sobie tam świetnie radę.

Wolnego czasu mam do woli. Na sprawdzenie podczerwonego ogrodzenia zejdzie mi najwyżej trzydzieści minut. Tyle też mniej więcej potrzeba na zaprogramowanie elektronicznych pomocników. No i muszę mieć jeszcze z 15–20 minut na wydanie odpowiednich dyspozycji PNP, tj. cyberowi, który poszukuje nowych pastwisk.

Oto i cały ambaras... Poza tym zajmuję się jeszcze przygotowaniem paszy, sporządzam charakterystyki flory alpejskiej dla potrzeb przemysłu spożywczego oraz medycyny, ponadto raz na tydzień kontroluję automatycznej stacji meteorologicznej. Ale to wszystko błahostka.

Najwięcej czasu pochłania mi przygotowanie się do sesji egzaminacyjnej. Studiuję bowiem w Instytucie Pałeoklimatów. Może się dziwicie, po co to wszystko mówię, ale bez tych szczegółów moglibyście mieć dość często kłopot ze zrozumieniem pewnych spraw, które poruszę za chwilę w dalszej części mego opowiadania. Więc cóż? Czasu mam dosyć, nawet jeśli weźmiemy pod uwagę codzienne wykłady stereotelewizyjne Wydziału Muzycznego. Dlatego właśnie mogę sobie pozwolić na taki zbytek, jak astronomia. Nie muszę rano wcześniej wstawać i często do samego świtu zachwycam się niebem. Teleskop mam wprawdzie jak najbardziej przeciętny – zwykły amatorski „Tellur”.

Owego dnia, który was tak interesuje, a właściwie nocą, akurat nie spałem.

Zaintrygowały mnie dziwne błyski, które zobaczyłem w rejonie konstelacji Liry.

Już się miałem połączyć z najbliższym obserwatorium, kiedy odkryłem, że owe błyski są rezultatem działania jakiegoś promienia biegnącego z Ziemi.

W tej chwili zaterkotał brzęczyk i wszędzie zapaliły się i pomknęły czerwone ogniki. To zapłonęły „oczy” moich cyberów. Cała romantyka gwiazdozbioru Liry momentalnie wywietrzała mi z głowy i pobiegłem co tchu do moich owiec. Choć biegłem na złamanie karku i tak się spóźniłem. Coś widocznie przestraszyło owce, gdyż rzuciły się nagle w stronę urwiska, uciekając przed niebezpieczeństwem, którego dotąd nie znały.

Do tej pory żadne zwierzę nie przekroczyło bariery promieni podczerwonych, utworzonych przez elektrony skandu. Ale w tym momencie owa promienna ochrona uległa raptem uszkodzeniu. Jak wykazały później przyrządy, nastąpiło to na

skutek dziwnych fluktuacji pól pozytronowo neutrinowych. Nie będę się zresztą zagłębiał w szczegóły; w każdym razie moje wystraszone owce pomknęły nagle ku przepaści... Prawie wszystkie pospadały z urwiska. Tak bardzo byłem tym zdenerwowany i przygnębiony, że na śmierć zapomniałem o dziwnym zjawisku astronomicznym. Ale tego, co zdarzyło się później, trudno było nie zauważyć. Od razu zobaczyłem łunę, która zalała niebo na południowym wschodzie. Mniej więcej w tym miejscu, gdzie znajduje się Laboratorium Badań Przestrzeni, unosiła się ku niebu smukła błyszcząca igła.

Trudno powiedzieć, jaki miała kolor. Właściwie był to chyba mieniący się kolor aleksandrytu – od fioletowego bzu aż do zieleni. Nagle z owej igły, jak z palmowego pędu zaczęły wyrastać ukośne liście błysków. Przy czym wszystko to trwało niespełna minutę i zatoneło wreszcie w powodzi złotego blasku, którego siły i piękna nie sposób wyrazić. W owej zorzy przez chwilę przywidziały mi się cudowne krajobrazy obcych światów. Wydało mi się nawet, że czuję świeży i cierpki zapach dalekich mórz i lasów. Kiedy wszystko znikło, uświadomiłem sobie, że był to zapach ozonu.

To samo stwierdziły też przyrzędy. Wokół mnie rozpostierała się chłodna i czysta wiosenna noc. Wszystko było, jak dawniej, nawet w konstelacji Liry nie widziałem już błysków.

Nie było tylko biednych owiec... O wszystkim, co zaszło, doniosłem bezzwłocznie kanałami psychołączności.

To chyba byłoby wszystko...

II. Komunikat S. M. Smirnowa opublikowany w miejscowej prasie Opowiadanie młodego czabana jest właściwie jedynym świadectwem człowieka, który przebywał w pobliżu miejsca katastrofy, jaka wydarzyła się trzy dni temu w Labora-

torium Badań Przestrzeni. Ja – jako członek komisji, prowadzącej śledztwo w sprawie katastrofy, szczególnie dotkliwie zdaję sobie sprawę z tego, jak skąpe dane są w naszym posiadaniu.

Przyrządy Chamrakuła wykazały, że światła awaryjne cyberów zapaliły się dokładnie o 2,32.

Kiedy zdjęliśmy taśmy z liczników źródła energii (są dwa takie liczniki: jeden zainstalowany jest bezpośrednio w elektrowni atomowej, drugi zaś w transformatorowej budce laboratorium), to zobaczyliśmy, że właśnie w tym czasie nastąpił gwałtowny skok w zużyciu energii.

Po 16 sekundach został osiągnięty punkt kulminacyjny, zaś po następnych dziesięciu zaczął się raptowny spadek. Najbardziej interesujące jest to, że o godz. 2 min. 32 sek. 57 przyrządy prawdopodobnie zepsuły się. Bo jakże moglibyśmy wyjaśnić inaczej ten fakt, że w owym czasie laboratorium zamiast zużywać energię, zaczęło ją nagle wytwarzać? Przecież taki właśnie wniosek można wysnuć, gdy się ogląda liczniki przekładników.

I jeszcze jedna dziwna okoliczność. Laboratorium nic poniosło prawie żadnego szwanku.

Jedynie pośrodku sali C odkryto koło o promieniu dwóch metrów, w którym całe wyposażenie dosłownie rozpadło się na atomy. Trudno się zdobyć na inne określenie, gdyż sala jest dość solidnie zastawiona stołami oraz aparaturą. Skąd mogłoby się wziąć na samym jej środku idealne koło... pustego miejsca? Bezpośrednio do owego pustego kręgu przylega stół laboratoryjny, a właściwie tylko dwie trzecie stołu, ponieważ reszta została odcięta dokładnie po obwodzie koła.

Specjaliści twierdzą, że żadnym ze znanych sposobów obróbki drewna nie udałoby się osiągnąć takiego idealnego cięcia. Ku środkowi sali biegnie także mnóstwo przewodów, ale i one są wszystkie obcięte równiutko na granicy pustego kręgu. Zresztą „ucięte” – nie jest najszcześniejszym słowem: patrząc na przewody, trudno przypuszczać, że mogłyby one gdzieś dalej prowadzić. Ale po cóż by były potrzebne owe nigdzie nie podłączone końcówki?

W sali znaleziono dyktofon. Ale na irydowym drucie nie odkryto najmniejszych śladów zapisu dźwięku, chociaż aparatu nie wyłączono. Czyżby pracy w laboratorium oraz nagłej katastrofie nie towarzyszyły najmniejsze nawet dźwięki? Wszystko to jest bardzo dziwne. Jeśli można wierzyć zapisowi w portierni, to owej nocy w całym gmachu znajdował się tylko jeden człowiek. Była to prof. Irena Łosiewa. Najbardziej skrupulatne poszukiwania nie dały rezultatów: Lora przepadła bez wieści. Do domu nie wracała w ogóle nie dawała znaku życia.

Tak samo znikł bez goszczący wówczas u niej doktor Derdio Loszan-. Matka Łosiewej mówi, że wyszedł on z domu punktualnie o dziesiątej wieczorem, obiecawszy solennie, że wróci za trzy godziny razem z Ireną. Wszystko wskazało na to, że byli oni razem w laboratorium, w sali C. Strach pomyśleć, że spotkał ich ten sam los, co przedmioty znajdujące się pośrodku sali.

Według oświadczenia współpracowników, tam gdzie obecnie ziele pustka, znajdował się przedtem wielki pierścieniowy magnes, dwa grawitacyjne generatory oraz jakiś nowy przyrząd.

Tego przyrządu nikt dotąd nie widział. Pojawił się w laboratorium niedawno i Łosiewa trzymała go zawsze pod na-

rzutą z czarnego aksamitu. Żadnych śladów zniszczenia, powtarzam, nie udało się wykryć. Mimo woli nasuwają się wątpliwości, czy w ogóle miała tu miejsce jakakolwiek katastrofa. W każdym bądź razie, gdyby nie tajemnicze zniknięcie Łosiewej i Loszancy, można by było mówić jedynie o „dziwnym żarciu z pustym kołem”, jak się wyraził jeden ze współpracowników laboratorium. Nie znoszę zagadek i dlatego najbardziej ze wszystkich nalegałem, aby cał po cału przeszukać skrupulatnie całe pomieszczenie.

Poszukiwania te zakończyły się dopiero teraz, jednak bez rezultatu.

Na północno wschodniej ścianie budynku odkryto strefę z niewielką radioaktywnością.

Dokładne pomiary wykazały, że ową strefę stanowi koło o promieniu niespełna dwóch metrów.

Dziwny zbieg okoliczności, którego nie sposób wytłumaczyć. Godne podziwu jest to, że radioaktywność rozprzestrzeniła się na całą grubość ściany. Zupełnie jakby przesączył się przez nią radioaktywny gaz. Ponadto udało się ustalić, że na suficie sali C znajduje się ledwie dostrzegalny otwór, który przechodzi przez cały gmach i kończy się dopiero w dachu. Brzegi otworu nie są stopione ogniem i w ogóle nie zachowały się nawet najmniejsze ślady tego, czym i jak został on zrobiony. Nikt z pracowników nie potrafi określić, czy ów otwór istniał przed katastrofą, czy nie.

Niestety, są to jedyne dane, jakimi dysponujemy.

III. List studenta Chamrakuła do S. M. Smirnowa Szanowny Sergiuszu Mitrofanowiczu!

Rozmowa z Wami – jak pamiętacie zapewne, było to nazajutrz po tajemniczej śmierci moich owiec – wywarła na mnie

wielkie wrażenie. Wasze słowa, ze każde dziwne zjawisko, nawet na pierwszy rzut oka błahe, może mieć wcale niebagatelne znaczenie, zapamiętałem na całe życie.

Dlatego właśnie ośmieliłem się niepokoić Was tym listem. Wypadek, o którym chcę opowiedzieć, może Was wcale nie zainteresuje, lecz mimo wszystko wydaje mi się, że ma on jednak jakiś związek z wydarzeniami, które miały miejsce owej pamiętnej nocy. Za chwilę wszystko to wyłuszczę.

Na kilka godzin przed wspomnianymi wydarzeniami przygotowywałem się do egzaminów z agronomii ogólnej. Posiadam magnetofon z taśmą irydową, na której został zapisany cały kurs wykładów. Pamiętam jak dziś, że odtwarzałem właśnie wykład o pochodzeniu gór lodowych oraz o ich wykorzystaniu w celu nawodnienia pustyń. Bardzo ciekawy wykład. Ale nie o to chodzi. To znaczy – nie tylko o to. Już w mieście, gdy pojechałem tam na egzaminy, poczułem nagle, że zapomniałem ten ustęp, w którym jest mowa o topnieniu gór lodowych w warunkach pustynnych.

Naturalnie – poczułem wielką chętkę wysłuchania owego wykładu. I na tym właśnie polega mój dziwny wypadek: magnetofon milczał. Proszę nie myśleć, że był uszkodzony.

Wszystko skrupulatnie sprawdziłem. Po prostu wszystko, co było zapisane na taśmie, w jakiś sposób uległo zatarciu.

Może ja sam niechcący włączyłem nie ten przycisk i starłem napis? Od razu przyszło mi to do głowy. Prawdopodobnie na tym bym i poprzestał, gdyby nie mój sąsiad Oleg Murłakow, mieszkający ze mną w tym samym pokoju, w naszym internacie. Jest geofizykiem i studiuje już na czwartym roku.

Oleg akurat reperował blok informacyjny mojego zwiadowcy PNP – tj.

poszukiwacza nowych pastwisk. Okazuje się, że owe dziwne pozytronowo neutrinowe fluktuacje, które uszkodziły promienną ochronę na pastwisku, zepsuły także i mojego cybera.

Stwierdził to Oleg, który uważnie wysłuchał mego opowiadania. A do reperacji cybera zabrał się dlatego, że PNP – to jego projekt, będący roczną pracą zaliczeniową. Z początku Oleg nie miał pojęcia, jak się do tego zabrać, gdyż nie mógł odkryć śladów uszkodzenia. Możliwe, że i dotychczas by nad nim ślęczał, gdyby przypadkowo nie przestawił bieguna akumulatora prądu stałego. Po prostu bardzo się zmęczył i pomylił elektrody, zamieniwszy minus na plus. Ten to właśnie „błąd” naprawił blok. Oleg przysięgał, że to tylko dziwny zbieg okoliczności, którego nie da się wcale niczym wytłumaczyć, lecz ja miałem na ten temat zupełnie inny pogląd.

Po zdaniu egzaminów (przy okazji nadmienię, że profesor postawił mi najwyższy stopień) udałem się do kierownika katedry promieni kosmicznych. Zainteresujecie się zapewne, dlaczego właśnie do niego. Pozostaje mi tylko odpowiedzieć, że Waław Lucjanowicz jest jedynym fizykiem w całym Instytucie Paleoklimatycznym. Któż, jeśli nie on, mógłby się lepiej połapać we wszystkich zagadkach przyrządów elektronowych. On także z początku powiedział, że nie widzi żadnego związku między rozmagnesowaną taśmą i uszkodzonym blokiem. Miałem właśnie już wyjść, kiedy nagle przemówił: „A wiecie co? Przeciągnijmy Waszą taśmę nie przez elektronowe główki, a raczej przez pozytronowe”.

Odparłem mu na to, że nigdy o takich nie słyzałem. A on się tylko śmieje.

Wzięliśmy wówczas mocne źródło promieni gamma i zaczęliśmy bombardować nimi ołowianą tarczę.

Specjalny pierścieniowy magnes odprowadzał wytrącone pozytrony do kamery próżniowej, skąd były chwywane w kondensator. W ten sposób zdobyliśmy źródło „antyprądu”. I chyba nie uwierzycie? Oniemiała taśma przemówiła i znowu usłyszałem niepotrzebny mi już wykład o górach lodowych. Wacław Lucjanowicz oznajmił, że umieści wzmiankę tym efekcie w organie prasowym Akademii Umiejętności i że ja z Olegiem możemy być dumni ze swojej pierwszej samodzielnej pracy naukowej. Możliwe, że Was wcale nie ciekawi, ale poczuwałem się do obowiązku doniesienia Wam o tym. Wczoraj otrzymałem od dyrektora naszego gospodarstwa.

Pisze, że sąsiedzi nam pomogli i po zdaniu egzaminów znowu wypędzę na pastwiska stada owiec. Jak więc widzicie, wkrótce spotkamy się ponownie.

Wasz Chamrakuł, technik – czaban komunistycznego gospodarstwa „Runo”, student II roku Instytutu Paleoklimatologii, rzeczywisty członek Towarzystwa Ekologii Fitocynozów.

IV. Znowu S. M. Smirnow Chyba nie muszę, mówić, jak się ucieszyłem z listu Chamrakuła. Wspólnym wysiłkiem pracowników laboratorium dyktafon przemówił już po upływie dwóch godzin. Na wszelki wypadek wszystko, co usłyszeliśmy, zostało ponownie zapisane. Teraz dysponujemy dwoma krążkami taśmy, zawierającymi tę cenną informację.

Z początku słyhać było bezustanne syczenie i trzaski. Niektórzy nawet zaczęli już powątpiewywać w skuteczność „metody Chamrakuła”. Ale oto rozległo się lekkie pokasztywanie i dał się słyszeć czyjś zmęczony oddech.

– Dziękuję, kochanie. Postaw to tutaj. – Był to głos Ireny Łosiewej.

Coś walnęło, jakby postawiono na podłogę jakiś ciężki metalowy przedmiot.

– No, i co teraz będzie?

Męski, z chropawym nieco akcentem głos najprawdopodobniej należał do doktora Loszancy.

Łosiewa nie odpowiedziała.

– A więc w czym leży istota rzeczy, Irenko? – znowu zapytał Loszancy.

– W filozofii. Wszystko opiera się jedynie na filozofii, zaś fizyka odgrywa tu raczej rolę drugorzędną.

– Nigdy nie myślałem, że w filozofii może kryć się coś nieprawdopodobnego, a przecież obiecałaś mnie zadziwić.

– Jeszcze cię zadziwię! Odpowiedz mi z początku na jedno pytanie. Ale muszę cię najpierw uprzedzić, że nigdy się nad nim nie zastanawiałeś. Przecież cię znam. – Łosiewa roześmiała się.

Po krótkim milczeniu Loszancy powiedział: – No, gdzież to twoje pytanie?

– Cóżeś ty taki niecierpliwy? Po prostu szukam najlepszego sformułowania. Dajże mi trochę pomyśleć.

Przez pięć minut panowała cisza. Później Łosiewa zapytała: – Czy nigdy się nie zastanawiałeś, co było przed atomami?

– Co przez to rozumiesz – przed atomami? – zapytał Loszancy z pewną konsternacją.

– No, w przedatomowym stanie materii... Dlaczego powszechnie uważa się, że atomy były zawsze? Przecież materia jest wieczna. I w swoim rozwoju nigdy się nie powtarza.

Wszystkie procesy we Wszechświecie są nieodwracalne. A więc, co było przedtem, zanim ukształtowały się atomy, i co będzie potem?...

– Jakie masz podstawy do zadawania podobnych pytań?

– Czyż do zadawania pytań konieczne są jakiekolwiek specjalne podstawy? Nie uchylaj się od odpowiedzi. Popatrz tylko. Astrofizyczne dane wiążą się ściśle z czysto geologicznymi.

Przesunięcie widma w stronę czerwieni mówi nam o tym, że galaktyki rozbiegają się i nasz odcinek Wszechświata ulega rozszerzeniu, obserwacje geologiczne dostarczają dowodów na to, że Ziemia nie tylko się rozszerza, lecz nawet pęka, co można objaśnić zmniejszeniem się stałej grawitacyjnej. Nieprawdaż?

– No i cóż z tego?

– Oznacza to, że kiedyś była maksymalna grawitacja. Wynika stąd pytanie: jakiemu stanowi materii odpowiadało owo maksimum? A następnie: jaki będzie stan materii przy minimum grawitacji i kiedy to nastąpi? No i wreszcie, co towarzyszy owym momentom maksymalnej i minimalnej grawitacji: wybuchy substancji, czy też całkowite odwrócenie czasoprzestrzeni?...

Cóż ty tak milczysz?

– Uczciwie mówiąc, Ireno, nie wiem po prostu, co mam ci powiedzieć.

Rzeczywiście nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Teraz wreszcie rozumiem cel tego eksperymentu.

Czy nie wydaje ti się jednak, że może być on niebezpieczny?

– Czyżbyś się bał?

– Skądże! Ale chcę rozsądnie rozważyć wszystkie „za” i „przeciw”. Trzeba przewidzieć wszystkie możliwe następstwa.

– Ile potrzebujesz na to czasu?

– Dokładnie nie wiem. Możliwe, że dosyć dużo, jeśli w ogóle podobny eksperyment można ocenić teoretycznie.

– Wobec tego przeprowadzę go sama i to jeszcze dzisiaj. A ty możesz sobie iść do domu.

Mama nie może się nas doczekać. Powiedz jej, że jeszcze tu trochę zabawię.

– Czy to twoja nieodwołalna decyzja?

– Najzupełniej!

– Zaczekaj troszkę, zdejmę tylko marynarkę i podwyższę pulpit przy fotelu, żebym miał wygodniej.

Wtem rozległ się jakiś dźwięk. Prawdopodobnie... pocałowali się. Przez kilka minut panowała zupełna cisza. Potem dał się słyszeć przybierający coraz bardziej na sile gwizd.

– Cóż to, kochanie? – Głos Łosiewej ledwo było łać.

– Nie wiem. Wokół nas pojawiło się jakieś koło, widzisz? Wszystko rozpłomieniło się dokoła dziwnym purpurowym światłem. Jego promienie są tak ciężkie i jednocześnie ruchliwe, jakby pochodziły z emanacji radonu.

– Derdio! Widzę w górze błyszczący punkcik!

– To dziwne! Cóż by to mogło być? Prawie nic nie słyszę i jakoś... trudno oddychać.

– Gdzie ty właściwie patrzysz? Tam, spójrz tam! Cóż to? Och, jaki precudny świat... i ocean... A ta zorza! Popatrz tylko, roztopione złoto otacza nas 'coraz bardziej.

Nasza kabina jest tylko mizerną łupinką, zagubioną w bezmiarze wód złotego morza! Jakie to piękne!

– To śmierć, Ira!

– Coś ty powiedział? Cóż mam robić? Dlaczego zwlekasz?
No, cóż mamy robić?

– Tylko spokój, maleńka! Opornik – do końca! A teraz daj maksimum grawitacji i przestrzeń zwinie się wokół nas. Znajdziemy się jakby w pęcherzyku. Rozumiesz?

– A cóż się z nami stanie w tym pęcherzu?

– Nie wiem, lecz nie ma innego wyjścia. Jeśli zmniejszymy napięcie, od razu nastąpi wybuch... Szybciej, Ira, szybciej. I ten przełącz...

Choć przekręcaliśmy później na wszystkie strony ową taśmę, nic więcej nie udało się nam usłyszeć.

.....

.....

Mijały lata. Ludzie często powracali myślą do zagadki owego tajemniczego zniknięcia. Kiedy w ciągu licznych dyskusji wszystkie argumenty zostały wyczerpane, niektórzy zaczęli uciekać się do tak już zaiste wyświechtanych terminów, jak „czwarty wymiar” lub „dematerializacja”, spotkawszy zdecydowany opór, próbowali wówczas coś tam bełkotać nieśmiało o „granicach poznania”.

Jakby tam zresztą nie było, wypadek ten, podobnie jak zagadka tunguskiego meteorytu, dał dziennikarzom świetną pożywkę dla wszelkiego rodzaju sporów i domysłów.

Sądzone mu było tysiącrotnie powracać na strony czasopism pod niezmiennym nagłówkiem „Nie odgadniona tajemnica”. Odszukawszy w archiwum Instytutu Badań Przestrzeni notatki Chamrakuła, gdzie jest mowa o zauważonych przez niego w ową noc błyskach w konstelacji Liry, pewien pisarz fantasta puścił w obieg hipotezę, która zyskała od razu wielką popularność.

Wykoncypował on sobie, że Łosiewa wynalazła nowy typ gwiazdolotu, który przekształca wszystko, co się w nim znajduje, w wiązkę neutrino i z szybkością światła unosi ku celowi. Taki gwiazdolot jak widmo przechodzi przez pył kosmiczny, poprzez planety i rozżarzoną materię gwiazd. Nic nie zatrwoży owego bezcielesnego mocarza kosmosu, który uniósł w otchłań wszechświata Loszancy i Łosiewą. Uczeni nie raczyli obalać hipotezy owego pisarzyny. Dzieci jednak do pewnego wieku święcie w nią wierzyły.

Opowiadanie Ireny Łosiewej Z początku wydało mi się, że nasze doświadczenie zakończyło się fiaskiem. Ale kiedy, szarpnąwszy opornik aż do końca, spojrzałam w iluminator, gorejącego w fioletowych strugach złota już tam nie było. Coś niewidocznego, lecz zarazem i nieprzezroczystego oddzieliło nas od kłębiącej się plazmy. Choć zaszło to wszystko w mgnieniu oka, nie zapomnę nigdy nagłego uczucia ostrego bólu gdzieś w okolicy serca i dziwnej ociążałości. Chyba zdążyłam tylko ścisnąć mocno rękę Derdia, zanim straciłam przytomność. A może wcale nie zemdlałam? W każdym razie, gdy ponownie zajrzałam w iluminator (wszystko w nim już zresztą ściemniało i zmatowiało), wydało mi się, że nie minęła nawet sekunda.

– Mimo wszystko coś niecoś się udało – przemówił wreszcie Derdio, wycierając powoli chusteczką czoło – ale reakcja widocznie wygasła. Wszystkiemu winna nietrwałość.

Trzeba będzie jeszcze nad tym popracować.

W milczeniu skinęłam głową. Nie wiedziałam, co przeważało reakcję – nietrwałość czy tchórzostwo, które kazało nam zamknąć wokół naszego stanowiska pole grawitacyjne. Jakby czytając moje myśli, Derdio pogładził moją rękę i po-

wiedział cichutko: – Nie możesz mieć, Ira, żadnych wątpliwości. Wszystko odbyło się prawidłowo.

Mieliśmy obowiązek przerwać reakcję. Dla takich eksperymentów nie nadszedł jeszcze czas.

Zbyt mało wiemy o czasoprzestrzeni, o grawitacji, o budowie materii. Trudno sobie nawet wyobrazić, jaką katastrofę mógł wywołać nasz eksperyment.

Czułam, że Derdio ma słuszność. Ale wstyd mi było za tę sekundę strachu, który opanował mnie całkowicie w momencie, gdy zaczęła się reakcja. Dlatego odczuwałam taką potrzebę sprzecznania się, szukania dowodów, przekonywania. Kogo właściwie chciałam przekonać: siebie czy jego? Tego naprawdę nie wiem.

– Mógł wylecieć w powietrze cały Instytut, mogła ulec zagładzie Ziemia, a może i system słoneczny lub nawet Wszechświat? Wydawało mi się, że w moim głosie dźwięczy mocno napięta struna sarkazmu.

Ale mój mądry i łagodny przyjaciel udał wówczas, że nie rozumie mojego stanu.

Powiedział tylko: – Dopiero teraz uświadamiam sobie, na ile nierozważny był ów eksperyment.

Gdyby reakcja zaczęła czerpać energię z siebie samej, to jeszcze nie wiadomo, jakie by wyzwoliła ukryte obecnie przed nami siły i procesy, drzemające dotąd w samym sercu materii.

Wówczas znowu poczułam strach. Właściwie to skomplikowane uczucie oznaczało coś znacznie więcej aniżeli strach. Przypomniało mi się dzieciństwo. Przez bardzo długi czas nie mogłam bez lęku patrzeć w kałuże. Odbijało się w nich bezdenne niebo. I zawsze bałam się wprost, że spadnę w przepaść, otwierającą się przede mną. Bałam się, lecz równocześnie

śnie nie mogłam jakoś nie patrzeć. Później to samo uczucie ogarniało mnie w laboratorium astrofizycznym. Zdjęcia odległych galaktyk i hipergalaktyk, ledwo uchwytnie ich wzajemnego oddziaływania i czarna straszna otchłań czasoprzestrzeni. I oto teraz doznałam tego znajomego uczucia. Wyobraziłam sobie przez chwilę, „jak wokół pierwszego „podpalonego”

przez nas atomu wybucha pożar zniszczenia. Gdzie owa pożoga może zarzucić Wszechświat, jak daleko ów pożar może się rozprzestrzenić? Niestety, na te pytania nikt przecież nie odpowie.

– Ale popatrz tylko! Jesteśmy w kabinie już 13 minut – Derdio przysunął ku mnie świecący cyferblat swojego zegarka.

– Najwyższy czas, byśmy zatarli ślady naszego przestępstwa i pobiegli na herbatę z malinowymi konfiturami, bo inaczej oberwiemy porządną burę...

Kiedy mocno ścisnąwszy ramię Derdia wyskoczyłam z luku na ziemię, nawet nie podejrzewałam, że zdarzyła się katastrofa, chociaż od razu niemile zaskoczyła mnie ciemność, jaka panowała w laboratorium.

– Nie pamiętasz przypadkiem, czyśmy zgasili światło przed rozpoczęciem eksperymentu? – zwróciłam się do Derdia.

– Chyba nie... Ale może po prostu spaliły się bezpieczniki?

Od razu się uspokoiłam. Pewnie tak się właśnie stało: spaliły się bezpieczniki.

Doskonale znałam swoje laboratorium, więc, swobodnie orientując się w ciemnościach, skierowałam swe kroki do tablicy rozdzielczej, aby włączyć oświetlenie awaryjne.

Ręka przekazała mi nowy sygnał alarmowy. Poczułam, że moje palce namacały coś szorstkiego, chociaż tutaj powinien

być gładki i zimny marmur tablicy rozdzielczej. Sploty przewodów, coś miękkiego, podobnego do pajęczyny, szeroka nierówna szpara... Jak książkę dla ociemniałych czytałam historię tablicy, która zmieniała się nie do poznania w ciągu niespełna kwadransa.

Mój lęk udzielił się Derdiowi.

– Nic nie rozumiem! Gdzie się podziały przyrządy? Gdzie jest stół, gdzie stoisko do czytania mikrofilmów?

Wkrótce przekonaliśmy się, że stoimy w pustej sali. Jakoś niepostrzeżenie przestałam się nawet denerwować. Stanowczo zbyt wiele było zagadek. Każdy człowiek ma na szczęście jakiś specjalny bezpiecznik. Gdy na niego runie zbyt wiele wrażeń, ów bezpiecznik przepala się.

Inaczej nie wytrzymałby mózg.

Podeszłam do tego miejsca, gdzie powinno znajdować się okno. Wyciągnęłam rękę i namacałam stopy. Jedwab rozpadł mi się w rękach. Otrząsnąwszy z palców zbutwiałą tkaninę, próbowałam oczyścić gęstą warstwę pajęczyny i kurzu, jaka pokrywała szybę. Nie było to wcale łatwe. Długo tarłam z początku dłonią, a później rękawem, póki nie ukazały się pierwsze przebłyski wieczornego światła.

Czyżby te wszystkie dziwne przemiany zostały wywołane moją reakcją, która mignęła tylko jak błyskawica?

Derdio w tym czasie stał przy drzwiach, próbując je bezskutecznie otworzyć.

Poszłam ku niemu, lecz po drodze potknęłam się o jakiś przedmiot. Była to masywna żelazna belka, pokryta obficie łuszczącą się rdzą. Spróbowałam ją podnieść, lecz tylko na chwilę udało mi się oderwać belkę od podłogi. Wezwałam więc Derdia na pomoc.

– Cóż to? – zapytał zdziwiony, z trudnością unosząc ów przedmiot, który nie wiadomo skąd znalazł się w laboratorium.

I cóż mu mogłam odpowiedzieć? Sama niczego nie rozumiałam. Derdio oparł belkę jednym końcem o podłogę i potarł ją ręką. Na ziemię posypała się rdza.

– Wiesz co? – powiedział. – To jest szyna. A właściwie wszystko, co pozostało z owego jednoszynowego toru, po którym poruszało się w twoim laboratorium eksperymentalne stoisko...

No i masz ci los... W każdym razie ta rzecz nam się przyda.

Derdio posłużył się szyną jak taranem, próbując wyłamać drzwi. Po serii głuchych uderzeń drzwi się nareszcie poddały. Oparliśmy się o nie oboje i wówczas, skrzypiąc przeraźliwie, ustąpiły.

Gdy wydostaliśmy się na zewnątrz, był już wieczór. Nie wiem, jak mam przekazać wrażenia, jakie wywołują takie letnie wieczory. Gdzieś w nawarstwionym błękitnie płoną dogorywające już barwy zachodu, jak stygnący w formach metal. Takie wieczory bywają smutne i melancholijne, mogą być też zarazem i bardzo kuszące, i pełne niepokoju. Wiem najlepiej, że nic nadzwyczajnego w taki wieczór nie może się wydarzyć. A mimo wszystko ten właśnie wieczór mnie oczarował. Staliśmy z Derdiem, trzymając się za ręce, i patrzyliśmy na zachodzące słońce.

Trawy pochyliły się smutno ku ziemi, przybierając błękitnawy odcień. Zapachniało białymi kwiatami tytoniu, czuć było także zapach piołunu. W napiętym jak struna, rozbrzmiewają-

cym kaskadą dźwięków powietrzu unosił się zwiewnie puch topoli, pokrywając wszystko dokoła.

Nagle Derdio zadrżał. Podeszedł ku mnie zmieszany i w milczeniu postukał palcem po szkiełku zegarka. Była prawie trzecia. Popatrzyłam na niego całkowicie zbita z tropu.

– Czyżbyś niczego nie rozumiała? – Po raz pierwszy spostrzegłam, jak pobladł. – Teraz jest trzecia w nocy. Przecież do laboratorium przyjechaliśmy dopiero koło jedenastej!

Poczułam w piersi dziwny chłód. Popatrzyłam na niebo, na zachód słońca i uświadomiłam sobie wreszcie, że stało się coś nie do naprawienia. Cóż to za noc, kiedy jeszcze tak jasno: najwyżej dziewiąta, nie więcej.

– Topole przecież już dawno opadły... – Nie poznawałam wprost głosu Derdia, tak mi się wydał obcy i straszny. – Jeszcze półtora miesiąca temu wszędzie widziałem puch topoli.

Wszędzie go było pełno: unosił się w domach, tunelach, gromadził się także przy ściekach kanałowych, przypominając swym wyglądem brudne strzępy waty. A teraz, popatrz tylko: znowu to samo...

– Jak to, czas się cofnął? – zapytałam szeptem.

– Nie wiem, ale to możliwe. – Tym razem w jego głosie zadźwięczały jakieś stalowe nutki.

Od tej chwili Nieznane chwyciło nas mocno w swe sidła. Wstąpiliśmy jednak na ścieżkę bezustannych poszukiwań i najbardziej nieoczekiwanych odkryć. Byliśmy w duchu gotowi na wszystko. Któż miał wiedzieć lepiej od nas – fizyków, co to jest materia.

Spróbowaliśmy zmienić jej formy i niechybnie naruszyliśmy tym samym owe jeszcze tak mało znane więzi, które roz-

ciągają się niewidocznie od materii do pola, przestrzeni i czasu. A mimo wszystko niczego dotąd nie rozumieliśmy.

Pierwszym cudem, jaki rzucił nam się w oczy, był wspaniały park, który rozrósł się bujnie wokół gmachu laboratorium. Nie od razu uświadomiłam sobie, że widzę ów park po raz pierwszy w życiu. „Przedtem”, a może i „potem”, któż to wie, było tu pole, zarośnięte piołunem i lebindą.

Posypana błyszczącym, bursztynowym piaskiem alejka jakby nas gdzieś wołała.

Poszliśmy wolno obok bujnych krzaków oleandru, zatrzymując się co chwila, aby podziwiać to marmurowy basen, w którym rósł indyjski kwiat lotosu i wesoło swawoliły fioletowo pomarańczowe ryby, to znów piękny klomb z dziwacznymi nieziemskimi roślinami; ich liście lśniły jak zimna stal.

Wszystko było jak w bajce. Czułam nawet słaby, lecz uporczywy, słodkawy i z lekka oszałamiający zapach kremowych wilgotnych magnolii. W gęstym cieniu listowia zapłonęły nagle jakieś fosforyczne kule. Cicho brzęczały spóźnione pszczoły i wiatr rozdzwaniał blaszane pióra palmowych wachlarzy.

Nie mówiliśmy ani słowa. Po prostu szliśmy, wzięwszy się za ręce, wystraszeni i oczarowani, zupełnie jak dzieci, które znalazły się w krainie baśni.

Nieoczekiwanie alejka ta przywiodła nas do wspaniałego łuku triumfalnego, zbudowanego z matowego górskiego kryształu. Ów łuk wyobrażał niejako wejście do baśniowego parku, z którego dopiero co wyszliśmy, choć nigdzie nie było parkanu.

Przekroczyliśmy owo wejście. Zamierzałam już właśnie zejść w dół po płonących w zachodzącym słońcu rodonitowych stopniach opadających łagodnie schodów, kiedy Derdio

delikatnie mnie zatrzymał. Wskazał w milczeniu na złociste ogniki, migocące wewnątrz kryształowej masy. Zawróciliśmy i zbliżyliśmy się do łuku. Gdy tylko nasze nogi dotknęły czarnego zwierciadła jego podstawy, światełka, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, uformowały się w złote gwiazdozbiory słów: „Ten park jest miejscem odpoczynku i rozmyślań. Postanowiono nie wznosić w nim budynków i nie przeciągać energotras. W tym miejscu w sierpniu 20 roku odeszli w przestrzeń zerową Irena Łosiewa i Derdio Loszancy. Był to pierwszy krok ludzkości na drodze do ujarznienia czasu”.

Opowieść doktora Loszancy Jeszcze tam, w parku, przy opuszczonym gmachu laboratorium, zacząłem niejasno zdawać sobie sprawę z tego, co zaszło... Przedatomowy stan, a co będzie po atomach?...

Przede wszystkim jeśli czas dla nas z Ireną płynął inaczej niż dla pozostałych ludzi – a to jest przecież –widoczne – to oznacza, żeśmy się po prostu znaleźli poza ogólnym ziemskim systemem. My jednak nigdzie z Ziemi nie odlatywaliśmy, bynajmniej nie byliśmy kosmonautami – relatywistami, dla których dzięki szalonej prędkości gwiazdolotów czas płynął w niezwykle zwolnionym tempie w porównaniu ze wskazówkami ziemskich zegarków. W tych wykluczających się nawzajem logicznych konstrukcjach coś się jednak kryło. To była właśnie jedność i walka przeciwieństw. W nich należało szukać rozwiązania gnębiącej nas zagadki. Jak znaleźć jednak właściwy klucz? Spróbowałem jeszcze raz zmobilizować wszystkie swe siły, zmuszając się do dalszego prowadzenia owego trudnego pojedynku z Nieznany.

Miałem jeszcze jeden punkt oparcia – była to reakcja łańcuchowa. Przeprowadziliśmy eksperymenty nad grawitacją, a

zatem i nad krzywizną przestrzeni. Przecież jeszcze od czasów Einsteina jest rzeczą powszechnie wiadomo, że grawitacja nie jest niczym innym, jak stopniem przegięcia przestrzeni. Im bardziej skrzywiona jest przestrzeń, tym wolniej płynie czas.

Zaraz, zaraz! Coś w tym jest! Trzeba się zastanowić i spróbować wyciągnąć konsekwencje...

A więc tak. Normalny bieg czasu został u nas w jakiś sposób zakłócony. Chodzi tylko o to, czy szybciej, czy wolniej płynął on dla nas, niż dla tych wszystkich, którzy znajdowali się podczas eksperymentu poza granicami naszego stanowiska, to znaczy dla wszystkich pozostałych ludzi.

Nie trzeba być specjalistą, aby dać na to pytanie jednoznaczna odpowiedź. Czas płynął dla nas wolniej. Po pierwsze, według naszych zegarów eksperyment trwał niespełna sekundę, a gdy został zakończony, odkryliśmy takie zmiany, jakie się mogą nagromadzić jedynie przez dziesięciolecia, jeśli nie przez stulecia. Zresztą lepiej na razie o tym nie myśleć. Aż strach pomyśleć, że stulecia przeszły mimo nas w ciągu jednego tylko błysku pola stanu przedatomowego.

Dlatego lepiej kontynuować mój logiczny szturm. A więc, po drugie... Ale cóż to za „po drugie”, które udowodni, że czas w obrębie naszego stanowiska zatrzymał się?

Okazuje się, że owe sławetne „po drugie” może się świetnie obejść bez tego, co ja nazwałem „po pierwsze”. Ono właśnie jest w stanie przekonać każdego fizyka. Dowcip polega na tym, że ratując się przed rozpoczętą reakcją łańcuchową degeneracji atomów, zamknęliśmy wokół siebie przestrzeń... To znaczy, doprowadzając grawitację do maksimum, zatrzymaliśmy tym samym czas...

Rzeczywiście: zatrzymaliśmy czas!

Otrzymaliśmy przedatomowy stan materii w warunkach nadzwyczaj zwolnionego tempa czasu. Ale cóż to znaczy? Jak to sobie uzmysłwić, jak objąć to wyobraźnią i w jakie ubrać słowa? Nagle wyobraziłem sobie swą hipotezę. Nie mogę powiedzieć, że jest prawdziwa, lecz trudno mi się na razie jej wyrzec. Przynajmniej coś objaśnia. Wyobraziłem sobie przedatomowy stan w warunkach zwolnionego tempa czasu, jako skupisko jeszcze nie uformowanych wirtualnych elementarnych cząsteczek. Coś w rodzaju sławnego „morza Diraca”.

Jest ono jakby granicą: po jednej stronie leży nasz zwykły świat z jego czasoprzestrzenią, zaś po drugiej – antyświat z przeciwną jak w lustrze przestrzenią i wstecznym biegiem czasu. W naszym świecie galaktyki powiększają coraz bardziej dzielące je odległości, w antyświecie natomiast skupiają się, dążąc ku sobie. Granicą jest stan przedatomowy, ów punkt zerowy czasu i przestrzeni. Nowe pokolenia, które z biegiem lat zajęły miejsca ludzi nam współczesnych, a możliwe, że nawet jeszcze nasi koledzy, nie mogli tego nie rozumieć. Stąd właśnie złoty napis: „odeszli w przestrzeń zerową”. Nasze życie nie poszło na marne, w ślad za nami ruszyli inni – odważni i zakochani, którzy mieli czelność powstać przeciw samowładztwu Czasu i rzucić rękawicę w twarz Śmierci.

Schodziliśmy z Ireną po rodonitowych schodach, tam gdzie w błękitnym zmierzchu migotało niezliczonymi światłami nie znane i piękne miasto. Jak kosmonauci, powracający z dalekich planet, przekroczywszy bezmiar czasu, szliśmy na spotkanie ze swymi potomkami.

Nigdy nie odlatywaliśmy z Ziemi, lecz jednocześnie nikt z ludzi nigdy nie był od niej dalej, niż my w oho gwiazdziste mgnienie, które zabłysło dla nas płomieniem utraconych bez-

powrotnie dziesięcioleci. Szliśmy powoli do nieznajomych i jakże bliskich zarazem ludzi. I myślę ciągle, że oni na nas czekali.

Napis wewnątrz kryształowego łuku: „Postanowiono nie wznosić w nim budynków i nie przeprowadzać energotras” – nie jest wcale przypadkowy... Chcieli wyraźnie, by nic nam nie mogło przeszkodzić w powrocie z zerowej przestrzeni do domu.

– A dlaczego myślisz, że czekali na nasz powrót? – zapytała mnie Irena.

Odpowiedziałem jej natychmiast: – Po prostu podliczyli okres półrozpadu substancji w naszych akumulatorach.

Dlatego wiedzieli, kiedy wyczerpie się energia, zasilająca zamknięte pole grawitacyjne.

Energia elektryczna potrzebna była jedynie jako impuls początkowy, później zaś pole istniało już tylko kosztem cząstek omega. Zresztą, tobie przecież tego wyjaśniać nie muszę.

Roześmiałem się. Irena w milczeniu popatrzyła mi prosto w oczy. – A ja po prostu wiem, że oni na nas czekali... Nie mogli nie czekać... I jeszcze wiem jedno, że teraz jesteś jedynym moim człowiekiem w całym Wszechświecie. – Głos jej się nagle załamał, oczy stały się dziwnie wielkie, wilgotne i głębokie.

Objąłem ją delikatnie i cicho ruszyliśmy naprzód, kierując swe kroki tam, gdzie w imitującym głębiny morskie błękicie mieniły się wszystkimi barwami światła owego miasta.

Przełożył Eligiusz Madejski